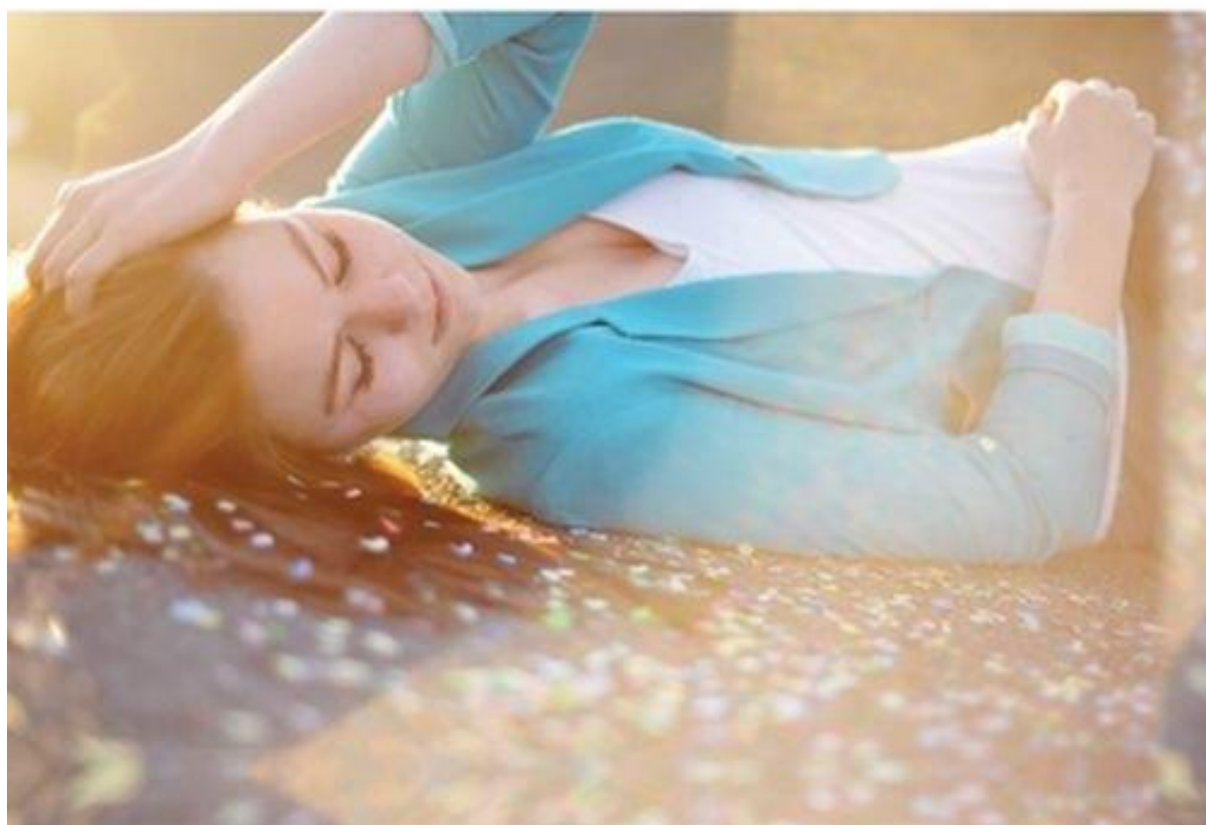




GWIAZDY Glenda Millard
nad Oktober Bend



Millard Glenda

Gwiazdy nad Oktober Bend



Dla mojej Mamy
01.11.1924-18.07.2015

Specjalne podziękowania
kieruję do Sue Flockhart,
za Twoją cierpliwość,
zrozumienie i za to,
że pozwoliłaś mi pofrunąć.
G. M.

1. Alice o opuszczaniu i nie

jestem dziewczyną, którą kocha manny, dziewczyną, która spisuje naszą historię w książce latania, jestem alicie.

pozszywali mnie, kiedy miałam dwanaście lat. naprawili moją zepsutą głowę ściegami jak rybie łuski, podwinęli moje poszarpane krawędzie, podwinęli wszystko, rzeczy, które miały być i nie. szybko, zatrzymać krwotok, zatrzymać wyciek z alicie. to wszystko, co chcieli zrobić, tak powiedziała babcia.

zepsuta alicie. i porzucona, zawsze było porzucanie w naszej rodzinie, najpierw nasz ojciec, potem mama, april, a po zszywaniu także dziadek, stary charlie - on też odszedł, tylko babcia - babcia wspaniała i joey zostali, brat joey, który powiedział, że na dzień porzucania jest miłość, dziwna miłość, miłość, która boli. miał dziesięć lat, gdy to powiedział, ale był starszy, o wiele starszy, obiecał, że nigdy, ale to nigdy mnie nie porzuci, i mu uwierzyłam.

kiedy byliśmy mali, joey i ja składaliśmy obietnice na zawsze, pieczętowaliśmy je śliną i uściskiem dłoni, ale kiedy byłam numer dwanaście, joey próbował znaleźć sposób, by nasze obietnice nigdy nie zostały złamane, zamiast tego

wziął narzędzia z szopy, dłuto, tarkę i młotek, naostrzył krawędź dłuta, tak, że mogła podciąć gardło jagniętka. popołudniami tygodniami znikał, szczerbił i rzeźbił w tajemnicy, pokazał mi, co zrobił, dopiero gdy było gotowe, spisał swoją obietnicę, by każdy mógł zobaczyć, wyskrobał ją na drzewie, które trzymało most nad oktober bend.

joey i alice na zawsze razem

między nim a mną wyskrobał krzywe serce.

wtedy pojawiła się niedźwiedz i to było jak początek czegoś nowego, nigdy wcześniej nikt się nie pojawiał, kochana niedźwiedz, ciągły towarzysz, pies pasterski maremma, silna, zwinna, cicha niedźwiedz, ostre zęby, czułe uszy. idealne okablowanie, mogłaby przegryźć gardło człowieka w kilka sekund, przegryzłaby, dla mnie.

2. Alice

plany a i b oraz książka z pszczelich skrzydeł

plan a: joey zabierze mnie do szkoły, do średniej szkoły ze sobą, gdy już będę naprawiona, ale było za dużo hałasu, moja elektryka dostała zwarcia, nie było planu b. więc wróciłam do domu. zostałam odesłana do domu. zostałam w domu.

pamiętałam słowa i jak je wypowiadać, zapomniałam, jak je układać, jak łączyć je na papierze, na początku pisałam krótkie rzeczy, listy i notatki do siebie, niektóre linijki kończyłam słowami, które kojarzyły mi się z tym, co chciałam powiedzieć.

szkoła jest głośna za dużo ludzi joey przynosi mi książki uczy mnie rzeczy opiekuje się mną.

zanim pojawił się manny, zanim zobaczyłam jego twarz i poznałam jego imię, zanim dotknęłam jego skóry,

spędzałam moje dni wewnątrz, wtedy niedźwiedź mnie omamiła, zamachała swoim pierzastym ogonem, uśmiechnęła się i zaprowadziła mnie ścieżkami pełnymi słońca przez nasz rajski ogród, próbowałam pisać o rzeczach, które widziałam, o prostych rzeczach.

pies widmo włócznie szaławii

rozmaryn niebieski i nowo-miętowe zielone liście.

wtedy babcia wymyśliła plan b. joey zabrał mnie do autobusu i poszłam do ośrodka opieki dziennej, chodziłam przez dwa tygodnie, to było jak szkoła, tylko gorsze, i wróciłam do domu. znowu.

mieliśmy książki w domu. ciche książki, które nie robiły spięć w moim okablowaniu, nasz słownik mieszkał nad kominkiem, wciśnięty między cegły komina a puszki, liście herbaty, ryż i cukier. Biblia babci schowana w szufladzie z ubraniami, święte strony cienkie jak skrzydełka pszczoł, joey mówił, że drobny maczek tych historii to tylko wymyślone bajki, jakby bajki się nie liczyły, ale ja kochałam świętą książkę babci za pozłacane krawędzie stron, dziwne słowa i tajemnice, kiedy joey zapomniał przynieść książki z biblioteki, czytałam słownik, albo czasami kradłam Biblię babci z jej splątanego gniazda halek i kalesonów, wślizgiwałam się pod dom i czytałam ją niedźwiedź na głos.

dawno, dawno temu było dwóch wielkich królów, jeden miał na imię dawid, a drugi salomon. królowie pisali wiersze, byli królami-poetami, a wiersze, które pisali, nazywały

się psalmami, ich wiersze zapisane są na pszczelich skrzydłach stron w świętej książce babci, używałam ich, by przypomnieć sobie, jak układać swoje słowa, królowie-poeci pisali o wojnach i owcach, kozach, kochankach z ładnymi zębami i rumianymi policzkami, i o kimś o imieniu Pan. ja pisałam głównie o joeyu i niedźwiedź, dziwne, starodawne wiersze jak ten:

joey prowadzi mnie nad rzekę pozwala* mi leżeć na zielonych pastwiskach i przynosi dla mnie książki z biblioteki, choćbym szła przez przełęcz charlotte, zła się nie ulękę

bo niedźwiedź jest przy mnie i strzelba dziadka jest w pralni, by mnie ochronić.

joey i niedźwiedź będą ze mną przez wszystkie dni życia i zamieszkamy w oktober bend po najdłuższe czasy.

*uwaga: królowie-poeci mogli użyć słowa „kładzie” zamiast „pozwala”, lecz niektóre wyrazy przyprawiają moje serce o głośnie bicie, moja elektryka musuje jak oranżada w proszku, gdy dodaje się do niej wody. przypominają mi to, kiedy ktoś zmusza cię do zrobienia czegoś, na zielonych pastwiskach i pod gwiazdami nad oktober bend. albo gdziekolwiek indziej, „pozwala” daje ci wybór.

3. Alice

pióra dla starego charliego

obdarte knykcie joeya narosły, jego zmłotkowane paznokcie ściemniały i odpadły, nowe urosły jasne jak migdały obrane z łupki, inne bolączki się nie zagoiły, joey na to nie pozwolił, skubał strupy, jątrzył je, żeby nie zapomnieć, blizny miały przypominać mu tak, jak wiadomość na moście.

moje blizny schowały się pod włosami, które urosły długie i kręcone jak sprężyny starego materaca, obcy ludzie patrzyli na moje nieujarzmione czerwone loki i oczy koloru trawy, gapili się na moje kolory i kształty, nie wiedzieli o niewidzialnych szwach ani splątanych obwodach, nie rozumieli, że moja powolna, zwichnięta mowa zaczynała się jako idealne myśli, nie słyszeli o klątwie rzuconej na mnie. o przekleństwie dwunastości.

tylko najbliżsi wiedzieli, to sprawa rodziny, jak pigułki na spokój, które zdmuchiwały radość i smutek po równo, zrównoważały nastroje, spłaszczwały życie, babcia i joey widzieli oczy obcych ludzi uciekające w bok, gdy mówiłam, widzieli krew biegnącą do ich policzków, gdy pojmowali, że nie jestem tym, czego się spodziewali, nie przejmowałam się, co myśleli obcy. ale przejmowałam się babcią i joeyem. więc ja

i niedźwiedź zostawałyśmy zwykle w domu.

kiedy nabrałam odwagi, niedźwiedź prowadziła mnie nad rzekę, pod kołyszący most nad przełęczą Charlotte, szłyśmy daleko, przez małe łyse wzgórza, przez lasy żelaznej kory do miejsc, które znaliśmy tylko ja, niedźwiedź, joey i stary charlie.

tam zbierałam dzikie kwiaty kolorowe guziki kraspedii¹ zwykle codzienne krzewy i pełznący fiolet sarsaparilli².

układałam je w bukieciki do słoï po dżemie na parapecie nad zlewem.

ale najczęściej zabierałam do domu pióra, niespodziewane prezenty od ptaków, szybujących, spadających, wolnych, nauczyłam się sztuki robienia much od dziadka, kiedy szukałam piórek, wełny i innych składników, których potrzebowałam, nosiłam na ramieniu płócienną torbę charliego. w pomarańczowe, brązowe i białe paski z zielenią mchu pod spodem, z resztek materiału z leżaka babci.

leżakowa torba wybrzuszała się od narzędzi dziadka: marynarska puszka na tytoń wypełniona świecącymi, ostrymi haczykami

1 Małe, żółte, okrągłe kwiaty przypominające guziczki [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

2 Popularny krzew przydomowy o intensywnie fioletowych kwiatach.

nożyczkami o cienkich końcach nożyczkami o grubych końcach szczypcami i igłami i osetką i książką.

książka miała tytuł: *wiązanie much: kompletny przewodnik do ręcznego wiązania much na pstrągi*.

w zewnętrznej kieszeni leżakowej torby była *moja* księga latania, trzymałam te dwie książki osobno, wydawało mi się nie w porządku, żeby się dotykały, w książce dziadka były obrazki, których bardzo nie lubiłam, szczególnie na stronie 44. przykleiłam ją do strony 45 pastą z mąki i wody. dzięki temu nie mogłam zobaczyć obrazka przez przypadek, jeżeli chciałam sprawdzić, jak wiązać muchę *silver doctor* albo *muddle minnow*, albo przypomnieć sobie, jaka jest różnica między muchą *hair-wing coachman* a *hair-wing royal coachman*.

od tamtej pory znam na pamięć historię o powstaniu *royal coachman*, mężczyzna o nazwisku john hailey zrobił kiedyś muchę *coachman*, ale dodał do niej odrobinę jedwabnej nitki w połowie i pióro z ogona kaczki karolinki. ktoś, gdy zobaczył tę muchę, powiedział:

„oto mucha, która miała być jak *coachman*; ale nie jest zupełnie prawidłowa, jak ją nazwać?”

„och, to proste, nazwijcie ją *royal coachman*, bo jest tak pięknie przystrojona” - brzmiała odpowiedź*.

* mary orvis, *ulubione muchy i ich historie*, marbury 1892.
stary charlie znał wszystkie przynęty na pamięć, nauczył się
3 royal (ang.) - królewski, dostojny

ich od swojego taty, gdy był osiem, ale nie pozwolili mojemu dziadkowi mieć nożyczek, haczyków ani igieł w tym małym pokoiku bez gwiazd, na wypadek, gdyby chciał podciąć sobie żyły w nadgarstkach albo skrzywdzić swoich opiekunów, babcia powiedziała, że żadne ustępstwa nie są czynione staremu mężczyźnie, który popełnił zbrodnię w afekcie.

tęskniłam za dziadkiem, tęskniłam za wszystkim, co robiliśmy razem, szczególnie za robieniem much.

joey powiedział, że nie ma powodu, dla którego nie miałabym ich dalej robić, nie ma powodu, dla którego nie miałabym ich sprzedawać jackowi faulknerowi, jak robił to nasz dziadek.

wymieniłam wszystkie powody, dla których powinnam, by spłacić dług

który miałam u starego charliego i ponieważ były piękne i ponieważ mogłam, i wtedy powiedziałam sobie by nie myśleć o stronie 44 i dwóch pstrągach tęczowych p okrwawionych

skrzelach i pyskach całujących powietrze i mężczyźnie z zamkniętymi oczami trzymającym je jakby nie mógł patrzeć

na tę okropną rzecz, którą zrobił.

powiedziałam sobie, że jeśli

ten obraz ma pojawić się

w głowie jak haczyk

w moim gardle to

muszę wyobrazić sobie te ryby
wychodzące z jego rąk
i wracające do rzeki, gdzie należą.

4. Alice

książka latania alice nightingale

zaczęła się przypadkiem
szczęśliwym trafem
na skradzionych stronach
jest mniej o
piórach i muchach
albo skrzydłach, a więcej
o słowach
jak mnie złapały
z zaskoczenia
uniosły mnie
w pędzącym
prądzie
podniosły mnie z pióra i kartki w czyste powietrze dały mi
sokoli wzrok.
to zaczęło się pewnego odważnego dnia, kiedy opróżniłam
moje spłaszczające lekarstwo.

spuściłam moje tabletki na spokój w toalecie, i przestraszyłam się, że zatrulałam oceany i rzeki, wyobraziłam sobie ryby, brzuchami do góry jak wywrócone uśmiechy, nie ma już lśnienia, pływania ani nurkowania w chłodnym błękicie, spuszczenie było ryzykiem, którego nie mogłam więcej podjąć, od tamtej pory trzymałam moje tabletki w puszcze po czekoladkach, która pachniała jak święta Bożego Narodzenia dawno temu.

jedne tabletki wypuszczały moje myśli na wolność, inne naciskały na mnie jak kamienie, niewypowiedziane myśli: co się stało albo nie, gdy byłam dwanaście, zastanawiania bez odpowiedzi, co znaczy wieczna dwunastość i co może albo nie, zmienić się w długo i szczęśliwie.

inne myśli rozkwitały jak skrzydła na moich ramionach, i z ich powodu pewnego dnia zażyczyłam na głos, co chciałam, pióra i atramenty oraz czyste białe strony, joey przyniósł je pewnego ranka, słoiczki wypadły z jego kieszeni na wzgórze z koca. leżały tam jak klejnoty w dolinie pościeli, gdy patrzyłam na nie zdezorientowana we wczesności poranka.

- zwinąłem je z papierniczego. - ciepły oddech joeya zawijał się jak piórka w zimnym powietrzu. - musiałem szybko uciekać - powiedział, a ja wciąż rozmarzonymi oczami widziałam go na rowerze, z koszulą wypchaną papierem, słoiczkami obijającymi się o siebie, nogami pracującymi ze strachem i odwagą.

siedział przy mnie, kiedy podnosiłam skradzione kolory do jasnego, porannego światła, jeden po drugim, fiolet, błękit i czerń, książka o pustych stronach leżała otwarta na moich kolanach, podróż czekająca, by ją podjąć, czy tak właśnie

wygląda miłość? jak ukradzione atramenty i puste strony? czy to dobra miłość? potem, w ciszy, zapisałam coś, o czym pomyślałam, coś małego i prostego, prezent dla joeya.

jeżeli to nie miłość każe ci zostać uwalniam cię

nie pokazałam mu tych słów. nie wtedy, nigdy, napisałam je na ukradzonej stronie, był to mały krok na ścieżce prowadzącej do poznania siły słów. nawet moich, nazwałam tę książkę po tym, co słowa mi ofiarowały, książką latania alicie nightingale.

5. Alice strategie komunikacji

och, cierpliwa książka latania! na początku słowa, które zapisywałam przychodziły powoli, nie jak te szybkie, bez-trosko wypowiedane, których używali inni ludzie, w mojej oddzielności szukałam słów nowych i starych, zapomnianych, szukałam ich w księdze o stronach cienkich jak pszczele skrzydła, słowniku i w książkach z biblioteki, które przynosił dla mnie joey. inne zbierałam z opowieści, które snuła babcia, książka latania nie miała uszu, by mnie osądzać, to, co tam zapisywałam, było rozmową z samą sobą.

ale nawet ja wiedziałam, że słowa są po to, by się nimi dzielić, czasami spisywałam je na skrawkach papieru i zabierałam na poczekalnię dworca kolejowego, oferowałam je pasażerom i przechodniom, nikt się nigdy nie zatrzymał, nikt nigdy nie wziął wiersza, domyślałam się, że słyszeli historie o moim szaleństwie i o tym, co sprawiło, że jestem jaka jestem, a może słyszeli o starym charliem.

- większość ludzi nie rozumie, że dawanie jest za darmo -powiedział joey. - pewnie myślą, że chcesz od nich pieniędzy, albo że jesteś z jakiejś sekty czy coś takiego.

tak wygląda świat poza oktober bend, powiedział, a ja

mu wierzyłam, nie mogłam sobie przypomnieć, jak to było przedtem.

ponieważ nikt nie chciał wziąć tego, co pisałam, przypinałam to w miejscach, gdzie ludzie mogli się zatrzymać i to przeczytać, w poczekalniach na dworcu kolejowym, sklepikach, w których sprzedawano rybę z frytkami, na tablicach ogłoszeń przy kościołach i przystankach autobusowych, wciśkałam je pomiędzy, pod i obok reklam kosiarek, ogłoszeń zgubiono-znaleziono i powiadomień o opiekunkach do dzieci, czasami przypinałam dymki jak z komiksów do papierowych ust modelek z plakatów, dawałam im słowa, by nigdy nie musiały być takie, jak ja.

w jakimkolwiek języku krzyk jest krzykiem a uśmiech uśmiechem.

wymyśliłam nawet słowo, by nazwać rzeczy, które pisałam, nazwałam je alicyzmami. polubiłam to słowo, było moje. w cichych kątach przypinałam pytania.

co jest szybszą drogą między dwoma sercami: miłość czy latanie?

co jest bardziej niebezpieczne: miłość czy latanie? czy miłość jest jedynym powodem porzucania?

zostawiałam miejsca na odpowiedź i ołówki przywiązane na sznurku, nie zastanawiałam się, czy moje pytania to oznaka porzucania dwunastości. jedyne odpowiedzi, jakie dostawałam, były niegrzeczne, dopóki nie pojawił się manny.

6. Alice

dom cięży

dawno, dawno temu mieliśmy wspaniałego dziadka, który mieszkał z nami, i telefon, który nie działał, joey powiedział, że firma telekomunikacyjna odłączyła go, bo nie płaciliśmy rachunków, jednak to nie powstrzymało babci przed krzyżowaniem w słuchawkę, gdy dostawała listy od komornika, nie nabrała nas, mówił joey.

nie pamiętam krzyczącej babci, to było zanim, pamiętam tylko potem, gdy babcia, joey, niedźwiedź i ja byliśmy jedynymi, którzy zostali, gdy *babcia* było łatwiejsze do powiedzenia niż *babcia wspaniała*, gdy pisałam listy słów zamiast zdań i brzmiałam jak tuba ze skarpetką wepchniętą do środka, gdy babcia wyglądała na starą i zmęczoną, jak babcie innych ludzi.

potem było wtedy, kiedy właściciel domu wysłał nam nakaz eksmisji, powiedział, że rada miasta chce wyburzyć nasz dom. powiedział, że musimy się wynieść, z naszego domu. wynieść się z naszego miejsca na świecie.

- gdzie pójdziemy? co się z nami stanie, jeśli nie pójdziemy? - zapytałam babcię. - czy wsadzą nas do więzienia, jak dziadka?

- nie bądź głupia - mknęła. - nigdzie się nie wybieramy, płacimy czynsz, mamy prawo tu być. od tamtej pory paliła w piecu listy od rady miasta i listy od właściciela domu. bez otwierania ich. jakby to miało nas uratować.

joey był bardziej praktyczny, czyścił starą broń charliego. naoliwił jej dwie niebieskie lufy. utrzymywał ją w doskonałej formie, a na wiosnę, kiedy przychodziły deszcze i rzeka się podnosiła, joey wyciągał łódź spod domu. przywiązywał ją do słupka werandy, byliśmy tak bezpieczni, jak tylko mogliśmy być. dziadek w pace, listy w piecu, broń pod domem, łódź przy werandzie, ciągle towarzystwo i sekret u stóp anioła.

sekret pojawił się pewnego poranka we wczesności, po moim powrocie do domu. ciało słabe, szwy wciąż świeże, myśli nieuporządkowane, ale i tak odkryłam, odkryłam to leżące na błękitnych płatkach materiałowej stokrotki, myślałam, że znalazłam maleńką duszę na moim prześcieradle, bezkształtną jak chmurka, zaczęłam ciąć wokół kwiatka, ciach-ciach, najostrożniej jak mogłam, ukryłam to w pudełku po zapalkach, ruda pani trzymała buzię w kształcie serca na kłódkę, nie powiedziała ani słowa, ale ja powiedziałam joey'owi. męczyłam go pytaniami, na które nie mógł odpowiedzieć, męczyłam go, by to zakopał, na pytanie dlaczego, odpowiadałam: *na wypadek gdyby to był początek końca czegoś pięknego.*

może by sprawić mi przyjemność, a może żebym przestała go denerwować, najukochańszy brat, łagodny joey, wyskrobał dziurę pod kamiennymi stopami anioła, położył tam pudełko po zapalkach, przykrył je słodką, czarną ziemią i delikatnym mchem, powiedział mi, że przyklepał

pudełko, by było bezpieczne, to sekret tylko między nim a mną. droga duszyczka, która odeszła, aby dotrzymać towarzystwa teddy'emu. do dzisiaj nie wiem tak naprawdę, co było w tym pudełku po zapawkach, może było wypełnione tęsknotą albo strachem, albo po prostu niczym.

przez długie tygodnie chciałam poprosić joeya, żeby to odkopał, aby sprawdzić, czy wciąż tam jest. bałam się, że tego tam nie ma. bałam się, że to tylko efekt mojego szaleństwa, tylko sen. bałam się, że to jeden z luźnych wątków, że jeśli za niego pociągnę, to rozpruję się w szwach, więc nie powiedziałam nic.

wiele miesięcy później, kiedy przerażenie zapłonęło we mnie jak przypalony knot, napisałam antidotum na strach w mojej książce latania.

my dziwne ptaki jesteśmy bezpieczne
w naszym gnieździe przezutym rdzą usadowionym
na głęboko osadzonych mostu
palach na błotnistym brzegu w oktober
bend.

nie byłam jedyną, która zostawiała słowa niewypowiedzianymi, nasz dom był domem wielu cisz. większość z nich zostawili za sobą ludzie, którzy odeszli: nasz ojciec, sunny, potem april, nasza matka, która zabrała ze sobą swoją wiolonczelę, dziadek charlie, który by został, ale go zabrali, zmusili go do odejścia, nie miał nic do powiedzenia, cisza narastała z czasem, rosła gruba i ciężka, nie tylko dlatego, że nie mogliśmy usłyszeć głosów tych, za którymi tęskniliśmy, ale też dlatego, że smutek, ból i gniew nie pozwalały nam o nich

rozmawiać, szczególnie babci, ignorowała pytania joeya tak samo jak listy o wyburzeniu, udawała, że nie może zrozumieć mojej powolnej, niezdarnej mowy. w dni, kiedy joey szedł do szkoły było jeszcze więcej ciszy, nauczyłam się wypełniać ją pisaniem wierszy, których nikt nie czytał, i pytaniami, na które nikt nie odpowiadał.

7. Alice

krewni i najbliżsi

nie pozwalają ci odbierać telefonów, gdy jesteś w więzieniu, nawet od rodziny i przyjaciół, ale możesz dzwonić, jeśli ludzie, z którymi chcesz rozmawiać mają telefon, który działa, jedynym sposobem, by porozmawiać z dziadkiem była wizyta, nie odpisywał na listy.

- jak się tam dostaniemy - zapytał joey.
 - pociągiem - odpowiedziała babcia.
 - myślisz, że dasz radę dojść do stacji?
 - po prostu będę musiała, prawda?
 - w takim razie będziemy musieli wyjść wcześniej, żebyś miała dużo czasu na odpoczynek po drodze.
 - już nie jeden raz szłam na stację.
 - to było zanim twoje płuca były zapchane.
- wolałam, żeby joey się zamknął, babcia nigdy przedtem nas ze sobą nie zabrała, może zmienić zdanie, jeśli on się nie uciszy, ale go zignorowała.
- pójdziemy w niedzielę, wtedy dzieci mogą przychodzić - powiedziała babcia, kazała mi obiecać, że wezmę moje tabletki. - a jeśli nie będziesz się czuła za dobrze, powiedz joey'owi, to zabierze cię na zewnątrz.

ludzie z ochrony sprawdzili, czy nie przenosimy kontrabandy, mieliśmy tylko skarpetki traperskie z ekstra grubymi podeszwami, mieszankę cukierków lukrecyjnych, magazyn wędkarski i wiersz, chciałam pokazać dziadkowi, że potrafię pisać, dać mu wskazówkę, że lekarze mogli się mylić, nie mogłam mu przynieść moich przynęt, musieliśmy przekazać nasze prezenty dla starego charliego ochronie, mimo że nie były kontrabandą, obiecali, że przekażą je dziadkowi, kiedy pójdziemy, pozwolili mi podpisać się na wierszu, żeby wiedział, kto go napisał.

w pokoju odwiedzin byli już inni ludzie, kiedy tam przyszliśmy, mężczyźni w zielonych dresach rozmawiający ze swoimi rodzinami, wtedy przyprowadzili starego charliego. nigdy przedtem nie widziałam go w dresie, nigdy, a przynajmniej tak mi się wydaje, zawsze kiedy o nim myślałam, miał na sobie flanelową koszulę i ogrodniczki w kolorze khaki, w niedzielę podczas odwiedzin wyglądał na skurczonego w swoim ubraniu, jak żółw, który schował do połowy łeb w skorupie, uśmiechnął się, gdy nas zobaczył, nie mówił wiele, po prostu się uśmiechał i kiwał głową, przygryzał wargę, próbował się nie rozpłakać, miałam w sobie moje tabletki, chemikalia krążyły w moich żyłach jak szalone, nie płakałam, trzymałam dziadka za rękę, a moje przewody działały gładko jak letni miód w moim mózgu, krewni i przyjaciele to my. miłość nas umacniała, joey włożył monety do maszyny i przyniósł nam chipsy ziemniaczane i słodki napój, zjadłam chipsy, słuchając innych, nie mówiłam wiele, nie chciałam przypominać dziadkowi moim głosem tego, co się stało, o tym, dlaczego nie mógł wrócić z nami do domu.

droga z domu do więzienia, w którym przebywał dziadek, była długa, trzy godziny, by dojechać i trzy godziny, by wrócić, to bardzo długo dla kogoś, kogo aparatura oddechowa szwankuje, za każdym razem, gdy pytałam babcię, kiedy możemy znowu pojechać, odpowiadała:

- kiedy moje płuca się poprawią.

gdy zapytałam joeya, czy ja i on moglibyśmy pojechać sami, powiedział:

- musisz mieć osiemnaście lat, żeby pójść bez opieki dorosłego, takie są zasady, dlatego idziemy z babcią albo w ogóle.

złe płuca babci oznaczały, że trzeba było poczynić przygotowania, podpisała się na pliku zielonych i białych kartek, aby joey mógł wybrać jej emeryturę z banku, joey i ja rozmawialiśmy o najbliższej rodzinie i o tym, co się dzieje, gdy nie ma się kogoś, kto nie siedzi w więzieniu, krewni to rodzina, krewni i najbliżsi to najważniejsi ludzie, bliskość to bycie podobnym, joey nie zaliczał april do rodziny, nie zaliczał naszej matki do niczego, nigdy nie znał naszego taty, sunnyego, ja też prawie go nie pamiętałam, naszego taty, który jest martwy, naszego taty, który jest w niebie.

o niektórych rzeczach staraliśmy się nie myśleć, na przykład do jakiego numeru zbliżała się babcia i zatykaliśmy uszy na jej ciężki oddech.

joey powiedział, że jeżeli skończy osiemnaście lat, zanim babci cokolwiek się stanie, to wszystko będzie dobrze, jeżeli coś się stanie przedtem nikt nie musi wiedzieć

oprócz nas, powiedział i mała sterta bieli i zieleni to klucz do pieniędzy babci.

joey nigdy nie zapraszał nikogo do domu ani nie mówił o babci, starym charliem albo mnie.

joey, niedźwiedź i ja byliśmy rodziną i bliskimi, bratnimi duszami, byliśmy dla siebie wszystkim, to było zanim joey poznał śliczną tildę. zanim pojawił się manny, tilda i manny byli komplikacjami.

nawet jack faulkner nie przychodził do domu. babcia by na to nie pozwoliła.

- im mniej ludzie wiedzą, co się dzieje u nightingale'ow, tym lepiej - mówiła.

joey i ja wiedzieliśmy, że nie mówiła tylko o sprzedawaniu przynęt, chodziło o prywatne sprawy, jak:

smoła w jej płucach,
listy o eksmisji
stary charlie za kratkami
i ja
niechodząca do szkoły.

spotkania z jackiem faulknerem w centrum opieki to kolejny plan babci, zaaranżowała to kiedy wciąż miała wystarczająco tchu w piersiach, by planować, faulkner mieszkał w mieście, przyjeżdżał raz w miesiącu w czwartek, po

tym, jak spotkanie lokalnego stowarzyszenia kobiet dobiegało końca, babcia zgłosiła się na ochotnika do zmywania podłogi, dawali jej klucz, a ona wykladała moje przynęty na pstrąga na kuchennym stole i wpuszczała jacka tylnymi drzwiami, kiedy jej rozedma się pogorszyła, ja przejęłam zmywanie podłóg, joey zajmował się interesami, faulkner twierdził, że żał mu naszej babci.

- musi być bardzo ciężko próbować wychować dwójkę dzieci z emerytury, gdy twój stary siedzi w pace - powiedział, zaoferował gotówkę za moje muchy, jakby robił nam przysługę, podał cenę. wyciągnął prawą rękę. włochaty mały palec z pierścieniem, ale joey nie chciał się zgodzić.

- są warte więcej i dobrze o tym wiesz!

więc faulkner powiedział, że zapłaci więcej za muchy zrobione z rzadkich piór.

- to i tak dobre pieniądze, jak na niedorozwiniętą dziewczynę bez przyszłości - powiedział do joeya. na mnie nigdy nie popatrzył.

8. Alice w urodziny numer piętnaście

wzięłam sprawy w swoje ręce. zdjęłam słownik z jego miejsca między liśćmi herbaty i cukrem, poszukałam informacji o nabytych urazach mózgu i zapisałam moje odkrycia na stronie w książce latania.

nabywać

- *zyskać lub zdobyć coś przynoszącego przyjemność. zyskać*
- *odnieść z czegoś korzyść, pożytek, stać się posiadaczem czegoś, wypaść korzystniej pod jakimś względem, osiągnąć coś.*

posiadać

- *być właścicielem czegoś, zwykle o dużej wartości materialnej.*

przyjemność

- *miłe wrażenie wywołane dodatnimi bodźcami, uczucie zadowolenia.*

lekarze mówią, że mój mózg nabył, zyskał albo dostał uraz. to może, ale nie musi być prawdziwe, reszta jest niepoprawna, oto fakty:

- posiadanie mózgu, który nie działa poprawnie, nie jest pożądane, nie jest osiągnięciem,
- nie odczuwam przyjemności ani satysfakcji z posiadania mózgu, który nie działa tak, jak powinien,
- nie ma w tym nic korzystnego materialnie, jestem tylko ja i moje myśli obijające się o ściany, próbujące się wydostać.

wykropkowane fakty są łatwe do znalezienia, trudne do ułożenia

słowa mówione przychodzą powolne i bełkotliwe brzmią głupio

ale słowa w sercu sfruwają z mojego pióra.

szukanie wiadomości było łatwe, wszystko, co musiałam zrobić, to przepisać coś, co ktoś inny napisał, niefikcję. wyrażenie mojej opinii trwało godzinami, znalezienie odpowiednich słów. ułożenie ich na stronie, kiedy skończyłam, chciałam, żeby był ktoś, komu mogłabym to pokazać, ktoś, kto po przeczytaniu tego powiedziałby mi, że nie wygląda to na coś, co napisała dziewczyna z zepsutym okablowaniem.

9. Manny Uciekinier

Jestem chłopcem, który biega. Tym, który pokochał Alice. Nazywam się Manny James.

Kiedy pierwszy raz zobaczyłem Alice, było późno w nocy, a ona siedziała na dachu swojego domu. Takiego widoku się nie zapomina.

Tej nocy na niebie świecił ogromny jasny księżyc. Biegłem, jak zawsze, kiedy nie mogłem spać. Gdy dotarłem do kładki nad Przełęczą Charlotte, zatrzymałem się by złapać oddech. Powietrze było ciężkie i gorące, w oddali słyszałem nadjeżdżający pociąg. Spojrzałem w dół na drzewa i krzewy, które rosły pomiędzy torami a rzeką, i wtedy zobaczyłem coś dziwnego.

Był to dom na palach. Często tamtędy biegałem, ale do-
prawdy nigdy wcześniej go nie spostrzegłem. Wznosił się tak
wysoko, że prawie sięgał wierzchołków drzew. Jakby unosił
się w powietrzu.

*Musisz śnić, Manny Jamesie. Nawet w tym kraju domy nie
lewitują między drzewami.* Takie myśli kołatały się w mojej
głowie, gdy zobaczyłem światło w oknie, wysoko, prawie pod
samym dachem domu. Okno się otworzyło i ktoś

wyszedł na mały balkon. Była to dziewczyna. Miała bardzo długie włosy, sięgające prawie do pasa. Po tym poznałem, że to dziewczyna. Wspięła się na balustradę, a moje serce zaczęło bić szybko i głośno. Prawie tak głośno, jak pociąg, ale nie szybko z powodu biegania, tylko dlatego, że ta długowłosa zaczęła wspinać się po stromym dachu, a ziemia była bardzo daleko. Jednak nie krzyknąłem na nią. Nie zawołałem: *uważaj, dziewczyno!*. Nie mogłem. Mój język był suchy jak skórzany język w bucie, a klatka piersiowa ścisnęła mi się od powietrza, które nie mogło uciec. Pociąg był coraz bliżej, słyszałem go coraz wyraźniej, a ona wspinała się wyżej.

Kiedy bezpiecznie dotarła na szczyt, powietrze szybko ze mnie uciekło, ulżyło mi. Jednak wtedy wstała i znów się bałem. Tym razem myślałem, że skoczy. Wiedziałem jak to jest, gdy nie ma nadziei. Sam tak się czułem.

- Nie! Nie rób tego! Nie skacz! - krzyknąłem na cały głos, ale pociąg był o wiele głośniejszy ode mnie, a dziewczyna się nie ruszyła.

Przypominała rzeźbę na dziobie starodawnego statku, żeglującą w gwiazdach. Właśnie tak wyglądała. Sekundy mijały powoli, bardzo powoli. Nagle dziewczyna wyrzuciła ręce do góry i małe fragmenciki zaczęły opadać wokół niej. W miejscu, z którego pochodzę nie ma śniegu, ale widziałem go na filmach. Tak właśnie wyglądały te opadające kawałeczki. Wtedy tego nie wiedziałem, ale tą dziewczyną była Alice i kiedy o niej myślę, tak właśnie ją widzę. Jako dziewczynę na dachu przynoszącą śnieg w lecie.

Nigdy tego nie zapomnę. Pociąg przejechał między nami bardzo powoli. Jego wagony wiozły ziarno, a nie ludzi i nie

zatrzymywał się na stacji w Bridgewater. Przy końcu peronu pociąg zaczął przyspieszać i kiedy zniknął, dach domu przy Oktober Bend był pusty.

10. Manny

Pierwszy wiersz

Tej nocy znalazłem pierwszy wiersz. Było bardzo cicho, jakby pociąg zabrał ze sobą wszystkie dźwięki świata. Przebiegłem przez torowisko obok pustej szopy na towary i zniszczonych wagonów pokrytych graffiti. Nie wiedziałem, dlaczego biegnę tak szybko. Zarówno pociąg, jak i dziewczyna już zniknęli i nie miałem pojęcia, jak dostać się do domu między drzewami, ale i tak pędziłem. Przebiegłem przez przejście podziemne i schodami w górę na peron pierwszy, gdzie usiadłem na ławce i starłem pot z twarzy podkoszulką. Spojrzałem na medalik wiszący na mojej szyi. Był to prezent od dobrej Louisy James.

- Medalik jest na szczęście, Manny - powiedziała. - Będzie cię ochraniał.

Właśnie to mi oznajmiła. Byłem zszokowany. Nie myślałem, że w Australii muszę mieć przed czymś ochronę. Nikt mi nie powiedział, co przydarzyło się dziewczynie o imieniu Alice. Nosilem medalik codziennie, żeby sprawić przyjemność Louisie James. Nie potrzebuję złotego medalika na szyi, by mieć szczęście. Szczęście przyprowadziło mnie do Bulla i Louisy James, a oni stworzyli dla mnie rodzinę w domu o wielu oknach. Dali mi też wiele innych rzeczy,

ale nikt i nic nie może zapewnić bezpieczeństwa na zawsze. Ani medalik, ani osoba, ani szczęście. Nic. Taka jest prawda.

Gdy przestałem myśleć o szczęściu, podniosłem się i postawiłem nogę na ławce, by zawiązać sznurowadła w butach do biegania, które Buli i Louisa James mi podarowali. To wtedy zauważyłem plakat na tablicy ogłoszeń za siedzeniem. Było na nim zdjęcie ładnej pani, która piła coca-colę i ktoś dopisał obok jej buzi: *Czytaj z moich ust*. Jej usta były otwarte tylko na tyle, by przełknąć napój. Zobaczyłem też, że ładna pani miała coś przypięte do dłoni. Był to kawałek papieru złożony na kształt małego wachlarza. Plisy były związane sznurkiem, żeby się nie rozpadły. Wyciągnąłem szpilkę z ręki na plakacie, rozwinąłem sznurek i rozprostowałem papier. Okazało się, że wachlarzyk był zrobiony z opakowania po nasionach kwiatów.

- „Błękitne bratki Yates” - przeczytałem. - Odcienie indy-go, fioletu i granatu. Nigdy nie słyszałem o bratkach. Tam, gdzie leżą miny lądowe, nie rosną kwiaty. Przyglądałem się zdjęciu na opakowaniu - kwiaty przypominały mi twarze, które widziałem w snach. Miały ogromne, przestraszone oczy i brakowało im ust. Upuściłem paperek na siedzenie i podniosłem swój podkoszulek. Znowu wiedziałem, że muszę biec - tak właśnie się czułem, gdy myślałem o twarzach. Ale zanim ruszyłem, zobaczyłem, że na odwrocie opakowania jest coś napisane. To powstrzymało mnie od biegu.

pragnienie

moim pragnieniem jest być
zrozumianą

moja dusza jest wypełniona
śpiewającymi ptakami
jednak gdy otwieram się, by
je wypuścić
brudzą
moje usta.
anon

To była noc niespodzianek. Najpierw dziewczyna przynosząca śnieg, potem mały wiersz na peronie numer jeden. Często czytałem ten wiersz i za każdym razem wprowadzał mnie w przygnębienie. Byłem smutny z powodu Anon, mającej w sobie pieśni, których nikt nie rozumiał, i dlatego, że we mnie nie było już pieśni. Nie wiedziałem, czy mam duszę, ale jeśli tak, to byłem pewien, że nie była ona wypełniona niczym wartym wypuszczenia.

Zabrałem ten wiersz ze sobą, do domu o wielu oknach. Odsunąłem kołdrę na bok i położyłem się na łóżku tylko na chwilę, by zostawić odcisk na materacu. Robiłem to każdej nocy dla Louisy James, by dać jej nadzieję, że pewnego dnia nauczę się żyć w jej świecie. Księżyc zmienił deski podłogi w błyszczące morze i wkrótce usnąłem jak wyspa na jego środku.

Tej nocy pierwszy raz nie śniła mi się moja ojczyzna, Sierra Leone, ani ludzie i rzeczy, które tam pozostawiłem. Zamiast tego śniłem o znalezieniu drogi do domu wśród czubków drzew i długowłosej na dachu. Później dowiedziałem się, że ta dziewczyna to Alice.

11. Alice

lamentacja - wyraz żałoby

jestem dziewczyną, o której śnił manny, niemym głosem, który woła do niego na jawie i we śnie. jestem słowikiem⁴, jestem alicie i mam zarówno muzykę, jak i słowa.

nikt nie mógł mi powiedzieć jak powstała muzyka, a ja nie pamiętałam, jak długo tam była. czy od początku - ja słuchająca, gdy dryfowałam jak gwiazda na sznurze pereł na ciemnym, ciepłym morzu mojej matki? april nucąca cicho do syreniego stworzenia w swoim brzuchu? może tak, może nie. stary charlie zostawił swoją gitarę i harmonijkę pod łóżkiem, joey powiedział, że musieli go stąd wyciągać siłą. matka zostawiła mnie i joeya w naszych łóżkach, położyła swoje ulubione dziecko, wiolonczelę, w futerale wyłożonym aksamitem na fotelu obok w samolocie, w moich snach jestem wyłożona aksamitem, i jestem pusta.

gdy obudziłam się ze szwami jak łuski w głowie, muzyka już tam była. wylądowała jak chwostki szafirowe⁵, małeńkie, okrągłe ciała, długie, proste ogonki, samotne, w parach

4 Nazwisko bohaterki Nightingale oznacza w języku angielskim *słowik*.

5 Małe ptaki z południowo-wschodniej Australii, samce charakteryzują się niezwykle barwnym upierzeniem.

lub trójkach, przysiadły na drutach elektrycznych, niektóre z ogonkami w górę, inne w dół. do góry nogami, wiszące jak akrobaci na trapezie, ćwierćnuta, ósemka, szesnastka i trzydziestkadwójka. piękne nazwy dla pięknych dźwięków, z miejsca, w którym przysiadły, wiedziałam jaką nutę zaśpiewają, rysowałam je od dziobka do ogonka, jedno za drugim na szarych spodach pustych kartonów po płatkach śniadaniowych, i później, w książce latania, słowa przyszły potem, skąd, nie wiem. może były prezentami od chwostek. zesłane, by mnie pocieszyć, wypełnić ciszę zostawioną przez innych.

pieśni: wielo-wspaniałe rzeczy, zrobione ze słów, muzyki i tajemnic, tajemnicą było to, dlaczego ptaki przyfrunęły do mnie. czy znały mnie po imieniu, alicie, tę, która jest słowikiem? dziewczyna-ptak? czy widziały mnie w lustrze, gdy przyglądałam się wzgórzom i dolinom, krajobrazom mojego ciała? czy wiedziały, że wyobrażam sobie, że moje łopatki to zawiązki skrzydeł? w dni, w które wspinałam się na dach i marzyłam, by odlecieć do kanady, czy chwostki mnie obserwowały?

kruki przyleciały później, podrapały niebo żalem i smutkiem, przegoniły chwostki szafirowe, nie przyniosły ze sobą radości, pieśni, marzeń o lataniu.

na mapie jest linia, którą nazwano czterdziestym dziewiątym równoleżnikiem, widziałam ją na własne oczy w atlasie, który joey przyniósł ze szkoły, czterdziesty dziewiąty równoleżnik to miejsce, gdzie znajduje się kanada, kanada i nasza matka, april. wyrwałam tę stronę i ją zatrzymałam, myślałam, że moja matka może wiedzieć, co zrobić z moją zepsutością. z uspokajającymi pigułkami, z tym, że ptaki

przyleciały, april grała na wiolonczeli w królewskiej orkiestrze symfonicznej, na czterdziestym dziewiątym równoleżniku w kanadzie i innych odległych miejscach, wiedziałam tylko dlatego, że usłyszałam jak babcia opowiada o tym hattie fox.

hattie

kierowała pocztą nosiła szary ołówek za uchem i знаła sposoby na dowiadywanie się. mogła wywiercić dziurę w twojej duszy swoimi oczami w kolorze lodu.

babcia nigdy nawet nie drgnęła, gdy mówiła hattie, że april jest młoda i utalentowana, nikt nie powinien stawać na drodze jej sukcesu, powiedziała stanowczo, hattie pierwsza odwróciła wzrok, nerwowo bawiła się sznurkiem do wiązania paczek i rozprawiała o pogodzie dopóki nie wyszliśmy. w domu babcia nie wspomniała nic o april. joey powiedział, że kiedy leżałam w szpitalu, stary charlie próbował obudzić mnie z mojego długiego, dziwnego snu obietnicami o powrocie naszej matki.

- april wróci - szeptał - ona zawsze wraca, april nie wróciła, ale słowa charliego spłynęły do miękkiego labiryntu moich niesłyszających uszu. zostały tam dopóki nie miałam piętnastu lat, kiedy chęć pamiętania podniosła się we mnie jak zimny, zielony sok. trudno było powiedzieć, czy to, co

pamiętałam, było snem czy prawdą, marzeniem czy kłamstwem, nigdy nie śniłam o april. tylko o wyłożonym aksamitem futerale, śniłam, że było w nim dziecko, czy byłam nim ja, czy ono było moje?

obudziłam się niebojąca spadania, niebojąca zrobienia kroku w przepaść, spadanie się skończyło, teraz pozostało tylko latanie, joey też był niebojący, ale był zbyt ciężki, by latać, dwunastość czasami sprawiała, że wszystko wydawało się prostsze, niż było naprawdę, skomplikowane, gdy w rzeczywistości nie było.

kiedyś wierzyłam, że gniew był jedyną rzeczą, która obciążała mojego brata i starego charliego, trzymała ich przywiązanych do ziemi, napisałam dla nich wiersz, wyrażenie żałoby, lamentację.

latanie

to odpuszczanie furia

to kula u nogi

jakimi biednymi ptakami jesteśmy

on nie poleci

ja nie zaśpiewam i

nikt nie słucha

gdy słowik w klatce krzyczy

wolność.

wiersze znaczą cokolwiek, co ludzie chcą, by znaczyły, dlatego je lubię.

12. Alice

zasłużona kara jacka faulknera

joey zwinął magazyn z błyszczącymi stronami i zdjęciami łódek, wziął go tylko po to, by pokazać mi reklamę firmy o nazwie *muchy faulknera*. były tam kolorowe obrazki przynęt - moich przynęt z informacją o każdej z nich. nagłówek mówił o nich *okazy kolekcjonerskie*, joey powiedział, że to znaczy, że nigdy nie dotkną wody. będą przypięte, oprawione i powieszane na ścianie w domu bogatych ludzi albo trzymane w specjalnych skrzynkach z drewna z mosiężnymi zawiasami i zapięciami, przynęty na ludzi zamiast ryb. muchy do podziwiania i zazdroszczenia, byłam szczęśliwa, żadnych martwych ryb. żadnych krwawiących skrzeli. wtedy joey powiedział, że faulkner sprzedaje moje muchy za dziesięć razy więcej niż nam płaci, powiedział, że czas, ażeby, jacka faulknera spotkała zasłużona kara.

niektóre słowa zupełnie ze mnie zniknęły, wyciekły, zanim szwy jak rybie łuski mnie załatały, zasłużona kara musiała być jednym z nich. nie miałam pojęcia, o czym joey mówił, wskazał zdjęcia moich przynęt.

- popatrz na metki, które zrobili dla twoich much. są zupełnie zwyczajne, mogłabyś zrobić o wiele lepsze, możesz też

narysować obrazki, zrób ładniejsze, zanim faulkner przyjedzie następnym razem.

w centrum opieki pokazali nam jak robić takie rzeczy, jak: papier, fartuchy i torby na książki, sprzedawali je ludziom, którzy mogli zrobić wszystko, co chcieli, ale zupełnie nie mieli czasu, bo chodzili do szkoły, na uniwersytet albo pracowali, długo nie chodziłam do centrum opieki przez moją zepsutą elektrykę, ale wzięłam swój papier ze sobą do domu i nie używałam go, dopóki joey nie powiedział o robieniu etykiet dla faulknera.

stworzyłam moje własne etykiety jak maleńkie książki
złożyłam papier
uważnie przedarłam
wzdłuż zagięć
zszyłam strony
wklejki
igłą, której babcia używała do zszywania pieczonych kurczaków po tym
jak wypełniła ich puste brzuchy
chlebem i tymiankiem
jajkiem, szalwią i cebulą.
w środku każdej książki napisałam
nazwę muchy
jej typ
linkę pływającą lub tonącą długoogonkowe czy spadochronowe po drugiej stronie napisałam jakich piór
użyłam i gdzie zostały znalezione

czy wiązania były lniane, czy jedwabne i
wagę i
rozmiar
haczyka.

na końcu, na okładkach moich maleńkich książek napisałam
ozdobne „n” jak nightingale i ozdobiłam je rysunkami, obrazki
były dla mnie łatwiejsze niż słowa, wydawały się przychodzić
z innego miejsca we mnie. rysowałam je tak, jak obrazki, które
widziałam w książce, którą ksiądz dał babci, byłam w szpitalu,
gdy przyniósł ją do domu, ale joey tam był. widział i słyszał
wszystko, babcia powiedziała księdzu, że nie chce jego książki.

powiedziała

że żadne obrazki

żadne piękne słowa

nie zmienią tego, co się stało

nie przywrócą jej wnuczki w całości

nie uwolnią jej męża

ksiądz położył książkę delikatnie

na kolanach babci

może na inne, lepsze czasy

ale gdy wyszedł

książka zsunęła się z kolan babci jej cudowność ukryta przed
nią jej wzrok skupiony tylko na własnym maleńkim świecie
ból i cierpienia moje serce krwawi, gdy o tym myślę słowach i
obrazkach zduszonych

przez zimną, twardą podłogę i o babci zaślepionej przez łzy.
joey ocalił książkę, dokładnie wygładził strony, spojrzął do środka, gdzie ksiądz zapisał słowa, których babcia nigdy nie przeczytała, o uczuciach, których nigdy nie doświadczyła i o wybaczeniu, zakręcany charakter pisma był tajemniczy dla dziesięcioletniego chłopca jak obcy język wydrukowany na kartkach, ale zatrzymał tę książkę, schował pod domem razem z bronią, którą nasz dziadek ukrył, zanim przyszła policja.

później, dużo później, po tym, jak obudziłam się z mojego dziwnego snu. po tym, jak nauczyłam się ufać niedźwiedź, poszłam z nią pod dom, gdzie trzymała kości, gumki i piłki tenisowe, tam znalazłam niechciany prezent zawinięty w plastik, zwisający z sufitu w plecionym worku, nazywała się *księgą z kells*. myślałam, że to musi być najpiękniejsza książka na świecie, obrazki w środku przedstawiały głównie świętych, zwierzęta i ptaki.

myślałam o babci

gdy na nie patrzyłam

marzyłam, żeby

ją przekonać, by spojrzała

na obrazki

myślałam

że ich wspaniałość pomoże wypełnić jej ciszę i pustość.

a gdy w końcu skończyłam robić etykiety dla moich przynęt, marzyłam, żeby pokazać je babci, nie chciałam być powodem jej wiecznej rozpacz, chciałam, aby wiedziała, że nie wszystko we mnie jest uszkodzone, na okładce każdej etykiety, gdzie narysowałam „n” jak nightingale, ukryłam głowę joey a wśród wałek i kwiatów, ptaków, piór i ryb. splótłam je razem, splątałam jak sny. pokolorowałam je tuszami, które zrobiłam z: jagód, buraków i paproci
łupek z cebuli i orzechów
ale nie odważyłam się pokazać, co
zrobiłam, babci ze strachu, że odkryje
że zatrzymałam *księgę z kells*.

gdy tusze wyschły, ścisnęłam etykiety między stronami słownika do czasu aż joey pójdzie do centrum opieki, powiedział, że ja nie muszę przychodzić, ale chciałam, byłam ciekawa miny faulknera, gdy zobaczy moje etykiety, kiedy dostanie zasłużoną karę.

stałam z joeyem naprzeciw mężczyzny z miasta.

- ach, rzemieślniczka z bridgewater - powiedział, jego wzrok po mnie pełzał.

podniosłam moje etykiety spomiędzy słownych stron położyłam je na stole patrzyłam, jak napełnia płuca dymem i rzuca swojego śmierdzącego peta na świeżo zmytą podłogę

rozgniała go
pod swoją twardą podeszwą z miasta
zobaczyłam jego ramiona rozpostarte szeroko
na aluminiowym kancie
różowego laminatowego stołu
głowę zwieszoną nisko między ramionami
blisko moich etykiet.

patrzyliśmy
ja na niego, a on na
moje etykiety, gdy
ziemia się poruszyła
przyszędł przypyływ
a wszechświat się odrobinę postarzał
dym uciekł z
nosa faulknera, wylał się
z kącików jego ust
zawinał do góry ku
sufitowi

joey i ja usłyszeliśmy jak szepnął o matuniu.

joey spojrział na mnie i nic nie powiedział, ja patrzyłam na faulknera aż nie mógł już ignorować tej głośnej ciszy między nami. wyprostował się. oderwał wzrok od etykiet, popatrzył na mnie, jakby próbował przeczytać książkę z samymi obrazkami zamiast słów. nie odwróciłam wzroku.

- cholera, to jest genialne - zasyczał cicho.

- tak, są genialne i będą cię kosztować piętnaście dolarów za sztukę plus przynęty - powiedział joey.

zanim wróciliśmy do domu, joey zabrał mnie do kiosku, wyciągnął banknot ze zwitka, którym zapłacił mu faulkner i kupił małą, kwadratową buteleczkę złotego atramentu.

nigdy więcej nie widziałam faulknera

nie pamiętam

koloru jego oczu

zmarszczek jego przeszłości

kształtu jego ust

brzmienia jego głosu

zapachu jego pieniędzy.

ale nie mogę zapomnieć jak zarówno słodziutkie, a zarazem wulgarne słowo tak łatwo spłynęło z jego ust... podobało mi się, kiedy dobre słowo zabrzmiało jak hymn w jego gardle, a brudne zasyczało i spadło niczym grad na ognie piekielne, ogień i lód idealne przeciwieństwa, jedno czyniło drugie głębszym, bogatszym, bardziej strasznym i prawdziwym.

później, dużo później

gdy mamy i ja się

odnaleźliśmy, gdy

się poznaliśmy i dotknęliśmy

skórą oddechem i duszą

jedynym sposobem w jaki mogliśmy

rozpruć szwy

które zamykały nasze sekrety wewnątrz było użycie słów

w sposób w jaki zrobił to faulkner.

13. Alice

gołąb pomiędzy papierkami

jakby wiedziała, że życzenia, które wydają się niemożliwe, czasami się spełniają, jakby wiedziała o chłopcu na moście, niedźwiedź obudziła mnie wcześniej rano. następnego dnia po tym, jak manny james patrzył na letni śnieg spadający z mojego dachu, poprowadziła mnie przez zroszony ogród, pod gałęziami uginającymi się od jabłek, słońce przebiegało po wszystkich szkarłatnych palcami, prześwietlając groszek cukrowy w jego przejrzystych łupinkach, niedźwiedź zatrzymała się przy płocie za poczekalniami, powąchała nowe niebo, przecisnęła się przez dziurę w diamentach drutu, a ja poszłam za nią. jakby wiedziała dokładnie, gdzie był ten chłopiec: na most, przez nitki stalowego spaghetti na torowisku i na peron pierwszy, niedźwiedź mnie prowadziła.

modelka z plakatu patrzyła na mnie
dziewczyne, która włożyła słowa w jej usta.

ja patrzyłam
na jej pustą dłoń
szukałam tej zaginionej rzeczy
podniosłam ogłoszenie ogrodnika

przesunęłam program królewskiego teatru
sprawdziłam kosz na śmieci i między
listwami na siedzeniach, które ludzie popychali
brązowe worki po ciastkach
siedziałam i patrzyłam
na poranek z waty cukrowej
oszołomiona
wyborną tajemnicą, kto
zabrał moje słowa?

zanurzyłam rękę w torbie, wyciągnęłam garść papierków i
położyłam je na kolanach, szukałam czegoś, co wypełniłoby
dziurę po wierszu na torebce po nasionach bratków, zajęło mi
to zbyt dużo czasu, niedźwiedź szturchnęła mnie nosem,
spojrzałam na zegar, usłyszałam tykanie, zobaczyłam jego
długą wskazówkę pokazującą niebezpieczną czarną cyfrę,
dziesięć minut do odjazdu, niedźwiedź drżała od dźwięku
nadchodzących silników, kół i kroków przyszłych pasażerów,
w oddali biegacz minął salę gimnastyczną, chciałam wierzyć,
że to ten sam chłopak, którego widziałam na moście, małego
jak kciuk, oblanego światłem księżycy, chciałam zaczekać, aż
się przybliży, użyć słów mówionych zamiast pisanych,
zapytać, czy pamięta dziewczynę na dachu nad oktober bend.
życzyłam sobie rzeczy niemożliwych, że kilka słów wiersza,
który wyrzuciłam w noc, trafiło do biegającego chłopca,
kawalek mnie. jedna lub dwie myśli z mojego szalonego
mózgu.

zęby niedźwiedź pociągnęły za rąbek mojej spódnicy, nie
mogłam sobie pozwolić na to, by ktoś zobaczył mnie z torbą
pełną słów. przyłapał mnie na gorącym uczynku.

anon, dziewczynę z dziwną elektryką, inaczej moje słowa mogłyby nigdy nie zostać przeczytane, myśli nigdy niepodzielone. zanim biegacz był na tyle blisko, by zobaczyć moją twarz, niedźwiedź i ja zniknęłyśmy.

nie widziałam, jak wiersz ucieka z mojej torby, opada jak piórko, wtula się jak gołąb pomiędzy papierki i chwasty, nie widziałam biegającego chłopca, wyprostowanego jak włócznia, przyglądającego się tablicy ogłoszeń, z jego kieszeni wystawał wiersz związany fioletową nitką, niedźwiedź i ja byliśmy daleko, gdy znalazł mój zagubiony papierek, wygładził go w rękach, usiadł i przeczytał moje słowa.

jestem
poetką z dachu
na haju haiku
bezgłośnie krzyczącą
sonety do gwiazd
dających skrzydła
słowom dającym mi skrzydła
razem lecimy
moje słowa z drogi mlecznej i ja.

nie wiedziałam, że biegaczem był manny james. nie wiedziałam, że mój wiersz przekonał go, że osoba, która to napisała, zgubiła i zniknęła, to ta sama dziewczyna, którą widział na dachu domu nad oktober bend. nie wiedziałam, że życzenia, które wydają się niemożliwe, czasami się spełniają.

14. Alice balerina na *rowerze*

niedźwiedź i ja znałyśmy wszystkie objazdy skrót
kryjówek i jak
zniknąć, by
być bezpiecznymi.

w przeciągu kilku sekund biegłyśmy wzdłuż miękkiej polnej
drogi przy rzece, pokryte pręgami słońca i cienia jak tygrysy,
wypełnione owocowym powietrzem, moje okablowanie nie
włóczyło się. moja elektryka biegła prostymi czarnymi liniami,
żadne iskry nie leciały w mojej głowie, nie wisiały nade mną
chmury kruków, moje oczy namokły łzami, ale tylko ze
szczęścia, bo ktoś zabrał moje słowa.

joey siedział niezapięty w ogrodzie
obierając groszek cukrowy

we włosach miał wielobarwne pióra rozelli⁶
i pręciki światła
pręgowany krawat wepchnięty
do kieszeni niebieskiej koszuli, gotowy
do szkoły.
opadłyśmy obok niego, niedźwiedź i ja.
- gdzie byłaś? - zapytał, a ja otworzyłam torbę, by mu pokazać.
- jeden zniknął! - powiedziałam, joey słuchał, usłyszał podekscytowanie w moim bezkształtnym głosie, zobaczył ślady soli na moich policzkach, nikt nie mógł obronić mnie przed łzami, nie cały czas. nawet joey. zdarzały się najczęściej, gdy moje tabletki na spokój były w puszcze po cukierkach catburys. nie wzięłam ich tego ranka, babcia wstała przede mną. patrzyła jak połykam, kazała mi otworzyć buzię, udowodnić jej pustość, dobrze je ukryłam, a teraz przyszły łzy. brwi joeya ułożyły się w grymas.
- coś się stało? potrząsnęłam głową.
- szczęśliwa - powiedziałam.
- to dobrze, muszę już iść, bo się znowu spóźnię, przeszliśmy pod mostem i wskazałam na wydrapany napis.
- nie porzucasz? - zażartowałam.
- nie. kiedy wrócę, pójdziemy potańczyć, wracaj do domu. dom, niedźwiedź, dom.
joey był ogrodnikiem marzycielem

6 Jeden z sześciu gatunków kolorowych papug w Australii.

puszczaczem kaczek
wspinaczem drzew
gwizdaczem melodii
rybakiem
kłamcą
i złodziejem.

robił zakupy i płacił rachunki, joey nie był tancerzem, ale w środowe popołudnia zabierał mnie na lekcje baletu, kolejna czynność, którą ktoś uważał za dobrą dla dziewczyny, która na zawsze będzie miała dwanaście lat. joey jechał na swoim rowerze, moje baletki przywiązane do kierownicy, ja na bagażniku za nim. niedźwiedź nie mogła wejść do sali gimnastycznej, jeśli nie była w kagańcu, wyobrażanie sobie niedźwiedź z klatką na pysku przegrzewało moją elektrykę, kagańce były na liście ze *zmusić*, *zmuszona* i *zmusił*, przypominały mi wielkie ręce i nieoddychanie. więc w środy niedźwiedź zostawała w domu, pod palami, kiedy joey zabierał mnie na tańce.

zakładałam baletki, które pożyczyła mi nauczycielka baletu, pani cassidy. krzyżowałam szerokie satynowe wstążki, zawiązywałam je w luźne kokardy, które opadały wokół moich kostek, nie mogłam ich nosić ciasno związanych, pani cassidy zawsze wyglądała, jakby chciała je poprawić, jednak nigdy tego nie robiła, myślę, że się mnie bała. bała się spadania, które czasem się działo, gdy byłam gotowa, siadałam na długiej drewnianej ławce przy ścianie, obserwowałam dziewczynę, której twarz była idealnie owalna, joey też ją obserwował, na imię miała tilda. powinnam była się domyślić po sposobie w jaki na nią patrzył, po tym, jak ona

tańczyła zawsze bliżej niego, jak ćma, która leci do płomienia, powinnam była wiedzieć, że ona będzie komplikacją.

włosy tildy były błyszczące jak skrzydła kruka, zbierała je i wiązała w ciasny kok. nosiła po trzy srebrne spinki po obu stronach głowy i dwie z tyłu. jej włosy nigdy się nie ruszały, nawet gdy skakała lub obracała się, ani jeden kosmyk się nie wywinął, to naprawdę były wspaniałe włosy baleriny, idealne włosy, idealna twarz, idealna tilda. czasami wyobrażałam sobie, że mam włosy jak ona i tańczę na czubkach moich różowych baletek. ale zwykle nie myślałam o tańczeniu w ogóle, pozwalałam moim myślom wędrować, pozwalałam sobie współczuć tildzie. żaden z jej zgrabnych ruchów nie zrodził się z radości, a jej uśmiech ze szczęścia, nawet ja wiedziałam, że taki rodzaj tańca to tylko skomplikowany rodzaj udawania, zaplanowany z wyprzedzeniem.

kiedy obserwowałam idealną tildę
kołysałam się w rytm muzyki
jadłam aksamitne brzoskwinie z brązowej
papierowej torby
śledziłam palcem inicjały
wryte na siedzeniu
dotykałam antycznej gumy do
żucia pod spodem i
zastanawiałam się
czy ptaki przylecą
miałam nadzieję, że będą to chwostki nie kruki.

taniec tildy polepszał się z każdym tygodniem, dla mnie sprawy pozostawały w gruncie rzeczy takie same. nie tańczyłam w ogóle, nie robiłam nawet jednego kroku, czasami jadłam wiśnie zamiast brzoskwiń albo wieszałam je na uszach jak kolczyki, wyobrażałam sobie siebie, tańczącą flamenco i piszącą ptasie pieśni na czystych białych kartkach, nie w tym samym czasie, ale tego dnia, gdy manny uratował mój wiersz z chwastów, coś się stało, bez ostrzeżenia.

niedźwiedź spała w cieniu pod domem
obok puszek po cukierkach catbury's
joey był oczarowany
gorącym, słodkim zapachem tildy
gracją jej rąk
pochyleniem jej głowy.
nie usłyszał głosu młodego mężczyzny
nie poczuł ruchu powietrza
nie dostrzegł cienia kruczonych skrzydeł
ani zapachu strachu
krwawiącego
ze mnie.

15. Alice francuskie węzélki i upadanie

trener cassidy przyprowadził bombardierów z bridgewater do sali gimnastycznej na trening przed sezonem, jego żona, pani cassidy, miała im pomóc z rozciąganiem, zwinnością i elastycznością.

bombardierzy zajęli miejsca na trawie, ganku i twardym gorącym żwirze, czekali, aż tańczenie się skończy, aż muzyka przestanie grać. ich głosy bombardowały okna. odbijały się od ścian, wstrząsały mną.

wstążki wokół moich kostek robiły się ciaśniejsze i ciaśniejsze, kiedy rozpaczliwie chciałam je rozwiązać, chciałam zawołać głośno:

joey, chodźmy!

chciałam krzyknąć na panią cassidy,
że tańczenie nie naprawi mojej elektryki,
ale panika była ogromna
i gorąca jak ręka na moich ustach
i nosie chmury kruków uderzały skrzydłami

zasłaniały światło kradły mi powietrze i ja powoli opadałam w dół jak umierający łabędź.

kępka trawy, szopa na rowery, kucający joey. to zobaczyłam, kiedy wróciłam z ciężkimi rękami, nogami i oczami, raz za razem joey przecierał moje czoło czymś mokrym i chłodnym, popołudnie było nabrzmiałe od światła słońca, panowała cisza, tancerki zniknęły, piłkarze uzwinniali się w środku, poza jednym, moje oczy otwarły się szybko i szeroko, by zobaczyć ostatniego z nich. stojącego jak cień mojego brata.

wyrzeźbiony z mahoniu wypolerowany pszczelim woskiem
święty z *księgi z kells* wojownik, marzenie z

wyhaftowanymi włosami

zgrabnymi francuskimi supełkami

chciałam

ich dotknąć

czytać je jak braillea

przejechać palcami wzdłuż

poszarpanej blizny łączącej

ramię z łokciem.

chciałam

wiedzieć dlaczego tam była co ukształtowało tego chłopca?

trener wystawił głowę zza drzwi i krzyknął:

- ruchy, jamesy!

wtedy wiedziałam, że wróciłam z miejsca, w którym byłam, gdziekolwiek to było. chłopiec przede mną był rzeczywisty i prawdziwy.

joey wyciągnął w jego stronę mokrą chusteczkę.

- wszystko będzie z nią w porządku, dzięki - powiedział, ale chłopiec zdawał się nie słyszeć ani joeya, ani trenera, zignorował chusteczkę, gapił się na mnie. moje ręce popęzły w stronę spódnicy, ale joey już wszystko poprawił, ułożył moje nogi prosto, razem, pociągnął moją spódnicę w dół. tak, jak robił to zawsze, gdy byłam daleko, zmusiłam się, by spojrzeć w oczy chłopca.

nie bój się, piękny chłopcze, proszę, nie bój się. urodziłam się normalna i wciąż jestem prawie normalna, a tak w ogóle, to nie była moja wina. ostrzegają cię przed wszystkim innym - nie bierz słodyczy od obcych, nie wsiadaj do samochodów z ludźmi, których nie znasz, ale nigdy nie mówią ci, dlaczego masz tego nie robić, nikt nie powiedział nie patrz na gwiazdy nad oktober bend, mała alice nightingale. nikt mi nie powiedział, że są ludzie, którzy robią takie rzeczy dzieciom, a teraz moja elektryka jest zepsuta, moje słowa wychodzą dziwne, a lekarze mówią, że mogę na zawsze mieć dwanaście lat. może tak myśli moja matka: alice wciąż będzie miała dwanaście lat, gdy wrócę, nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że mam tak samo piętnaście lat, jak wszyscy inni. a joey mówi, że kiedyś ktoś znajdzie sposób, żeby naprawić moją szaloną elektrykę, do tego czasu będę kłaść moje słowa na papierze, ale dla takiego chłopca jak ty, brałabym moje tabletki na

spokój, jeżeli tego byś chciał - pomyślałam. - jeżeli tego byś chciał.

cykady wciąż hałasowały, trener krzyknął znowu i chłopiec odszedł, nie wiedziałam, że był tym, którego widziałam małego jak kciuk w środku nocy i wczesnym rankiem, biegającym chłopcem.

manny jamesem, podążającym moim papierowym śladem, z każdym wierszem bliższym znalezienia anon. znalezienia mnie.

dłoń dotknęła mojej twarzy, spojrzałam na moje mokre palce i poczułam rozpacz płynącą cicho po moich policzkach, wzięłam niebieską chusteczkę od joeya. zebrałam mój smutek jej biało-czerwonym brzegiem i zastanawiałam się skąd, kim i dlaczego.

skąd przyszedł ten chłopiec kim był
i dlaczego trener zawołał go „jamesy”, gdy
było czerwone „e”

wyszyte w rogu jego chusteczki?

wcisnęłam ją do mojego baletka. joey wziął mnie za rękę.

- chodźmy do domu - powiedział.

poprowadził swój rower, a ja guzdrałam się obok niego, wciąż nie wszystko było w porządku, lecz myśli o moim upadaniu bladły w porównaniu do jasnego wspomnienia o chłopcu.

- tylko nie mów babci - odezwałam się, gdy byliśmy niedaleko poczty hattie fox. nie chciałam, żeby gadała o tabletkach,

których nie wzięłam, joey przytaknął, nie wspomnieliśmy również o chłopcu, babcia była podejrzliwa albo przesądna, albo jedno i drugie, szczególnie, jeżeli ktoś dobrze wyglądał, kiedyś opowiedziała mi historię anioła o imieniu lucyfer, co znaczy światło, lucyfer zrobił coś, czego nie powinien, coś tak okropnego, że spadł z nieba i zmienił się w diabła, księżę ciemności to imię diabła, teraz mógł się podawać za kogoś i cokolwiek, i zwyczajni ludzie się na to nabierali, bo był taki piękny, nie chciałam być jak babcia, przestraszona i podejrzliwa.

czy księżę ciemności mógł przebrać się za ciemnoskórego chłopca z francuskimi węzełkami na głowie? - zapytałam sama siebie.

gdy minęliśmy pocztę, zdecydowałam, że babcia się myli.

16. Alice

modlitwy do Boga latających stworzeń

niedźwiedź czekała na nas przy metalowym płocie, wyczuła nieświeży zapach strachu na mojej skórze i ubraniach, jeżeli zezwolono by jej siedzieć na schodach do sali gimnastycznej, wiedziałyby, co się dzieje, zanim cokolwiek by się zaczęło, jeżeli pani cassidy pozwoliłaby jej leżeć u moich stóp, mogłabym się jej trzymać dopóki nie przepędziłaby ptaków, niedźwiedź i ja byłyśmy czymś więcej niż rodziną i przyjaciółkami, mówiłyśmy w sobie tylko znanym języku, objęłam ją ramionami, pozwalając jej lizać moją twarz i ręce, dopóki moje okablowanie nie zrobiło się luźne jak rozgotowane spaghetti, rozplątane, rozluźnione, wtedy sprowadziła nas stromym brzegiem nad rzekę, w stronę domu.

babcia drzemała w hamaku starego charliego, pomalowanym czerwono-złotym popołudniem, cienie zbierały się w jej wąwozach i fałdach, włosy miała miękkie jak puch dmuchawca, ręce skrzyżowane na fartuchu, kiedyś twarde jak ręce każdego mężczyzny.

wywijały siekierą przerzucały rzeczną glinę

łatały nasz rozpadający się dom odciągały starego charliego
od kłopotów od pubu do domu

ręce delikatne przez miłość przygarniały nas powiedziały
nam, kiedy nasz tata umarł i kiedy nasza matka odeszła twarde
i czułe ręce zaniósł mnie do domu złamaną i zakrwawioną
pod gwiazdami.

- ramiona wieczności - powiedziałam cicho. - opieram się na
ramionach wieczności.

to słowa hymnu, babcia miała je na każdą okazję, czy śpie-
wała, gdy niosła mnie do domu? nie pamiętam wiele z tej nocy.
nie chcę pamiętać.

najlepsze z tego wszystkiego

niebo - pełne gwiazd

błyszczących jak nowe haczyki na ryby.

stary charlie i joey

nad oktober bend

przygotowujący sieci na krewetki.

najgorsze z tego wszystkiego

ręce pojawiające się

przed moja twarzą

krzyki
nie mogłam krzyczeć oddech
którego nie mogłam złapać i potem
kamień opadający
opadający
opadający

- pospiesz się, weź swoje rzeczy - powiedział joey.

idąc przez sad, napychaliśmy nasze kieszenie rozgrzanymi niebieskimi śliwkami, siódma wieczorem, światło dnia oszczędzające czas i wciąż upalne, świerszcze śpiewały, cykady popiskiwały, niedźwiedź prowadziła, krzaki pokrywały brzegi żywe od chwostek, gili i kraśniczków falistych⁷, zatrzymaliśmy się przy powalonym drzewie, którego gałęzie rozpościerały się nad rzeką, joey nabił przynętę na haczyk, przywiązał ciężarek w kształcie łyżeczki do linki i zarzucił ją nad napiętą, szarą skórę wody. kołowrotek się zakręcił, spławik zakołysał na wodzie, joey wbił korkową rączkę wędki w błoto, jaskółki prześlizgiwały się przez powietrze, łapały komary i muchy, a ja patrzyłam na to wszystko i przywoływałam nieśmiałego zimorodka, by się pokazał.

czasami, gdy joey łowił, ja czytałam *wiązanie much: kompletny przewodnik do wiązania much na pstrągi* albo pisałam coś w mojej własnej książce, wyobrażałam sobie skrzydła, które mogłam zrobić z tych wszystkich piór, jakie kiedykolwiek znalazłam, widziałam siebie stojącą na dachu z nimi przyczepionymi do ramion, słowami i skrzydłami, to bez

7 Ptasek o intensywnie czerwonym ubarwieniu ogona.

różnicy, w mojej głowie, stawiam krok. nie ma spadania, jest tylko latanie, wznoszę się. urodzona na nowo. nowa.

ale tym razem, tego popołudnia, latanie mnie nie uwiodło, moje ciało było zakotwiczone w ziemi chęcią ponownego zobaczenia chłopca, nuciłam ciche modlitwy, moje usta poruszały się jak u szaleńca, błagałam Boga wszelkich latających stworzeń, by zesłał dla mnie zimorodka, by podarował mi błyszczące piórko, obiecywałam, że użyję go do skomponowania najpiękniejszej przynęty, pięknej rzeczy, która spodoba się haftowanemu chłopcu, ukradkiem jak zmierzch skradłam błyszczący haczyk ze skrzynki joeya. szybko jak oddech przyłożyłam jego kolec do mojego nadgarstka, zamknęłam oczy i pociągnęłam, jaskrawy koralik krwi wezbrał na mojej skórze, rubinowy klejnot, krew na moim nadgarstku była dowodem mojego poświęcenia, a gdy przyjdzie

ja

przekażę mu nowe wiersze
na pięknych białych kartkach
sonety i pieśni
rzędy notatek
dla słów do tańczenia
a gdy je przeczyta, będzie
wiedział, że ja jestem
więcej
niż dwanaście więcej
niż złamana, o wiele

więcej, weźmie
moją dłoń, przyciśnie moje palce delikatnie do swoich
poranionych miejsc i ja będę znała ich znaczenie.

prośby zostały wypowiedziane, krew na moim nadgarstku
była dowodem mojego poświęcenia, wtedy joey wyszedł
znak zapytania w mojej dłoni, wyrwał mi haczyk, starł piękne
krople z mojej skóry, przyciągnął mnie szybko, trzymał mocno
przy sobie.

- nigdy więcej krwi, alicie - oznajmił - nigdy więcej!
powiedział, że śnił o krwi. o mojej twarzy po tym, jak kamień
rozłupał moją czaszkę.

- nigdy więcej krwi.

tej nocy świerszcze śpiewały pieśni miłosne w gałęziach
drzew, a ja napisałam wstęp dla chłopca, za którym tak tę-
skniłam.

dla niektórych dwanaście to ładna liczba ale ja
jestem alicie piętnaście razy bardziej.

17. Manny

odnalezienie dziewczyny, która sprowadziła śnieg nad *dachem*

Pamiętam, że zobaczyłem ją, leżącą na ziemi, z włosami czerwonymi jak ogień i skórą bladą jak kość. Patrzyłem, jak chłopak prostuje jej spódnicę i upewnia się, że nie widać niczego pod spodem. Widziałem, jak delikatnie gładził jej ręce i włosy, kiedy jej ciało trzęsło się i drgało. Jego głos był spokojny i cichy, gdy mówił do niej, ale wydawał się zły na wszystkich innych.

- Odwalcie się, debile! - krzyknął. Nie byłem do końca pewien, co te słowa znaczyły, ale było jasne, że on kocha tę dziewczynę.

Gdy się obudziła, nie odezwała się. Jednak kiedy spojrzała na mnie, jej oczy i jej cisza przypomniały mi o innych twarzach. To były smutne twarze. Ich oczy były przepełnione rozpaczą, bo widziały wiele rzeczy, lecz ich usta nie mogły się otworzyć, by o tym opowiedzieć. To były twarze, które podążyły za mną z drugiej części świata, bo nie zrobiłem nic, żeby im pomóc. Kiedy patrzyłem na tę dziewczynę, zastanawiałem się, co ona musiała widzieć, że jej oczy są tak smutne. I czy jej usta też nie mogą się otworzyć, by o tym mówić.

Wtedy spojrziałem na chłopca, który ją kochał i wiedziałem, że ta dziewczyna jest inna niż ludzie z moich snów. To z jego powodu była inna. Ten chłopiec nie był taki, jak ja. On by nie uciekł. To właśnie o tym myślałem, kiedy obserwowałem ich przed salą gimnastyczną.

Tego ranka, gdy biegałem, w oddali zobaczyłem dziewczynę i psa. Ta dziewczyna, leżąca na małym trawiastym wzniesieniu nie miała przy sobie psa. Obie miały długie włosy jak tajemnicza postać, którą widziałem w nocy na dachu. Czy to była ta sama osoba? Czy ta rudowłosa dziewczyna sprawiła, że śnieg padał w lecie? Czy to ona zostawiała dla mnie wiersze? Te pytania zadawałem sobie raz po raz i z całego serca pragnąłem, żeby to była ona. Chciałem zapytać o znaczenie wierszy. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, że odpowie mi, że wiersz może znaczyć cokolwiek twoje serce chce, żeby znaczył.

Gdy trener mnie zawołał, stałem się cieniem. Od bardzo dawna nikogo nie śledziłem, ale nie zapomniałem, jak się to robi. Szedłem blisko trenera. Tak blisko, żeby czuł moją obecność jak pelerynę wokół swoich ramion i mógł mnie dostrzec kątem oka. Wiedział, że to ja tam jestem. A gdy wszedł do sali gimnastycznej, wymknąłem się. W pomieszczeniu wypełnionym innymi chłopcami nie zauważyłem, że mnie nie ma. Tak to jest być cieniem. W jednej chwili jest przy tobie, bliski jak brat, jak skóra. Tak bliski, że zapominasz o nim i wtedy znika. Tak właśnie się dzieje. I tak stało się z trenerem Cassidy. Byłem z nim, a po chwili już nie.

Pobiegłem w kierunku, w którym poszedł chłopiec, prowadzący dziewczynę. Za poczekalnię stacji kolejowej, przez torowisko. Tak samo jak tego ranka, zniknęli jak dziewczyna

z psem. Po drugiej stronie torowiska był wysoki druciany płot. Pokrywały go pnące rośliny i błękitne kwiaty rozmiaru pięści i nie mogłem znaleźć przejścia. Z drugiej strony dobiegły mnie głosy. Słuchałem uważnie, by rozpoznać kierunek, z którego dochodziły, a wtedy wspiałem się na płot, cicho opadłem na ziemię po drugiej stronie i zdjąłem buty i skarpetki. Wtedy znowu stałem się cieniem. Cień nie ma ciała. Nie wydaje dźwięku. Liście nie szeleszczą, gdy mija je cień, a wysoka trawa się nie ugina. Cień nie zostawia śladów stóp. W Sierra Leone żołnierze mówili, że mali chłopcy to świetne cienie.

Patrzyłem i słuchałem. Bardzo łatwo było ich znaleźć. Rzeka i ptaki mi pomogły. Rzeka przyniosła do mnie ich głosy, a gdy spojrzałem w miejsce, skąd dochodziły dźwięki, małe ptaki wleciały z czubków krzewów. To właśnie robią ptaki, gdy ktoś się do nich zbliża. Nawet jeśli padnie na nie cień, podrywają się do lotu. Małe ptaki obserwują ziemię, wyglądając cieni drapieżników. Żółty pies nie wyglądał cieni. Trzymałem się strony zawietrznej, żeby nie mógł mnie wyczuć.

Skradałem się przez kępy trawy pampasowej. Jej strzępiaste pióra były wyższe ode mnie. Nie widziałem rzeki, ale czułem jej zapach i chłodne, wilgotne powietrze unoszące się znad ziemi. Rzeki na całym świecie tak robią, zdradzają ci, gdzie są.

Znalazłem miejsce na brzegu zarośli, skąd mogłem zobaczyć rzekę. Skąd mogłem obserwować chłopaka i dziewczynę z sali gimnastycznej. Myślałem o małym trawiastym wzniesieniu, o włosach dziewczyny i jej smutnych oczach, gdy nagle chłopak wziął ją w ramiona. Nie oplótł ich wokół

niej delikatnie, nie dotykał jej z czułością, uwagą, jak przed salą gimnastyczną. Poruszył się nagle, jakby chciał czemuś zapobiec. Usłyszałem, jak jego głos się podnosi, ale nie mogłem rozróżnić słów. Może był zły. Mięśnie w moich nogach naprężyły się od chęci biegu. Ale dziewczyna nie szarpała się. Położyła głowę na jego ramieniu. Zrobiła to sama. To była dla mnie zagadkowa rzecz, dla chłopca, który nie wiedział, że są rodziną, który nie znał ich sekretów i smutków. Wiedziałem tylko tyle, ile zobaczyłem.

Jej wiersze spoczywały w mojej kieszeni. Nie musiałem ich czytać. Znałem ich słowa na pamięć. I w moim sercu byłem pewien, że to ona je napisała. Dziewczyna taka jak ona nie potrzebowała kogoś takiego, jak ja. Powinienem zostawić ją w spokoju z tym drugim chłopakiem, ale zamiast tego zwinąłem się w kłębek w mojej kryjówce. Byłem bardzo zmęczony uciekaniem.

18. Alice tu spoczywa

modlitwy albo prośby, albo obietnice
do Boga wszelkich latających stworzeń
zmieniły nic
zmieniły wszystko
zmieniły mnie
zasiały we mnie
ziarno nadziei, że ja
nawet ja mogłam oczekiwać
cokolwiek.

to ziarno było tak małe, że nie poczułam na sobie wzroku
mannyego. nie spodziewałam się go tak szybko, ani w ogóle.

powolne dni i noce mijały, jednak z niebios nie spadło piórko
zimorodka, marzec przybył, a wraz z nim rosła nadzieja, coś
we wszechświecie się zmieniło, we wszechświecie tak wielkim
i tajemniczym, że nawet joey nie mógł mi go dobrze
wytłumaczyć, to uczucie nie było nowe. miałam je już
wcześniej, ale nigdy nie o piórach zimorodka i ciemnoskórych
chłopcach, nadzieja i możliwości jakie dawała, przestraszyły
mnie, ale tym samym czułam się bezpieczna.

byłam małeńka i potężna, i lekka, tak lekka, że mogłam polecieć, jakby moje kości były puste, jak u ptaka, jak u anioła.

joey nie słuchał, gdy chciałam mu wytłumaczyć *nadzieję*. on wierzył tylko w to, co można udowodnić, może dlatego kradł rzeczy, stawiał się w niebezpieczeństwie, by dać mi to, czego chciałam, dowód, że mnie kocha, a może myślał, że *nadzieja* była dziwnym zabobonem, jak jednorożce, wróżki i prawdziwa miłość, z których dziewczyny wyrastały? inne dziewczyny.

gdy joey był w szkole, ja szłam do teddyego, żeby porozmawiać o rzeczach wiadomych, ale niewidzialnych, miejsce teddyego znajdowało się piętnaście minut na zachód od naszego domu. w połowie drogi do przełęczy Charlotte, na pobliskim wzniesieniu znajdował się grill na monety, w rzece poniżej była dziura, w której woda była tak czarna, że bez trudu można tam było ukryć swoje sekrety, głęboka jak studnia bez dna. bez dna, mówili, to nie miejsce na wieczny spoczynek.

fikuśny metalowy płotek otaczał grób teddyego. przypominał mi staromodną kołyskę, którą widziałam na zdjęciu babci z dzieciństwa, surowy kamienny anioł stał na jednym końcu kołyski teddyego. patrzył na zwój między swoimi szarymi stopami, jakby jego niewidzące oczy mogły przeczytać słowa tam wyryte.

tu spoczywa edward (teddy) english
ukochany syn wielebnego englisha i pani lillian english
opierający się na wiekuistych ramionach

18.12.1907-01.11.1914

zastanawiałam się, czy lillian english przytuliła swojego synka tego dnia. pierwszego dnia wiekuistej straty.

kiedyś

zazdrościłam teddy 'emu

bezpiecznemu w wiekuistych ramionach

kiedy *ja* próbowałam

pamiętać

jak spać

jak mówić

jak pisać

kiedy brać moje tabletki i jak to było

zanim próbowałam zapomnieć inne rzeczy.

nikt nie mógł teraz skrzywdzić teddyego. ale my z domu nightingale trzymaliśmy na wszelki wypadek pod domem strzelbę starego charliego. między cieniem niedźwiedź a naszą przeszłością.

teddy wydawał się być dla mnie jak rodzina i przyjaciel, jak krewny, dziura i to, co się przy niej stało, nie mogły mnie odstraszyć, przestąpiłam niski płotek i usiadłam na brzegu jego wiecznego łóżka, mówiłam do niego głośno o paktach i obietnicach, o chłopcach i o nadziei, mówią, że teddy się jąkał, więc byłam pewna, że jego dusza zrozumie moją bełkotliwą i potykającą się mowę. gdy mówiłam, zeszkrobywałam porosty ze stóp anioła, przecierałam jego twarz brzegiem mojej sukienki, ukoronowałam jego twardą szarą głowę dzikimi kwiatami, a gdy nie było już nic do dodania o nadziei, przypomniałam teddy'emu o naszej tajemnicy.

- pamiętasz, teddy? - zapytałam. - *musisz* pamiętać, jak joey wyciągnął ziemię spod stóp anioła, to jest ukryte tam, gdzie nikt nie może tego znaleźć, nikt nie może mi tego odebrać, nigdy więcej, to najlepsza rzecz, jaką kiedykolwiek komuś dałam, teddy. lepsza, niż wszystkie etykiety nightingale razem wzięte, lepsza niż *księga z kells*. moje serce jest przepelnione żalem, że zostawiłam to w ziemi, ale nie wiedzieliśmy co innego zrobić.

zanim odeszłam, pocałowałam stopy anioła i poprosiłam, by czuwał nad nami wszystkimi, tymi na ziemi i tymi pod nią lub gdziekolwiek mogą być. gdy wstałam, jego policzki były różowe jak łapki gołębia, a stokrotki w jego koronie lśniły jak złoto, możecie myśleć, że to przez moją szaloną elektrykę, możecie myśleć, co chcecie, ale ja przysięgam, że to prawda.

19. Alice

legenda o teddym englishu

z nagrobka teddy'ego rozpościerał się widok na dziurę, na dole skalistej ściany, to było samotne miejsce.

bezruch cisza

żadnych dziecięcych głosów żadnych ptasich pieśni lina gruba jak ręka dziecka wisiała z czerwonego drzewa nad rzeką nieruchoma z wyjątkiem gorących nocy, gdy przychodzili chłopcy pili piwo palili

papierosy i skakali z liny do

nieruchomej czerni do dziury.

nikt nie używał betonowego grilla na górze, wędrujący robotnicy sezonowi czasami zostawali tam na noc. rozwijali swoje śpiwory i odchodzili nad ranem, rodziny nigdy tam nie przychodziły.

byłam dzieckiem wody. pływałam, zanim chodziłam, najpierw w ciemnym morzu april, potem w migających i błyszczących wodach przy oktober bend.

przez moją dwunastość spięcia elektryki i potężną wyobraźnię

czasami wierzyłam albo chciałam.

moja mama była syreną i ja dzieckiem morza i teraz syreną zastanawiałam się, czy

plama na moim prześcieradle mogła urosnąć w migoczącą rzecz duszę z łuskami.

ale mimo tego bałam się myśleć o wodzie bez końca, nawet oceany i morza mają dna i brzegi, mogą być zmierzone.

nie byłam zaniepokojona

legendą o teddym englishu

która może, ale nie musi być prawdziwa, bo

taka jest natura legend.

ani historią, że lina czasami kołysała

się sama,

z melodią digeridoo lament
za chłopcem, który umarł, próbując
zrobić coś, czego nikt inny nie zrobił,
dotknąć dna
dziury.
teddy był
tym chłopcem
zrobili z niego
bohatera
by ukryć
wstyd
ojców i dziadków nastolatków, kiedy teddy spadł jak liść z
drzewa.

tata starego charliego był tam, gdy to się zdarzyło, powiedział,
że teddy był prześladowany, bo się jąkał, drażniony, bo skóra
jego taty była tak biała, jak teddy'ego czarna, teddy zrobił tak,
jak mu kazali, aby uciec od swojej niedoli w jakikolwiek
sposób, pozwolił dzieciakom przywiązać worek po
ziemniakach wypełniony kamieniami z rzeki do swoich pleców
w nadziei, że przestaną się z niego naśmiewać.

- tata opowiadał, że teddy był małym chłopaczkiem - po-
wiedział stary charlie - za niskim, by dostać liny, a worek
kamieni był za ciężki, by mógł się wspiąć na drzewo, więc ci
dranie przyciągnęli linę na brzeg, posadzili go na swoich ra-
mionach, żeby mógł dostać, owinął swoje ręce i nogi wokół
liny i trzymał się jej kurczowo, przestraszony śmiertelnie, gdy
go popchnęli, śpiewali do niego i podjudzali, tak mówił

mój tato.

skacz, skacz, skacz! - cały czas krzyczeli, ale chłopaczyna był zbyt przerażony, by puścić linę. a kiedy im się to znudziło, zostawili go tam, zwisającego, gdy sami poszli pić biber, mój tata tam był i przysięgał, że to prawda, miał wtedy może siedem albo osiem lat, ale widział wszystko na własne oczy. on i teddy się kolegowali, tato pobiegł aż do miasta, ale zanim udało mu się przekonać policjantów, żeby poszli z nim, było za późno, teddy nigdy nie krzyknął, mówił tata. zobaczyli go ze szczytu skały, jak wpada do wody, cichy jak szpilka, a woda zamknęła się nad nim gładka jak jedwabna koszula jego mamy. tata nigdy nie zapomniał, to złamało mu serce, biedny chłopaczyna. teddy nie był bohaterem, tak mówili ci dranie, żeby nie czuć winy za to, co mu zrobili.

dziadek charlie potrafił pięknie opowiadać różne historie, ta o teddy była przekazywana z ust do ust. nikt jej nigdy nie zapisał piórem na papierze, ale ja zapamiętałam ją na zawsze, słowo po słowie, jest w mojej głowie, tak jak opowiedział ją stary charlie.

nikt nigdy więcej nie widział teddyego, nikt go nie znalazł, nie było kości, szczątek, nic z niego nie spoczywa w grobie na wzgórzu, „tu spoczywa” - mówi napis na nagrobku, i to była prawda, ale tylko pamięć o nim tam była. czuję zimno w rękach i w moim sercu, gdy przy nim siedzę, czuję jego obecność.

20. Alice w dół rzeki

joey nie cierpiał, gdy chodziłam na grób teddyego. babcia mówiła, że to miejsce jest przesiąknięte smutkiem oraz rozpaczą i nikomu nie służyło chodzenie tam. po tym, jak rozmawiałam z teddym i aniołem, niedźwiedź i ja poszłyśmy do płotu, który oddzielał nas, nightingaleow, od reszty bridgewater. tam czekałyśmy na joeya.

a kiedy przyszedł
nie powiedziałam mu
gdzie byłam ani nie wspomniałam
cichego podekscytowania
tego uczucia
rosnącego
we mnie
nie powiedziałam nic
co by zezłościło joey'a, nic
o moich modlitwach do Boga latających stworzeń.
pokiwałam głową, gdy zapytał: - masz ochotę na pływanie?

- ty i ja idziemy w dół rzeki, w dół rzeki - nuciłam cichutko pod nosem - ty i ja idziemy w dół rzeki, żeby zmyć naszą przeszłość.

była to piosenka, którą śpiewaliśmy dawno temu, gdy jeszcze babcia posyłała nas do szkoły niedzielnej.

- nie śpiewaj takich głupot - powiedział joey - idziemy pływać, nic więcej, nic nie może zmyć przeszłości.

za często był poważny, za szybko się złościł, może zawsze taki był. może nie. mógł się zmienić przez to, co mi się stało, i nam wszystkim - przeze mnie. czasami myślałam, że joey i babcia byli bardziej zepsuci, niż ja. historia naszej rodziny to gra w domino grana ludźmi zamiast kostkami.

nasz tata sunny jim upadł pierwszy, za dużo picia za dużo tabletek za mało snu i wykolejony pociąg.

potem april, nasza matka, odeszła, by znaleźć coś innego, co przytrzyma ją w pionie, zostawiła mnie i joey'a. mogliśmy sobie poradzić we czworo: tylko joey, babcia, dziadek i ja. ale wtedy ja upadłam i stary charlie złapał strzelbę na węże, czekał pod mostem, opróżnił obie komory w przednią szybę skradzionego samochodu, zapłacił wszystkim, co było mu drogie, wolnością i rodziną.

a babcia

została zjedzona od środka przez rozpacz reumatyzm i nikotynę.

joey był ostatni na froncie, a miał tylko czternaście lat.

złapałam za rękę mojego brata i pobiegłam, odciągnęłam go od jego zmartwień, dwunastość nie jest taka zła. mając dwanaście lat wciąż możesz się bawić, poszliśmy pod most, pod nasze imiona i krzywe serce, ściągnęłam sukienkę, położyłam ją na szuwarach i weszłam do wody.

21. Manny

Chłopiec, który uwielbiał wyzwania

Co tydzień w środę szedłem na trening piłki trochę wcześniej niż zazwyczaj. I co tydzień, gdy baletnice wychodziły z zajęć, a piłkarze wchodzili, czułem na sobie wzrok pewnej dziewczyny. Była drobna i elegancka, z lśniąco czarnymi włosami. Inni chłopcy lubili na nią patrzeć, ale ja trzymałem wzrok wbity w podłogę. Chciałem, żeby to dziewczyna od poezji przeszła przez te drzwi. Tego właśnie sobie życzyłem. Ale nigdy tego nie zrobiła.

Louisa James mówi, że lata w Bridgewater są zawsze gorące. Moje pierwsze lato w tym miejscu było jednak zbyt skwarne. W drugiej połowie marca temperatura osiągnęła rekordową wysokość. Było upalnie. Pewnego popołudnia po treningu powiedzieli, że idą popływać w miejscu zwanym Dziurą. Słyszałem już o nim, ale dotąd tam nie byłem. Wydawało mi się, że to bardzo dziwna nazwa dla miejsca, w które ludzie szli popływać. Nie za bardzo chciałem iść z nimi. Ale ponieważ było niesamowicie gorąco, zgodziłem się.

Wszyscy gracze biegli wzdłuż ścieżki na Kennedy Street, kiedy ktoś wyszedł z za nas i zaczął biec obok mnie.

- Hej - powiedziała. - Idziesz do Dziury?

- Tak, idę - odpowiedziałem. Nie wiedziałem, co jeszcze mam dodać. Przede mną biegło dwóch chłopców. Jednym z nich był nasz kapitan, Lucas Stewart. Drugim był Hamish O'Leary. Patrzyłem prosto przed siebie na Hamisha. Miał wytatuowany sztylet między łopatkami i trzy krople spadające z ostrza. Zastanawiałem się, kto chciałby nosić obrazek czegoś takiego między swoimi łopatkami? Rajski ptak albo orzeł byłby o wiele lepszy. O tym myślałem, gdy Hamish się obrócił. Biegł tyłem i uśmiechał się do dziewczyny, która truchtała obok mnie.

- Obczajasz moją sztukę, co, maleńka? - powiedział do niej, mimo że ona chyba w ogóle nie patrzyła na jego sztylet.

Nie zareagowała na pytanie, a on się tylko zaśmiał i powiedział:

- Pewnego dnia wytatuuję sobie twoje imię, słodziutka. Na razie nie mogę się zdecydować, gdzie je umieszczę. Blisko mojego serca czy trochę bardziej na południe? Co myślisz, maleńka?

- Nie odważyłbyś się - odpowiedziała niedbale.

To nie była najmądrzejsza odpowiedź dla kogoś takiego, jak Hamish O'Leary. Zastanawiałem się, czy ta dziewczyna wiedziała, że stał przed nią chłopiec, który uwielbiał wyzwania. Zaśmiał się i pobiegł przed siebie. Spojrzałem na dziewczynę. Kosmyki włosów wydostały się ze srebrnych spinek, a jej policzki były ciemnoróżowe. Zwolniła i myślałem, że nas opuści. Ale została, a ja razem z nią. Nie mogłem odejść.

- Co za drań, ten Hamish O'Leary - oświadczyła.

Nic nie odpowiedziałem. Byłem ciekaw, co pomyślałaby

o mnie, gdyby wiedziała o rzeczach, które zrobiłem.

- Jestem Tilda Cassidy - przedstawiła się. - Lucas Stewart to mój przyrodni brat.

- Nazywam się Manny James.

- Wiem, kim jesteś, wszyscy wiedzą.

Myliła się. Nikt tak naprawdę nie wiedział, kim jestem, ale tego jej nie powiedziałem.

- Czasami widzę cię po tańcach - przyznała Tilda. - No wiesz, na zewnątrz sali gimnastycznej. Byłam tam, gdy ta dziewczyna miała atak padaczki.

Weszliśmy do korytarza pod torami. Śmierdział sikami, wilgocią i innymi rzeczami, które ludzie robią w ukryciu.

- Ona już nie przychodzi - powiedziałem cicho. Nie chciałem wypowiedzieć tych słów w ogóle, więc pobiegłem szybciej. Miałem nadzieję, że dziewczyna o imieniu Tilda mnie nie usłyszała. Zanim dotarliśmy do drugiego końca tunelu, złapała mnie za rękę. Zatrzymała się, ściskając mnie mocno, jakby bała się, że ją opuszczę. Nie chciałem tam zostać ani usłyszeć tego, co miała do powiedzenia. Spojrzałem na jej dłoń, taką maleńką i moją, taką dużą. Próbowałem popatrzeć jej w oczy, gdy dostrzegłem napisy za jej plecami. Nie były takie, jak graffiti, które kiedykolwiek widziałem. To miało proste rzędkie, wyglądało znajomo. Chciałem przesunąć Tildę, żeby móc je przeczytać.

- Wiem - powiedziała Tilda cicho i przez moment nie wiedziałem, o co jej chodzi. - To przez moją... Nauczycielka myśli, że Alice niepokoi inne uczennice i przeszkadza w zajęciach. To dlatego chciałam z tobą porozmawiać.

- Alice?

- Alice Nightingale.

Tilda wciąż trzymała mnie za rękę, ale tego nie czułem. Moje myśli były zajęte dziewczyną na małym wzniesieniu obok sali gimnastycznej. Dziewczyną, którą widziałem nad rzeką i na dachu. Dziewczyną o imieniu Alice. Alice. To był pierwszy raz, kiedy usłyszałem jej imię, pierwszy raz, kiedy je wypowiedziałem. Jej słowa były na ścianie, jej imię w moich uszach i na języku. Alice. Alice Nightingale. W innym czasie, innym miejscu, w moim życiu były słowiki. Małe, pospolite, brązowe ptaszki o głosach, dla usłyszenia których oddałbyś wszystko. Ale gdy nadeszła wojna, ptaki odleciały. Buli i Louisa James dali mi nowe życie. Dali mi jedzenie i schronienie, edukację i szansę na zapomnienie przeszłości. Ale były pewne rzeczy, których nie chciałem zapomnieć. A teraz była Alice i zastanawiałem się, czy jeszcze raz mogę usłyszeć, jak śpiewa słowik. O tym właśnie myślałem, gdy stałem w tunelu pod stacją kolejową w Bridgewater i dziewczyna o imieniu Tilda trzymała mnie za rękę.

- Manny - powiedziała Tilda - chcę, żebyś dowiedział się, gdzie mieszkają Joey i Alice.

- Joey?

Tilda przytaknęła.

- Brat Alice. Ten chłopak, który zabierał ją na tańce, który był przy niej, kiedy...

- To jej brat?

- Tak, a co myślałeś?

Wzruszyłem ramionami. Nie mogłem powiedzieć jej nawet połowy tego, o czym myślałem.

- Ktoś tu idzie - powiedziała. - Chodźmy, to mogą być Lucas albo O'Leary.

Tilda puściła moją dłoń i pobiegliśmy w stronę wyjścia.

Mężczyzna i chłopiec przejeżdżali na małym zielonym tandemie, kiedy wypadliśmy na słońce. W koszyku roweru leżała wielka pomarańczowa dynia i bukiet kwiatów. Powietrze było gorące i pachniało czystością. Mężczyzna gwizdał jak ptak.

22. Manny

Tilda i Dziura

Dziura była głęboką studnią w rzece. Niczym więcej, jak tylko miejscem do pływania poniżej placu piknikowego. Kiedy tam dotarliśmy, część chłopców już pływała w ciemnej wodzie, a inni kołysali się na linie przymocowanej do drzewa na brzegu. Hamish O'Teary nie był w wodzie. Rozebrany, stał odwrócony plecami do Tildy i mnie. Widziałem sztylet z kroplami krwi.

- Powinnaś już iść - oznajmiłem Tildzie. - To nie jest dobre miejsce dla dziewczyn.

Hamish obejrzał się przez ramię. Może usłyszał nas, kiedy się odezwałem. Powiedział coś do Lucasa i innych oraz wykonał wulgarny gest. To nie było coś, co chciałbyś, żeby zobaczyła twoja siostra, ale Lucas i jego koledzy tylko się zaśmiali.

- Idź już - powiedziałem do Tildy w obawie przed tym, co znowu zrobi Hamish O'Leary. Nie wiedział, jak się zachować w towarzystwie tej drobnej, eleganckiej dziewczyny.

- Nie powiedziałaś mi, czy zrobisz to, o co cię prosiłam - odpowiedziała Tilda.

Nie musiała mi przypominać.

- Manny, proszę. Nie mieszkam tu odkąd tata ożenił się z mamą Lucasa i nie znam jeszcze tylu ludzi. Wszyscy za to znają mojego przyrodniego brata i on też zna wszystkich.

- Więc dlaczego nie zapytasz go o Joeya Nightingalea?

- Nie chcę, żeby wiedział. Dlatego poprosiłam ciebie. Jesteś inny niż Lucas i jego kumple.

- Dlaczego tak myślisz?

- Bo żaden z kolegów Lucasa nie powiedziałby mi, żebym poszła do domu i nie zostawała tutaj.

Mogłem jej powiedzieć, że dom Nightingalew był ukryty między drzewami o kilka minut drogi od miejsca, w którym staliśmy. Ale Tilda mogła mnie zapytać, skąd to wiedziałem. Nie chciałem się przyznać, że kiedyś za nimi poszedłem. Co Tilda by sobie o mnie pomyślała, gdyby wiedziała, że ukryłem się i ich obserwowałem?

A nawet gdybym tego nie zrobił, jedyne, co słyszałem o tej drobnej, eleganckiej dziewczynie to to, że jej ojciec był policjantem i trenerem naszej drużyny, jej przyrodni brat kapitanem, a macocha nauczycielką baletu. Poza tym zupełnie jej nie znałem. Równie dobrze mogła być jak Buli James, który dał mi imię i rodzinę oraz powiedział, że pewnego dnia mogę mieć dom pełen okien, jak on.

- Nie ma rzeczy niemożliwych. To po prostu kwestia ciężkiej pracy i twoich wyborów. - To właśnie powiedział Buli.

Nie byłem w stanie powiedzieć mu, że żadna ciężka praca nie mogła dać mi tego, co sam bym wybrał: mojej rodziny, mojego kraju, pokoju. To o tym marzyłem. Zastanawiałem się, o czym marzą Alice i Joey. Wydawali się inni niż reszta ludzi, których poznałem w Bridgewater. Nie byłem pewien, co ich odróżniało. Ich dom był stary i zniszczony, ale mieli

siebie i swój dziki ogród. Może właśnie o tym marzyli, tego chcieli. Może, tak jak ja, nie chcieli domu o wielu oknach. Mogłem to zrozumieć, ale czy Tilda również by to rozumiała?

Hamish i Lucas byli już prawie przy wodzie, a reszta biegła za nimi.

- Dlaczego chcesz wiedzieć, gdzie mieszkają? - zapytałem.

- Ja po prostu... Proszę, Manny, powiedz, że to dla mnie zrobisz.

Powietrze było gorące i ciężkie. Potrzebowałem więcej czasu, by to przemyśleć. Przyrodni brat Tildy kołysał się w przód i w tył na linie, gdy reszta siedziała wokół Dziury i patrzyła na niego. Lucas lubił być podziwiany, to go napędzało. Rozbijał się na linie wyżej niż ktokolwiek inny. Kiedy znalazł się pod idealnym stopniem w stosunku do pnia drzewa, podwinął kolana pod siebie i zrobił efektowne salto w powietrzu. Woda zamknęła się nad nim, a ja czekałem aż znowu się pojawi. Nieruchomość naciskała na mnie jak pytania Tildy. W końcu Lucas wypłynął na powierzchnię i uderzył pięścią o taflę wody. Spojrzał w górę, na mnie i swoją przyrodnią siostrę.

Wtedy usłyszałem krzyk Hamisha.

- No dalej, Kapitanie Kongo, chodź tu, pokaż nam, na co cię stać!

Nie chciałem nikomu nic pokazywać, tym bardziej, że to byli tylko chłopcy. Gdyby wiedzieli, co kiedyś zrobiłem, baliby się mnie. Odwróciłem się w stronę Tildy, ale ona już odeszła. Stała obok małego grobu, który mijaliśmy po drodze do Dziury. Stał tam kamienny anioł, na którego głowie ktoś położył kwiaty. Twarz Tildy nie była uśmiechnięta, tylko

poważna jak oblicze kamiennego anioła. *Ta dziewczyna jest na ciebie zła, bo nie zgodziłaś się na to, czego chce* - pomyślałem, gdy zobaczyłem posągową minę Tildy. To, co powiedziała w następnej chwili zaskoczyło mnie i stwierdziłem, że mogłem się mylić też co do innych rzeczy. Może ona także nie przejmowałaby się rozpadającym domem Nightingaleow.

- Jakąkolwiek podejmiesz decyzję, Manny, musisz uważać na Lucasa i jego kumpli. Powinam już iść. Moja macocha by mnie zabiła, gdyby wiedziała, gdzie jestem.

Zanim doszedłem nad wodę, Tildy już nie było. Złapałem za linę i skoczyłem do Dziury. Woda była zimna, ciemna i niezgłębiona jak w bezdennej studni. Głowy i ramiona blokowały światło, gdy zacząłem się wynurzać. To wtedy przypomniałem sobie ostrzeżenie Tildy, bo moje płuca chciały eksplodować. Błede ręce wyciągnęły się w moją stronę i wiedziałem, do kogo należą. Lucas i O'Leary. Wyciągnęli mnie na powierzchnię i ze śmiechem pokleпали po plecach.

23. Manny

Dwanaście Myśli

„Dwanaście Myśli”, taki tytuł nosił wiersz napisany na ścianie korytarza pod peronem. Byłem jak detektyw podążający za wskazówkami. Przyglądałem się charakterowi pisma na ścianie, porównywałem go z tym na kawałkach papieru w mojej kieszeni i byłem pewien, że napisała to ta sama osoba. Kim była? To ważne pytanie zadawałem sobie, gdy stałem pod stacją kolejową w Bridgewater. Nie było wątpliwości, że odkryłem tożsamość anon. Znałem jej imię, Alice. To była ona, dziewczyna z długimi, rudymi włosami. Zobaczyłem ją w nocy na dachu i ponownie na stacji. Mimo że nie byłem bardzo blisko, mogłem widzieć, że ma bardzo długie włosy, aż do pasa. Po tym, jak uciekła z poczekalni, znalazłem następny wiersz o poetce na dachu. Kolejny raz widziałem ją przed salą gimnastyczną. Jej długie włosy rozpościerały się jak zasłona na zielonej trawie. Jej wiersze były schowane w mojej kieszeni, nauczyłem się ich na pamięć. Te włosy, te wiersze - takich rzeczy się nie zapomina. Nie mogłem przestać myśleć o tej dziewczynie. Ściany korytarza osłoniły mnie. Porzuciłem otaczające zapachy, ostrzeżenia Tildy i przeczytałem „Dwanaście Myśli” Alice.

jest dwanaście miesięcy dwanaście gwiazdozbiorów
dwanaście obrazów

dwanaście pięknych kobiet zagrzebanych pod igłą kleopatry i
dwunastu mężczyzn kroczyło po księżycu ziemi, ciekawe,
czy którykolwiek z nich zauważył gwiazdy

nad oktober bend

i czy wspomniałam

że herkules otrzymał dwanaście prac

za zabicie swojej rodziny

albo że ława dwunastu skazała starego człowieka

na dwanaście lat

za próbę pomszczenia swojej?

ale i tak wolałabym

mieć dwanaście lat niż nie mieć

ich w ogóle.

anon

Na początku chciałem zinterpretować dwanaście myśli z
wiersza Alice. Jednak zdałem sobie z czegoś sprawę. Ro-
ześmiałem się, gdy odkryłem, że wiersz był po prostu zbiorem
faktów o liczbie dwanaście.

Jeśli miałbym więcej odwagi, dopisałbym odpowiedź do
„Dwunastu Myśli”. Zapytałbym Alice Nightingale o to, czy
stary człowiek był prawdziwy, czy wymyślony. Zapropono-
wałbym kolejny wers o mężczyznach na księżycu, błagając
ich, żeby zauważyli mały, zniszczony wojną kraj o nazwie
Sierra Leone. Powinienem był zapytać Alice, czy jest

dziewczyną z wiersza, a jeśli tak, to ja też wolałbym, żeby miała dwanaście lat, niż nie miała ich w ogóle.

Myśli o Herkulesie nie dają mi spokoju. Trzymałem w rękach broń, która zabiła moją rodzinę, ale nie powstrzymałem tych, którzy to zrobili. Czy ja też muszę odpokutować dwunastoma pracami? Jakie by one były? Jak mógłbym to odpokutować i czy bieganie to praca?

Tilda Cassidy powiedziała, że wszyscy wiedzą, kim jestem, ale jak dużo wiedzieli? I czy Alice też zdawała sobie z tego sprawę? Buli i Louisa James zaoferowali mi nowy początek w Bridgewater. Mówili, że będę tu bezpieczny tak samo jak moje tajemnice. Czy słusznie im uwierzyłem? Te właśnie pytania sobie zadawałem.

Dom na palach wydawał się pusty, kiedy tam przyszedłem. Nie słyszałem żadnych dźwięków, nie widziałem ani pani na werandzie, ani psa na drewnianych schodach, ani Alice i Joeya. Poszedłem do miejsca, w którym obserwowałem ich ostatnio, gdy łowili ryby. W błocie nad rzeką odbite były ślady stóp, więc łatwo było za nimi podążać. Dziesięć minut później znalazłem Alice i Joeya pływających w zatoczce otoczonej dużymi szarymi kamieniami. Kawałek dalej był most, który niósł samochody, ciężarówki i rowery z i do Bridgewater. Krzywe serce i dziecinne litery były wyryte na jednej z belek rozciągających się pod mostem, ale byłem za daleko, by odczytać ich treść.

24. Alice

odpuszczanie

gdybym wiedziała, że manny był niedaleko, może nie czu-
łabym się taka samotna, gdy próbowałam pozwolić odejść
joey'owi. uwolnić nas.

opadłam nisko
na kamieniste dno rzeki i patrzyłam
jak moje słowa zmieniają się w
czyste i idealne bąbelki
widziałam jak unoszą się i ujeżdżają
a prąd rzeki porywa je w dół,
wyobrażałam sobie je płynące
do oceanu
do kanady i april,
nie wiedziałam i
nie przejmowałam się tym
czy byłam nie-piętnastoletnia
tak bardzo jak
byłam alice.

pozostałam w moim podwodnym świecie za długo dla zaniepokojonego joey'a. wyciągnął mnie z powrotem do swojego świata powietrza i światła, krzycząc imię, które nadał mi jako mały chłopiec.

- ptaszyno! ptaszyno!

usiadłam na kamieniach, ociekająca rzeką, dopływy spływały z moich włosów, a ciepły język niedźwiedź ogrzewał moją twarz, joey podniósł nasze ubrania z trzciny i rzucił mi moje.

- załóż je - powiedział ostro, szybko zapiął swoje sztruksowe spodenki, wciągnął pomiętą koszulę na mokre plecy.

naciągnęłam na siebie sukienkę, suchy materiał wydawał się dziwny na mokrej skórze, patrzyłam, jak słońce rozlewa się różem i oranżem do rzeki, nasze skóry były suche, gdy joey zapytał:

- więc... wiesz, że uszy świerszczy są na ich kolanach?

był rozigrany jak jagnię i roześmiałam się w głos. spojrzałam na jego twarz, by rozpoznać, czy mówił prawdę, czy kłamał.

- to prawda - powiedział, słysząc moje niewypowiedziane słowa - i budują norki w kształcie trąbek, by ich zawołania godowe można było słyszeć tak daleko, jak sięgałyby dwa boiska do piłki.

zwykle joey opowiadał mi przynajmniej jeden ciekawy fakt by nadrobić za szkołę przerwana przez to, co się stało pewnej gwieździstej, gwieździstej nocy, i strach

który wciąż czasem ścisnął moje płuca zamrażał moje kończyny język i mowę,

jakby myślał, że ciekawe fakty mogą w jakiś sposób odwrócić to wszystko i hańbę, która ogarnęła naszą rodzinę.

myślałam o uszach i kolanach, i innych częściach piłkarzy, kiedy czekałam aż joey znowu się odezwie, ale nie powiedział nic więcej o życiu miłosnym świerszczy, zamiast tego powiedział coś innego:

- czy ty, to znaczy, myślę, że... ta dziewczyna, tilda, jest dobrą tancerką, prawda? - jego słowa były tak niezręczne jak nakładanie suchych ubrań na mokłą skórę, tak niezręczne jak ja. i zdałam sobie sprawę, że czasami nawet mój brat zastanawiał się, jak bardzo jestem uszkodzona, które części były zepsute, a które nie. i czy rozumiałam różne rodzaje miłości, do tej pory joey kochał tylko mnie. w taki sposób, w jaki powinna mnie kochać april.

ale teraz pojawiła się tilda i joey potrzebował ubrań by zakrywać ciało które płonęło.

teraz widzieliśmy siebie w nowy sposób byliśmy dwójkiem nie jednością może czymś więcej niż rodzina i bliscy może mniej pokrewni

i wiedziałam
że jeśli kiedykolwiek mam wyrosnąć
z mojej dwunastości
musiałam przyzwycząć się
do joey'a, który kochał kogoś innego.
odwróciłam od niego głowę na mojej poduszce z dmu-
chawców i szczawiu, zamknęłam oczy, aby powstrzymać
strumienie na moich policzkach.
śliczna tilda,
powiedziałam, by wiedział że rozumiem jak to jest czuć
gorący biały ogień we wszystkich miejscach które czyniły
mnie dziewczyną.
śmiech, którym śmiałam się dla mojego brata, brzmiał
brzydko i sztucznie, zdarza się, że nawet bracia nie słyszą
pustki i bólu. słuchają tylko swojej własnej radości, ramiona
joeya objęły mnie, wdzięczne, że nie musiał mówić nic więcej,
zostałam tam z ciężkim sercem, dopóki słońce nie zaszło, nie
wiedząc, co się teraz stanie, jak być. zastanawiając się, czy
braterska miłość była wystarczająco silna, czy może był to
początek opuszczania, potem poszliśmy powoli jak zimowa
melasa, wzdłuż brzegu rzeki, pod mostem nie-opuszczania.
razem i osobno, nasza nowa oddzielność, tajemnicza i obca.

25. Manny

Zapewnić Tildzie bezpieczeństwo

Minęło zaledwie dwa dni odkąd Tilda Cassidy poszła ze mną nad Dziurę. Był piątek. Myślałem, że nie zobaczę jej aż do następnej środy. Nie byłem gotów na spotkanie, ale oto stała pod drzewami obok szkoły imienia św. Symeona. Próbowałem stać się niewidzialnym w grupie chłopców przechodzących przez bramę i nie patrzyłem na nią. Ale jestem wysoki i ciemnoskóry, więc po chwili przyskoczyła do mojego boku w granatowej sukience i białych skarpetkach.

- Witaj, Manny - przywitała się. Spojrzała na mnie wyczekująco. Wszystko, czego chciała, to wiedzieć, gdzie mieszka Joey Nightingale, ale ja nie mogłem dać jej zadowolającej odpowiedzi, nawet w kilku słowach. Szczególnie w tych ważnych kilku słowach. Nie teraz i pewnie nigdy.

Widziałem Alice i jej brata w rzece. Ich ciała nie były już dziecięce, ale bawili się w wodzie jak małe dzieci. Kiedyś byłem jak Alice i Joey.

Zanim przyszli żołnierze, nie wiedziałem jak to jest czuć się brudnym lub zawstydzonym. Pragnąłem do tego wrócić. Nie chciałem, żeby ktokolwiek znalazł dom, w którym mieszkali Alice i jej brat. Nie chciałem, by ktokolwiek

zobaczył to, co ja widziałem, uszkodził, co nieuszkodzone. Nie zdradziłbym Nightingaleow.

Są ludzie, którzy potrafią zmusić cię do powiedzenia rzeczy, których nie chcesz. Znałem takich ludzi.

- Powiedz nam, gdzie jest twoja matka, chłopcze, a twojej siostrze nic się nie stanie. - To właśnie mówili, ale to były kłamstwa. Z tego, co wiedziałem, Tilda mogła mnie zdradzić, a jeśli nie ona, to Hamish O'Leary albo Lucas Stewart.

Przypomniałem sobie małą dłoń Tildy trzymającą moją dłoń, przypomniałem sobie, jak mówiła, że nie cierpi kolegów swojego przyrodniego brata i jak ostrzegała mnie przed nimi. Widziałem ich teraz, opierających się o ogrodzenie kawałek dalej. Obserwowali nas. Może czekali na Tildę, a może nie. Jednak ja zdecydowałem, że nie powiem córce trenera tego, co chciała wiedzieć. Zdecydowałem, że najlepiej będzie, jeśli nie będę się już z nią zadawał. Zrobiłem, co musiałem, by zapewnić bezpieczeństwo jej i Nightingalebm. Szedłem przed siebie i kłamałem.

- Nie miałem jeszcze okazji - odparłem.

- Więc zobaczymy się w przyszłym tygodniu po tańcach? - zapytała, ale ja nie odpowiedziałem. Zszedłem ze ścieżki i przeszedłem przez ulicę. Bez odwracania się wiedziałem, że nie odeszła, że wciąż tam stała, z jej drobnymi, eleganckimi stopami na krawężniku, patrząc jak idę. Oni wszyscy patrzyli. Ciężko było nie uciekać.

26. Alice między pęknięciami

jak latawce
puszczone wolno
na stalowoszarym niebie
tańczyliśmy
wyżej, szybciej
bardziej śmiało niż bezpiecznie bardziej odważni niż
przestraszeni balerina, mój brat, obcy i ja.

czasami nie poznawałam tego nowego joeya. wczoraj znajomy jak moja własna skóra, dziś zagadka czekająca na rozwiązanie.

pewnej nocy usłyszałam jak kłóci się z babcią, gdy było już cicho, wślizgnęłam się do jej pokoju i położyłam przy niej w łóżku, głaskała mnie po włosach, ciężko oddychając, próbowałam tego nie słuchać, myślałam o tym, jak łatwo powietrze wchodzi i wychodzi ze mnie. patrzyłam na księżyc, kiedy w ciszy nappełniałam się i opróżniałam, myślałam o mężczyznach, którzy kiedyś po nim chodzili.

- może joey mógłby załatwić ci taką butlę z tlenem? - zapytałam.

- skąd by ją wziął?

- wiedziałby skąd.

- na pewno nie zbliżę się do żadnego śmierdzącego szpitala.

- joey by do tego nie dopuścił.

- nigdy nie wiadomo, co ten chłopak wymyśli - powiedziała. - w jednej chwili prawi mi słodkie słówka, nazywa mnie swoją wspaniałą babcią glorią, a w następnej podbiera mi pieniądze z emerytury.

- robi to tylko wtedy, gdy kończą się pieniądze ze sprzedaży przynęt, babciu, musimy jeść, on po prostu o nas dba.

nie chciałam, żeby gniewała się na joeya. gniewanie się było o jeden krok od niekochania. chciałabym umieć wyjaśnić to, że joey chciał być wolny, oddzielał się ode mnie. separował, chciałam jej powiedzieć, że może mu zająć trochę czasu, zanim naprawdę poczuje się jak normalny czternastolatek.

- skończyłam strzępić język na tego chłopaka, on ma w sobie za dużo z dziadka.

powiedziała to tak, jakby było w tym coś złego, coś nie tak ze starym charliem, który zrobił dla mnie więcej niż wszyscy członkowie naszej rodziny razem wzięci, on poszedł dla mnie do więzienia.

na drugi dzień po kłótni joey zapytał:

- chcesz pójść ze mną jutro na balet?

nie przekazał mi, co powiedziała pani cassidy - że lepiej by było, gdyby już mnie nie przyprowadzał, że mój ostatni atak przeszkodził w zajęciach, zgodziłam się. nie chciałam

tańczyć, ale miałam nadzieję, że moje modlitwy zostały wysłuchane i go zobaczę, że ciemnoskóry chłopiec tam będzie.

- zabierzemy ze sobą niedźwiedź - powiedział joey, chłopięcy, zuchwały i czarujący. - może poczekać pod schodami, stara cassidy nawet się nie dowie, że tam jest. - stara cassidy, tak ją nazwał, wtedy wiedziałam, że jej nie lubi, jednak nie miałam pojęcia, dlaczego, nie zdawałam sobie sprawy, że ostrzegła swoją idealną pasierbicę, żeby trzymała się z daleka od takich chłopców, jak on. nie wiedziałam, że tilda powiedziała o tym joey owi.

napotkałam jego chłodne zielone spojrzenie zobaczyłam napiętą linię jego szczęki cień nad jego wargą rozmiar jego ramion i zastanawiałam się jak długo już był taki -silny i piękny.

joey ściągnął puszkę na ryż z półki nad kominkiem i wziął banknot z emerytury babci, wydaliśmy już wszystkie pieniądze od faulknera. zrobiło mi się niedobrze przez to, co babcia wczoraj powiedziała o tym, że joey kradnie.

- myślę, że babcia robi się dziwna - powiedziałam. - dziwna w głowie.

- dlaczego? co mówiła? - odpowiedział, szybko i ostro, a ja postanowiłam nie wspominać nic o pieniądzach.

- nic takiego.

- pewnie narzekała na mnie.

- jej oddychanie się pogarsza.
- i co ja mam z tym niby zrobić?
- są takie butle z tlenem...
- cholera, alicie, doróżnij! nie możesz po prostu wejść do apteki i poprosić o butlę z tlenem.

poczułam dwunastość jak nigdy dotąd.

- co zrobimy? - zapytałam, a joey odpowiedział:

- nie wiem, nie mam odpowiedzi na wszystko.

do tej pory mój brat zawsze znał odpowiedzi na wszystkie pytania, zawsze był pewny i silny, ale teraz musiał być czternastolatkiem, babcia potrzebowała więcej niż mogliśmy jej dać i trudno było być po prostu mną, gdy tak długo byłam częścią nas. zamknęłam oczy i zobaczyłam nasze blizny po rozdzieleniu, poczułam ich ból, rozdzierający nasze serca jak zęby rekina.

joey poszedł na węgry, złapał autobus do kalindy i wydał pieniądze z emerytury na czarne rajstopy i podkoszulkę z cienkimi ramionami, dla niego, nie dla mnie. byłam ciekawa, jak pani cassidy się czuła, gdy ściągnął swoje workowate rzeczy i jej idealna pasierbica pierwszy raz zobaczyła joeya w jego skórze do tańczenia.

żadne piosenki ani ciekawe fakty nie wypadły z ust joeya a w drodze do sali gimnastycznej, ale buzował dziwną energią, pedałowal mocno i szybko z moimi baletkami przywiązany do kierownicy i ze mną na bagażniku, z wyciągniętymi przed siebie nogami, tak jak wtedy, kiedy byłam małą dziewczynką i jedyne, o co musiałam się martwić, to żeby nie włożyć nóg między szprychy, słomiane loki joey'a, pełne sznurka, piór i koralików, podskakiwały między jego opalonymi łopatkami, niedźwiedź biegła tuż obok i przez chwilę

nasze osobne serca znów wydawały się jednym.

- jesteśmy za wcześnie dla starej cassidy - powiedział.

podparł swój rower w czarnym kwadratowym

cieniu za salą gimnastyczną

pokazał niedźwiedź jej miejsce

pochylił głowę nad fontanną

odkręcił kran i otworzył usta

woda trysnęła na niego i do niego i

gdy się wyprostował

jego spalone słońcem włosy

lśniły od diamentów.

był oszalamiający i przez chwilę marzyłam o tym, by znowu był tylko mój. a wtedy przyszła tilda.

gdy zobaczyła joey a, jej oczy się rozszerzyły, a usta ułożyły w idealne „o” pani cassidy była u jej boku, oczy w szparkach jak u jaszczurki, usta jak czerwona rana między nosem a podbródkiem, joey poszedł się z nimi przywitać, stał wysoki i wyprostowany.

- przyszedłem zapisać się na zajęcia dla początkujących - powiedział, jego głos był głęboki i spokojny jak rzeka, wyciągnął pieniądze z kieszeni, a tilda wzięła od niego rozgrzane banknoty, pani cassidy nie powiedziała ani słowa, ale ja zobaczyłam słodki, przebiegły uśmiezek joeya. i jak idealna tilda próbuje się nie roześmiać.

siedmioro początkujących tancerzy ustawiło się przy drążku, uczenie ich było zadaniem tildy. joey był jedynym wyższym od niej. jedynym z zarostem, jedynym chłopcem, gdy rozebrał się do swojego kostiumu, wyszłam na zewnątrz

i wczołgałam się pod ganek, leżałam w kurzu, obok niedźwiedź, odmienionej przez smugi światła sączących się pomiędzy desek, w pasiastą bestię.

zastanawiałam się, czy mogłabym nauczyć się lubić tildę mimo tego, że była taka idealna, albo czy ona mogłaby polubić mnie. czy pani cassidy kiedykolwiek mogłaby polubić joeya? może kiedyś sama miała takiego brata jak ja.

chłopca, który był tak bardzo częścią jej

że nie było ty czyja, tylko my.

czy zostawiali swoje ubrania gdzieś na brzegu i nurkowali w rzece jak dzikie stworzenia?

czy troszczył się wystarczająco

by tłumaczyć o uszach świerszczy albo

kradł książki, papier i pióra dla niej?

czy był takim bratem

który używał młotków i dłut jako

narzędzi czułości

by wyryć prywatne obietnice

w publicznych miejscach?

czy usta pani cassidy były taką cienką linią, bo sama kiedyś straciła takiego chłopca jak mój? a może dlatego, że bała się, że nigdy nie będzie kochana przez idealną tildę? czy martwiła się, że tilda może kochać chłopca, którego siostra ma szaloną elektrykę? może hattie fox napełniła jej uszy plotkami o moim dziadku, charlesie patricku garfieldzie nightingaleu? albo o tym, co przytrafia się dziewczynkom, które nie trzymają kolan razem? nigdy nie musiałam myśleć o tych rzeczach, kiedy joey kochał mnie najbardziej.

niedźwiedź zawarczała, otworzyłam oczy. zawarczała znowu, cień padł na moją twarz, był tam obcy. wysoki i ciemny, z francuskimi supełkami, spoglądający między pęknięciami, spoglądający na mnie.

27. Manny

Dźwięk Anon

Alice wyszła spod ganku, trzymając psa za obrożę. Byłem bliżej niej niż kiedykolwiek. W jej włosach były pajęczyny i liście. Stałem bez ruchu i pozwoliłem psu się obwąchać. Gdy był zadowolony ze sprawdzianu, który na mnie przeprowadził, Alice skinęła na mnie i poszedłem za nią. Usiedliśmy na piasku niedaleko huśtawki zrobionej ze starej opony. Byliśmy boso, nasze buty zwisały nam z szyi na sznurówkach i wstążkach. Słońce grzało nasze głowy, jej włosy były jak ogień.

- Jestem Manny James - przedstawiłem się, a ona skinęła głową i wygładziła dłonią biały piasek. Powoli i ostrożnie napisała na nim patykiem:

nie jestem ptakiem nie jestem syreną jestem alice.

Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem jej wiersze. Nie spodziewałem się usłyszeć dźwięku, jaki wydała Alice, gdy je zobaczyła. Był on dziwny, gęsty jak owsianka i bezkształtny jak

mowa kogoś, kto nigdy nie słyszał ludzkiego głosu. Tak właśnie brzmiał. Albo jak coś o wiele gorszego. Odwróciła wzrok, a ja miałem nadzieję, że zaskoczenie nie było widoczne na mojej twarzy. Wyciągnąłem dłoń z wierszami w jej stronę.

- Tyje napisałaś? - zapytałem.

Jej oczy przebiegły po kartkach, gdy sięgnęła po kijek do pisania.

- Powiedz mi - zażądałem.

Chciałem, żeby się odezwała. Nie obchodziło mnie, jak brzmiała, chciałem tylko sprawdzić, czy miała język w buzi. I wtedy popełniłem duży błąd - położyłem rękę na jej ramieniu. To nie była mądra decyzja. Usłyszałem ostrzegawcze warknięcie psa, zanim obnażył kły. Alice dotknęła jego boku i zwierzę szybko ułożyło się obok niej. Ich oczy utkwione były we mnie.

- Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Wiem, że to ty napisałaś te wiersze, ale po prostu chciałem, żebyś mi to powiedziała.

Alice zmarszczyła brwi, jakby nie rozumiała.

- Chciałem usłyszeć jak mówisz te słowa - wytłumaczyłem, na wypadek gdybym nie wyraził się jasno. Sekundy mijały powoli i wersy z jej wiersza przelatywały mi przez głowę.

moja dusza jest wypełniona śpiewającymi ptakami jednak gdy otwieram się, by je wypuścić brudzą moje usta.

Przypomniałem sobie słowiki i ciszę, jaką po sobie zostawiły, gdy nadeszła wojna i odleciały. Przypomniałem sobie odważną ciszę mojej siostry, dźwięk kłamstw żołnierzy, krzyki mojej matki i płacz młodszego brata. Zobaczyłem otwarte usta mojej siostry i kałużę krwi wokół niej, kiedy leżała u stóp żołnierzy, uciszona na zawsze.

A teraz siedziała przede mną ta dziewczyna, Alice, z moimi palcami wciąż owiniętymi wokół jej ręki. Ściągną w jej szyi napięły się, zobaczyłem jej usta, zęby, język i wiedziałem już, co się dzieje. Alice Nightingale otwierała klatkę, by wypuścić swoje śpiewające ptaki. Ufając mi, że zrozumie, że to właśnie robi.

- Jestem Anon - powiedziała, patrząc na mnie. Jej oczy były zielone jak pędy młodego ryżu. Czekala aż odwrócę wzrok. Ale ja tego nie zrobiłem. Nie mogłem oderwać oczu od tej dziewczyny. Wtedy uśmiechnęła się do mnie.

28. Alice to, co napisałam

na kartkach książki latania alicie nightingale jest napisane:
dawno, dawno temu, chłopiec bez wczoraj poprosił dziewczynę bez jutra o coś, czego nikt inny nie chciał, lśniące słońce było wysoko na niebie i migdały rozpiwały swoje szare kamizelki, gdy chłopiec przechodził.

nie było nic, co przypominałoby dziewczynie o wcześniej, gdy miała dwanaście lat. ten chłopiec nie przyszedł jak złodziej, w nocy, by ukraść to, co do niego nie należało, stał przed nią, lecz nie dotykał ukrytych jej części; kremowych wzniesień i dolin pod tkaniną jej ubrania, części, które sprawiają, że jest dziewczyną, jedyne, co trzymały jego dłonie w ten iskrzący dzień, to jej słowa.

i wtedy powiedział, czego pragnie, nie wiedząc, że była to najtrudniejsza rzecz ze wszystkich do podarowania, chciał jej dźwięku.

29. Alice

i to, czego nie

nie napisałam, co było potem, nie pobrudziłam stron mojej książki ciemnymi rzeczami, które joey powiedział do mnie i mannyego jamesa, gdy on i idealna tilda nadciągnęli biegiem, biegiem, z ostrzeżeniem niedźwiedź wciąż w głowie, alarmem brzęącym zbyt głośno w uszach, by usłyszeć spokój mojego serca, zaślepiającym go na niedźwiedź leżącą spokojnie u mych stóp, przekłamującym dłoń mannyego wokół mojej ręki. nie wiedział, że trzymał mnie delikatnie jak aksamitne kajdanki.

teraz jestem zadowolona, że nie napisałam o moim bracie, tak zażartym tego dnia, kiedy próbował pozwolić mi mieć piętnaście lat, ale nie był w stanie zerwać z nawykiem ochraniania, gdy przypominał sobie noc, o której nigdy nie rozmawialiśmy, i o mnie, tak powolnej w formowaniu słów, które by mu powiedziały, że wszystko było w porządku, że mógł zostawić mnie i mannyego samych, byłam zła, że nie dał mi wystarczająco dużo czasu, bym dowiedziała się, czy mogę mieć piętnaście lat. i przestraszona, że nigdy nie dowiem się, czy chłopiec, taki jak manny james, chciałby znać dziewczynę, taką jak ja.

gdy w końcu joey'owi skończyły się słowa, manny przedstawił się i powiedział:

- przepraszam, jeżeli was obraziłem, wciąż uczę się zwyczajów waszego kraju, chciałem tylko porozmawiać z alicie.

wypowiadał się jasno i konkretnie, a gdy skończył, wyciągnął rękę w stronę joeya. zdawało się, że minęły wieki, zanim pięści mojego brata się rozluźniły, trzy razy ich dłonie się spotkały, trzy ciche klaśnięcia. policzyłam je w myślach i odetchnęłam z ulgą.

zanim ich dłonie ostygły, usłyszałam inne głosy, głosy, które przypomniały mi o zapachach i dźwiękach drużyny piłkarskiej z bliska, przypomniałam sobie panikę, spadanie i -co najgorsze - to, że manny tam był, widział jak moje ciało wije się niekontrolowanie na trawie przed salą gimnastyczną.

nagle przestraszyłam się, że nie będę w stanie wyjaśnić mojej popsutej elektryki nawet chłopcu, który nie odwrócił się, gdy mówiłam, zawołałam niedźwiedz i uciekłam najszybciej jak mogłam.

30. Alice

stół starego charliego

kiedy bałam się, że się rozpadnę, czasami pomagało mi myślenie o stole starego charliego. przeczytałam gdzieś, że jeśli zbliża się cyklon, trzęsienie ziemi albo inny akt boży, bezpieczniej jest wejść pod coś. nie wiedziałam, czy mogę nazwać osobę aktem bożym, babcia wierzyła, że stworzył nas Bóg. joey, że to bajki, i że ludzi tworzy seks. a ja się z tym nie kłóciłam, dla mnie najważniejsze było to, że manny istniał, przyszedł bez ostrzeżenia, stąpał cicho jak kot po sypkim kurzu długiego suchego lata. niedźwiedź i ja, zwinięte jak liście brzoskwini na ziemi pod schodami do sali gimnastycznej, nie miałyśmy szansy się schować, uciekłam do domu, gdy nadeszli bombardierzy, do domu, pod stół dziadka, to tam się ukryłam i tam obejmowałam się ramionami, nie wiedziałam, co innego mogę zrobić.

mój dziadek zbudował kwadratowy stół, by nikt nie siedział za daleko od innych wokół niego, to był jego pierwszy prezent dla swoich dzieci, ale żadne z nich go nie chciało, drewno pochodziło z czerwonego drzewa, które pewnej wiosny rzeka wyrzuciła na brzeg, gdy niebo się otworzyło, a woda się podniosła i przemakała przez deski w salonie.

woda uciekła do morza, zostawiając za sobą zaschnięte błoto, dziadek poprosił brata hattie fox, który przewoził drzewo, o przysługę, zawieźli drzewo dziadka do tartaku, minęły lata, zanim drewno było odpowiednio suche, a wycięli dwa duże kawałki na blat i cztery nogi. dave williams wygładził je swoją tokarką, stary charlie wyrzeźbił lwie łapy na końcach nóg, wygładził łączenia i zbił go dyblami zamiast gwoździ, kiedy stół był gotowy, mój tato wyrył na jego powierzchni imiona członków swojej rodziny: charles garfield nightingale, gloria nightingale, lola nightingale i sunny-jim nightingale oraz daty ich urodzin, wygładził stół do błysku i wypolerował pszczelim woskiem i terpentyną.

imiona moje i joeya zostały dodane, kiedy się urodziłem, i kiedy jego twarz była poznaczona cierpieniem, stary charlie wyrył na stole daty śmierci swoich dzieci, lola pięć miesięcy od dnia, w którym się urodziła, mój tata, sunny james, gdy miał trzydzieści dwa lata.

babcia mówiła, że ten stół wygląda jak nagrobek, zaczęła kroić na nim chleb, mocno i gwałtownie, jakby pieczywo miało miesiąc, udawała, że nie widzi, kiedy ostrze noża wrzynano się w drewno pod spodem, przewierciła dziury, by przyczepić maszynkę do mielenia na skraju, zagryzła zęby i kręciła, dopóki twardy metal nie wgryzł się w drewno.

gdy go nie używała, przykrywała stół starymi zasłonami, kiedy wróciłam do domu ze szpitala, nie było już zasłony, zastąpiło ją linoleum przyklejone do blatu, przybite na brzegach małymi gwoździkami, których stary charlie używał, by naprawiać swoje buty. linoleum było brązowe, w czerwone i pomarańczowe liście, resztki z toalety, joey błagał babcię, by tego nie robiła, powiedział, że to złamie dziadkowi

serce, leżałam wtedy na dywanie przyciągniętym do kuchni, wszystkie moje słowa były zabrane.

- a co z *moim* sercem? - zapytała. - nie potrzebuję słów wyrytych na stole, by pamiętać o moich dzieciach leżących w ziemi.

tak powiedziała nasza babcia zasłaniająca rzeczy.

nie mówiła o nich

udawała, że ich nie ma

nałożyła linoleum na stół

zamalowała znaczki

zrobione ołówkiem na framudze drzwi

pokazujące wzrost mojego taty.

ale na zewnątrz

pod zbiornikiem na deszczówkę dwa komplety odcisniętych dłoni w kawałku betonu sprawka starego charliego gdy zajmował się dziećmi mieszał cement

przycisnął idealne różowe dłonie

małej loli, a potem sunnyego

do gęstego, prawie zastygłego cementu,

bezcenna pamiątka jak skamieliny z innej epoki,

epoki, gdy

słowiki śpiewały.

babcia stwierdziła, że stół starego charliego był za duży na nas troje, kazała joey'owi przesunąć go daleko pod ścianę.

jakby linoleum to było za mało, zaczęła go przykrywać innymi rzeczami, stertami starych gazet, motkami wełny, pustymi kartonami po płatkach śniadaniowych, skarpetkami bez pary i jedzeniem w puszkach, jadła swoje posiłki na kolanie, w bujanym fotelu przy piecu, joey i ja siadaliśmy na werandzie, gdy pogoda była ładna, albo na ławce pod oknem w kuchni, skąd mogliśmy oglądać błyski rzeki między rzędami fasoli i kukurydzy.

gdy byłam pod stołem, próbowałam sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jadłam posiłek w czyimś domu. czy kiedykolwiek siadłam do stołu, którego nie zrobił stary charlie. i zastanawiałam się, czy ludzie manny'ego zbudowali stół. czy jego tato zrobił go wystarczająco dużym dla rodziny i przyjaciół? i wystarczająco małym, żeby ludzie nigdy nie czuli się za daleko od innych, gdy przy nim siedzieli? czy manny obserwował cierpliwe ręce wygładzające i polerujące drewno? czy paluszki małego chłopczyka śledziły litery na blacie, uczyły się, jak wyglądają, co znaczą? czy czuł się bezpieczny pomiędzy lwimi łapami przymocowanymi do podłogi w domu swojego dziadka?

kiedy tak leżałam i myślałam, przyszła do mnie kolejna myśl. pomysł, słodki i niespodziewany jak pieśń kosa. wypełzłam spod lwich łap, podeszłam do kuchennego okna. przy zlewie stały rzędy równo ustawionych pustych słoików, przez okno dostrzegłam babcię, zbierającą w ogrodzie mlecznozielone pomidory, ostatnie w sezonie, wybierała je starannie, ostrożnie przekładając z fartucha do styropianowych pudełek, później zrobimy z nich przetwory, powinnam była jej pomóc, ale tego nie zrobiłam, chciałam zacząć realizować mój plan, zanim ktokolwiek by mnie powstrzymał.

pracowałam cicho jak złodziej, zebrałam wszystko ze stołu, powyciągałam pinezki, otworzyłam drzwiczki do pieca i wsunęłam ostrze noża do rzeźbienia w ogień, czy lato, czy zima, babcia paliła w piecu, bo bez tego nie mieliśmy ciepłej wody ani na czym gotować, poczekałam, aż nóż zaświecił na czerwono i wsadziłam go pod to okropne łazienkowe linoleum, klej zaśmierdział i stopił się. raz za razem podgrzewałam nóż. kawałek po kawałku okrywałam stół starego charliego. fragment po fragmencie wpychałam linoleum do pieca i patrzyłam, jak się pali.

pracując, planowałam, co się wydarzy, kiedy skończę, gdy wypoleruję stół pszczelim woskiem, przejadę palcami po zaokrągleniach imienia mojego taty, poczuję jego dni. usiądziemy wokół daru mojego dziadka: manny i ja, joey i babcia, dotykając się łokciami, nikt nie będzie za daleko, już nigdy, będziemy dzielić się naszym stołem i naszym jedzeniem, wypełnimy ciszę imionami: stary charlie, sunny-jim i ciocia lola. nie wiedziałam, dlaczego myślałam, że manny pomoże mi to zrobić.

babcia dostrzegła dym z ogrodu, śmierdzące czarne obłoki.

- co ty wyprawiasz? - krzyknęła zza drzwi.

- naprawiam stół dziadka! - odkrzyknęłam.

powoli weszła do kuchni i oparła się o framugę, łapiąc oddech, spojrzała na stół i potrząsnęła głową, nie powiedziała ani słowa i nie obchodziło mnie to. i tak było za późno, linoleum zniknęło, a ja naprawiałam rzeczy.

31. Manny Stół rybaka

W biednych wioskach, takich jak moja, nie było książek. Jedyne historie, które znaliśmy, to te opowiadane przez naszych ojców, a oni poznali je, gdy byli mali, od swoich ojców. Te historie nie były spisywane na papierze. Wspomnienia. Tym właśnie były. Gdy przyszła wojna, zabrała wszystko, co dobre w moim kraju. Jedyne rzeczy, które przywiozłem ze sobą do domu Bulla i Louisy James, to historie, opowiadane przez mojego ojca i własne wspomnienia.

Czasami Louisa James zachęcała mnie, bym opowiedział swoje historie.

- Opisz mi swój kraj, Manny.

Tak właśnie mówiła, ale ja przez długi czas nie mogłem. Zadawałem sobie pytania, po co takiej eleganckiej pani, która mieszka w domu ze szkła, moje historie? Co by sobie pomyślała o domu, w którym mieszkała moja rodzina? Co by sobie pomyślała o matach do spania i palenisku? Oknach bez szyb i stole, wykonanym przez mojego ojca?

Mój ojciec zrobił nasz stół z kawałków drewna, które morze wyrzuciło na plażę po burzy. Wiatr i fale wygładziły je jak skórę rekina. Słońce i sól rozjaśniły je na srebrnoszary

kolor, a kawałki morskiego szkła wczepiły się w dziury i pęknięcia. Szkło wyglądało jak maleńkie jeziora, właśnie tak. Drewno pochodziło z rozbitego statku, powiedział mój ojciec. Pamiętam, jak ciężko pracował, gdy ciągnął je za sobą z plaży do wioski. Zbudował swój stół na zewnątrz, pod gałęziami drzewa bawełnianego i tam pozostał. Stół mojego ojca był bardzo duży, wystarczająco długi dla dwudziestu osób i wystarczająco szeroki, by postawić na nim wiele misek z jedzeniem. Właśnie tak wyglądał.

Mieszkaliśmy w maleńkiej, nadmorskiej wiosce niedaleko Freetown, stolicy mojego kraju. Mój ojciec był rybakiem, a matka pracowała dla plantatora ryżowego. Sadziła i wrywała, młóciła i gotowała, a potem podawała mnie, mojemu bratu i siostrze ryż z tym, co złapał ojciec. Gdy wojna przyszła do naszej części kraju, byli też inni, którzy siedzieli z nami przy stole. Nie musieliśmy ich zapraszać. Kuzyni i sąsiedzi, obcy i podróżnicy - wszyscy do nas przychodzili. Niektórzy szukali swoich bliskich albo bezpiecznego przejścia do innego kraju i potrzebowali miejsca, w którym mogliby spędzić noc i odpocząć. Inni przychodzili, bo byli głodni. Niektórzy przynosili ze sobą mango i ananasy, inni nie mieli się już czym podzielić. Przychodzili z pustymi rękami i opowieściami o spalonych wioskach i skradzionych dzieciach. Moja matka karmiła ich wszystkich. W niektóre noce, kiedy odeszli, mój ojciec siadał sam przy stole i płakał. Babcia mówiła, że jej syn siedział z duchami tych, którzy zaginęli i płakał za żyjących. Wszystkie babcie mają smutne historie do opowiedzenia.

Buli i Louisa James dzielili swój stół ze mną, ale podzieliliby się nim także z innymi.

- Dlaczego nie zaprosisz do domu kolegów, Manny? Zaproś ich na obiad. - Tak do mnie mówili.

A gdy odpowiadałem, że nie mam jeszcze żadnych kolegów, Louisa James odpowiadała:

- A co z chłopcami, z którymi grasz w piłkę?

- Ci chłopcy to nie są moi przyjaciele - powiedziałem. To był fakt. Tak uważałem i to oznajmiłem Louisie James.

- Może jeśli ich kiedyś zaprosisz, to lepiej się poznacie.

Ale ja nie słuchałem. Myślałem wtedy o stole dla dwudziestu osób, o tym, jak dużo czasu zajęło zbudowanie go i jak szybko spłonął, gdy podpalili go żołnierze.

- No cóż, po prostu o tym pomyśl. Kiedy będziesz gotowy. - Głos Louisy James był łagodny, jej oczy błyszczały kolorem morza. Miałem nadzieję, że pewnego dnia będę w stanie opowiedzieć jej o stole mojego ojca.

32. Alice

klatka piersiowa mojej babci

joey przestał mnie pytać, czy chcę iść potańczyć, wydawało się, że coraz trudniej mnie zrozumieć, nie mój dźwięk, tylko rzeczy, które robiłam albo nie. uciekanie od mannyego, chłopca, przy którym chciałam być. jedyne go chłopca, który chciał usłyszeć mój głos. nie tylko joey nie wiedział, co się dzieje.

nie tęskniłam za lekcjami baletu, ale za tym, jak joey namawiał mnie, żebym poszła, tęskniłam za tym, jak go obejmowałam, gdy pedałowal na rowerze i za śmiechem, który nam towarzyszył, zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś będę kogoś przytulać tak, jak joeya. albo raczej, czy ktoś tak przytulałby mnie. ktoś, kto wiedziałby o mnie wszystko i kochał pomimo to.

po tym pierwszym razie nie widziałam już joeya w rajstopach, jednak wciąż wychodził z domu co środę o tej samej porze, wciąż mówił, że idzie na balet, ale nigdy nie mówił nic o tildzie albo mannym. czułam, jakby rosła między nami kolejna cisza, chciałam ją powstrzymać, powiedzieć mu o moim pomysle ze stołem.

- mógłbyś przyprowadzić tildę - powiedziałabym, jakby

zapraszanie ludzi, by z nami zjedli, było czymś zupełnie normalnym. - moglibyśmy mieć prawdziwe spaghetti, takie nie z puszek, mógłbyś zrobić swój słynny sos boloński - powiedziałabym mu, mimo że nie robił go dla nikogo oprócz mnie.

na stole stałyby kraspedie i nieszczerbione talerze, nie myślałam o mojej własnej ciszy, o tym, co by się stało, gdy odezwałabym się, kiedy łokcie idealnej tildy dotykałyby moich, myśli o atakach mnie nie martwiły, byłabym w domu, bezpieczna, obok mnie niedźwiedź, pode mną lwie łapy.

- może babcia zrobi szarlotkę - powiedziałaabym, wykreślając z myśli krótkość jej oddechu i powolność jej kroku.

w środy, kiedy joey wychodził, stałam na werandzie i patrzyłam na niego.

- co jest? - zapytał, przerzucając nogę przez ramę roweru, przez moment chciałam wsiąść z nim, usadowić się na bagażniku z tyłu, jakby nic się nie zmieniło.

coraz częściej zastanawiałam się, czy piętnaście lat było trudne dla wszystkich, czy tylko dla ludzi takich jak ja.

- możesz pojechać ze mną, jeśli chcesz - powiedział, potrząsnęłam głową i weszłam do domu. napełniłam butelkę herbatą i zrobiłam kanapki z serem.

- chodź babciu - zawołałam. - chodź ze mną, będę nabijać przynętę na sieci na krewetki.

- to daleko.

- nie aż tak. chodź, zrobiłam herbatę i kanapki.

babcia była powolna, dojście zajęło nam o wiele więcej czasu, niż myślałam, usiadłyśmy na kamieniach w słońcu, babcia, niedźwiedź i ja. gdy oddech babci się uspokoił, zaczęła odcinać kawałki mydła z żółtej kostki do prania, ja zawijałam je w liście eukaliptusa, przyczepiałam do sieci

i wrzucałam do rzeki, kiedy skończyłyśmy, nalałam nam herbaty i podzieliłyśmy się kanapkami, jedzenie i picie rozluźniło babci język.

- dobra robota z tym stołem - powiedziała. - szkoda, że stary charlie nie mógł tego zobaczyć.

- wciąż tam będzie, kiedy wróci do domu - odpowiedziałam, już dawno przestałam pytać kiedy znów pojedziemy go zobaczyć.

- to zależy od tego, czy wyjdzie stamtąd żywy.

- wróci do domu. - jednak w sercu nie byłam tego taka pewna.

- może powinniśmy zacząć używać tego stołu.

- jest za duży na nas troje, przypomina mi o tych wszystkich, którzy powinni przy nim siedzieć.

- moglibyśmy zaprosić innych ludzi, żeby wypełnili luki.

- nikt by nie przyszedł - odparła.

- dlaczego nie?

- bo nie jesteśmy jak reszta, jesteśmy inni.

- masz chyba na myśli to, że oni nie są tacy, jak ja, szaleni, dlatego nie pozwolisz mi nikogo zaprosić? bo śmiesznie mówię? przez ataki?

- oczywiście, że nie. to nie ma z tym nic wspólnego.

- w takim razie o co chodzi?

- ludzie o nas gadają.

- powiedz mi jedną rzecz, która naprawdę się liczy, tylko jedną.

babcia milczała.

- więc jeśli kogoś zaproszę i się zgodzi, to będzie w porządku?

babcia popatrzyła na mnie zdesperowana i powiedziała:

- jest jeszcze moja klatka piersiowa.

ze wszystkich wymówek, jakich mogłaby użyć: moja dziwność, jej picie, stary charlie, rozpadający się dom - wybrała swoją klatkę piersiową, jej klatkę piersiową! jeśli powiedziałyby: „bo jestem chora, bo moje płuca są zniszczone” albo „bo mam rozedmę”, odrzekłabym: „my wszystko zrobimy, joey będzie gotował, ja posprzątam”, ale ona powiedziała: „jest jeszcze moja klatka piersiowa” i zaskoczyłam sama siebie, przemądrzała jak każda zwykła nastolatka, odparłam:

- co z twoją klatką piersiową? jest za mała, za duża, zbyt obwisła?

śmiech po prostu ze mnie wypłynął jak kipiąca woda. nie mogłam się powstrzymać, śmiałam się i śmiałam, i było mi z tym bardzo dobrze, nawet lepiej, kiedy przyłączyła się do mnie babcia, leżałyśmy na plecach na kamienistej plaży i trzęśmy się ze śmiechu, słodko-słone łzy spływały po naszych policzkach i znikwały za naszymi uszami, kiedy śmiech się skończył i obie uspokoiłyśmy oddech, powiedziałam:

- babciu! poznałam chłopca i zaproszę go do nas, żeby usiadł przy stole starego charliego i on w ogóle nie zauważy twojej klatki!

nie pomyślałam, żeby wspomnieć o kolorze jego skóry.

33. Alice

kwestia koloru

gdy niedźwiedź, babcia i ja wróciłyśmy do domu, zrobiłam mrożoną herbatę z lawendą, miodem i cytryną, powiedziałam babci, że to eliksir na jej klatkę, i uśmiechnęłyśmy się do siebie, ale śmiech już się skończył, poszłam na górę i ubrałam niebieską sukienkę, nigdy nie nosiłam niebieskiego i nie cierpiałam tej sukienki, jedna z pań z lokalnego koła dała ją babci dla mnie. wcześniej nosiła ją jej córka.

- powiedz jej, że niebieski pasuje do rudych włosów, glorio - powiedziała tamta kobieta, jakby mnie tam nie było, jakby nie widziała mnie stojącej obok babci. - te jaskrawe róże i czerwienie, które nosi, nie za bardzo pasują rudzielcom. - wtedy spojrzała na mnie. - widzę, że ma zielone oczy, ale nie powinnam się tym przejmować, i tak nikt tego nigdy nie zauważy.

tego dnia, gdy dostałam sukienkę, zabrałam do mojego pokoju lusterko do golenia starego charliego i, trzymając niebieską sukienkę pod brodą, przeglądałam się w nim. wyglądałam, jakbym udawała kogoś, kim nie jestem, czy powinnam znać zasady kolorów? czy to też zapomniałam? wepchnęłam sukienkę do szuflady i wyciągnęłam książkę latania.

wspięłam się na dach i przyglądałam światu, zanim spisałam
moje pytania odnośnie koloru.

kto może mi powiedzieć, czy
ogon pawia jest nieprawidłowy lub
kto zepsuł grejpfruta?

rubinowy miąższ?

pomarańczowa skórka?

a tak w ogóle, czyj to był pomysł

by trawa była zielona, a niebo niebieskie?

a ponadto, czy zło jest zawsze czarne?

a może występuje też w krwistej czerwieni?

a z drugiej strony, jeżeli czerń jest tylko niegodziwa

to czy ktoś nie powinien zmienić koloru północy?

czy właśnie po to są gwiazdy?

i jeszcze jedna, ostatnia rzecz, czy ta dziewczyna

z szalonym okablowaniem jest jedyną, która myśli

że jesień jest piękna, a tęcza to dzieło geniuszu?

zawsze chciałam użyć słowa *ponadto*.

34. Alice

wśród ważnych chwastów

przypomniałam sobie ten wiersz i powód, dla którego go napisałam, gdy razem z niedźwiedź szłam w stronę przełęczy charlotte. długie źdźbła trawy czepiały się rąbka znie-nawidzonej niebieskiej sukienki, zostawiłam babcię w salonie, wydmuchując niewidzialne obłoczki powietrza pachnącego lawendą, przy grobie teddyego zatrzymałam się, by u stóp anioła położyć bukiet z piór i kwiatów, drugą ręką założyłam rąbek sukienki za bieliznę, żeby mi nie przeszkadzała i wspięłam się po klifie, niedźwiedź uwiła sobie legowisko w trawie, a ja w mojej sukience niewidce ułożyłam się na kanapie jak brakujący fragment niebieskich puzzli.

joey i ja rozmawialiśmy kiedyś o tym, skąd się wzięła ta kanapa i dlaczego tam stoi. usadowiona blisko krawędzi klifu, zasłonięta od strony drogi barierką bezpieczeństwa, joey twierdził, że mogła spaść z ciężarówki i kierowca tego nie zauważył lub nie chciało mu się jej znowu wciągać na górę. albo ktoś ją po prostu wyrzucił, kanapa była tam odkąd pamiętam, ciemny granat obicia spłowieł do koloru niezapominajek, miękki materiał zatracił różnicę między zwykłą szmatką a aksamitem, słońce i deszcz wybieliły drewniane

podłokietniki do koloru kości, ale wciąż było widać, że to nie była zwyczajna kanapa, na jednym końcu było zaokrąglone, miękkie oparcie, które trzymało cię jak ręka kogoś bliskiego wokół twoich ramion, a na drugim w ogóle nie było oparcia, to była kanapa, na której można było porządnie wyciągnąć nogi. elegancka kanapa.

wiosną osty pokrywały klif fioletowymi główkami rozmiarów filiżanek do herbaty, szare wełniane listki kładły się na stoku jak królicze liście, oset miał właściwą nazwę zapisaną w książce ważnych chwastów, *onopordum*, popłoch pospolity, elegancka kanapa również miała właściwą nazwę, szezlong. jeżeli w niebie są kanapy, to wydaje mi się, że wszystkie są szezlongami.

czasami, gdy przelatują nade mną samoloty
wyobrażam sobie pilota i jego pasażerów
a wśród nich kierowcę ciężarówki
odlatującego w stronę
czterdziestego dziewiątego równoleżnika
albo do londynu, gdzie pogoda
jest głównie szara.

jego zaspane oczy zwracają się ku okienku
gdzie widzi przebłysk
swojej dawno zaginionej kanapy
jak skrawka nieba w ametystowym morzu
znaczących chwastów.

pewnego poranka dawno temu, kiedy mgła sprawiła, że listki jak królicze uszy były prawie niewidoczne, leciałam nad ametystowym morzem, nad niezapominajkową kanapą,

nad aniołem teddyego. śmigło helikoptera pospiesznie przecinało kremowe chmury, a ja w środku nie słyszałam ani nie widziałam zupełnie nic. byłam w drodze do szpitala w mieście, bo nikt w bridgewater nie wiedział, jak pomóc takiej dziewczynie, jak ja.

latem wróciłam do domu pociągiem, zatrzymując się na wszystkich stacjach, strome wzgórza przełęcz charlotte wznosiły się przed naszymi oknami, wysuszone słońcem osty leżały porozrzucone jak porzucone zabawki u stóp eleganckiej kanapy.

ale od tego czasu minęło prawie cztery lata. tego dnia leżałam na kanapie, obserwując to, co jest i czekając na to, co ma nadejść, marzyłam o tym, by manny przyszedł, usiadł razem ze mną przy stole starego charliego, położył się obok mnie na kanapie, nasze serca blisko, obejmowane przez zaokrąglony brzeg, nasze nogi przeplecione razem na jej błękitnym obiciu.

ale marzenie o mannym siedzącym obok mnie i dotykającym mnie łokciami przy stole nie sprawi, że to się nagle stanie, pamiętałam, jak długo musiałam czekać, zanim manny przyszedł po raz pierwszy... próbowałam nie myśleć o tym, jak wtedy od niego uciekłam.

mogłam już wcześniej wspomnieć, że babcia ma piosenkę albo powiedzenie na każdą okazję, jedno z jej ulubionych brzmiało jakoś tak:

Bóg czasami chce, żebyś przejął inicjatywę.

joey powiedział, że to po prostu bycie ostrożnym, twierdził, że babcia wymyśliła to powiedzenie, bo nie była pewna, czy jej modlitwy zostaną wysłuchane, tego dnia, w sukience z drugiej ręki, która gryzła się z kolorem moich oczu,

pozwoliłam sobie na przywilej wątpliwości w stosunku do babci i dałam Bogu trzy tygodnie, stół i ja byliśmy gotowi, wewnątrz mnie wzmagał się krzyk, zaciśnięta pięść unosząca się ku niebu.

35. Alice

hymn

stado kakadu podniosło się gwałtownie jak burza pyłowa, usłyszałam bombardierów z bridgewater, zanim zobaczyłam ich biegnących w stronę dziury, czułam się niewidzialna na niezapominajkowej kanapie, jej wyblakły bok obejmował moje ramiona, piłkarze biegali w kółko wokół cementowego grilla, trzymając w rękach cegły, w małych miasteczkach, takich jak bridgewater, ludzie muszą sobie jakoś radzić, manny biegał razem z nimi. nawet z mojego oddalonego siedziska bez problemu go rozpoznałam, chciałam, żeby biegał sam. czasami chłopcy w większych grupach rzucają wyzwania, przyzywają stada kruków, jak burzowe chmury przynoszą ulewę, może manny był bardziej podobny do tych chłopców, niż myślałam, wyobraziłam sobie mur zrobiony z czterdziestu czterech cegieł i zastanawiałam się, czy byłby wystarczająco duży, by zapewnić mi bezpieczeństwo.

babcia zawsze mówiła, że jest czas na odwagę i czas na ostrożność, kiedy wiesz, że masz mieć dwanaście lat, trudno rozróżnić, który czas jest kiedy, więc czekałam, a bombardierzy trenowali, bałam się odejść i bałam się zostać, nie

wiedziałam, czy byłam głupia, czy odważna, przychodząc tutaj z nadzieją, że porozmawiam z mannym. babcia mówiła, że powinniśmy uczyć się na własnych błędach, ja miałam dwanaście lat, gdy popełniłam największy błąd w moim życiu, stało się to w nocy, kiedy poszłam łowić krewetki, gdy zostałam w tyle, by podziwiać gwiazdy nad oktober bend zamiast pójść z dziadkiem i joeyem nad rzekę.

w końcu bombardierzy rzucili swoje cegły na jeden stos. kiedy ich trener sobie poszedł, bardzo chciałam, żeby reszta zawodników ruszyła za nim. miałam nadzieję, że manny spojrzy w moją stronę, ale słońce chyliło się już ku zachodowi i nie mogłam dłużej czekać, musiałam być w domu przed zmrokiem, gdy wstałam z kanapy, ktoś krzyknął, jeden z piłkarzy wskazał na mnie palcem, jakby w gniewie dźgał powietrze wokół mnie. inni odwrócili się i zaczęli wykrzykiwać różne rzeczy, niektórych z nich nie słyszałam, a niektóre niestety tak.

- debilka! pinda! - krzyczeli i śmiali się.

tak bardzo pragnęłam, żeby tunele z paproci ukryły mnie w swoim cieniu, chciałam zniknąć w norze wombata, ale bombardierzy z bridgewater stali między mną a tymi sekretnymi miejscami, o których wiedzieliśmy tylko ja i joey. wspięłam się na szczyt przełęczy, odzyskałam równowagę i biegłam wzdłuż horyzontu, blisko płonącego pęknięcia między niebem a ziemią, blisko światła, niedźwiedź biegła ze mną, jej oddech, ciepły i głośny, był tuż za mną.

strach we mnie pęczniał, strach przed tym, że ktoś poszedł za mną. światła stacji kolejowej do mnie mrugały, jakiś pociąg zbliżał się do peronu, niedźwiedź i ja dobiegłyśmy do drzwi poczekalni, wszędzie było pełno ludzi, ześliznęłam się

w dół ściany, skuliłam w kącie, same wśród tłumu, niedźwiedź i ja. dół mojej sukienki poplamiony trawą oderwał się od stanu, wytarłam nim oczy i nos. naciągnęłam spódnicę na kolana, nie było tu joeya, by trzymać wszystko razem, niedźwiedź zaszczekała, ptaki nadchodziły, czasami trzepotanie ich skrzydeł dobiegało do jej uszu szybciej niż do mnie. otworzyłam usta, ale wydobył się z nich tylko skrzek kruka.

- przyprowadź joeya - zaskrzypiał - proszę, przyprowadź! - i niedźwiedź pobiegła.

światło gładziło powieki moich oczu i zastanawiałam się, czy wpadłam w pęknięcie między niebem i ziemią w to miejsce, gdzie słońce jest połykane przez fioletowe usta zmierzchu.

znam pieśń o pęknięciach, usłyszałam ją po raz pierwszy, gdy byłam w ośrodku rehabilitacyjnym, większość ludzi, którzy tam przebywali była stara, ale pani w łóżku obok mnie była mniej więcej w wieku mojej matki, była taka, jak ja... jej elektryka miała zwarcie, mówili, że miała udar. w moim przypadku chodziło o słowa, znałam je, ale trudno mi było je wypowiadać, u niej to była kwestia rąk, nóg i uśmiechów, wiadomości z jej mózgu nie docierały na zewnątrz, jej uśmiechy tkwiły w środku, jedna jej strona działała, a druga nie. palcami, które pracowały prawidłowo, naciskała guzik, słuchała jednej i tej samej piosenki na okrągło.

piosenka o pęknięciach była moją ulubioną, nazywa się *hymn*. nie byłam pewna, co znaczą jej słowa, ale piosenka

to wiersz, a wiersz oznacza co tylko chcesz, w ośrodku wytłumaczyłam sobie jej znaczenie w ten sposób: czasem nie wszystkie rzeczy są idealne, ale to nie oznacza, że nie mogą być jednocześnie piękne, nawet złamane rzeczy.

hymn grał w mojej głowie, ktoś delikatnie głaskał mnie po ręce. oszklone okienko biletowe było zatrzaśnięte, poczekalnia opustoszała, nikt już nie czekał na pociągi, ale manny wciąż czekał, czekał na mnie. chciałam go zapytać, czy zna piosenkę o pęknięciach.

36. Alice bohaterowiei zloczyńcy

niedźwiedź przyprowadziła joeya. musiał być przerażony, kiedy za drzwiami zobaczył tylko ją. skonfrontował nas przy bramie do sadu. wzrok ostry jak szkło omiótł ślady łez na mojej twarzy, rozdartą niebieską sukienkę i brudne kolana.

- gdzieś ty była? co wyprawiałaś? - jego pospieszne słowa były pełne oskarżeń.

ogarnęło mnie znużenie, nie mogłam znaleźć słów, by wytłumaczyć ścieżki po łzach, rozdarcia i brud. spojrzałam na mannyego. zmierzch osłaniał go jak peleryna bohatera, wenus, gwiazda wieczorna, jaśniała nad jego ramieniem jak medal, chłopcy nie ratowali dziewczyn, takich jak ja. do tej pory stary charlie i joey byli moimi jedynymi bohaterami.

manny wytłumaczył o moim spadaniu na stacji kolejowej, nie powiedział nic o kanapie ani klifie, byłam mu bardzo wdzięczna za to, że zatrzymał moją głupotę w sekrecie, ciekawiło mnie, czy domyślał się, że zrobiłam to wszystko po to, by zobaczyć go choćby przez chwilę, by móc z nim porozmawiać, i oto byliśmy razem, manny, ja i mądra niedźwiedź, która ułożyła się wygodnie u moich stóp. wierzyłam

w to, że joey okaże zdrowy rozsądek, bo przecież złoczyńcy nie przyprowadzają swoich ofiar do domu. oni grasują jak dzikie psy, zabierając wszystko, na co mają ochotę, a resztki rozsypują pod gwiazdami.

manny wszedł do domu, joey przytrzymał dla niego drzwi, babcia jak zwykle siedziała w swoim krześle przy piecu, złapała mannyego za rękę i obejrzała go z góry na dół, popatrzyła mu też głęboko w oczy. ja poszłam szybko się umyć do łazienki, wyszorowałam kolana, ściągnęłam podartą sukienkę i ubrałam się na arbuzowo, a splątane włosy związałam na karku, kiedy wróciłam, manny stał na werandzie i rozmawiał przez telefon z kimś o imieniu louisa james. mówił, że się spóźni, drzwiczki do pieca były otwarte i węgle wewnątrz buchały niczym ogniem piekielnym, babcia piekła grube pajdy chleba, a joey smażył zielone pomidory i jajka, ja nakryłam do stołu, bez obrusu, tylko pióra w słoiku i papierowe podkładowki; kartki z muzyką z mojej książki latania, ptasie pieśni, na wypadek gdyby były potrzebne do wypełnienia ciszy, chciałam, żeby manny zobaczył, co dziadek wyrzeźbił na blacie stołu, chciałam, żeby wiedział, że my, nightingale'owie, byliśmy kiedyś jak wszyscy inni ludzie.

było o wiele mniej ciszy, niż mogłoby być podczas pierwszego wspólnego posiłku, nadzieja powoli otwierała drzwi do klatki, w której schowało się moje serce, już dwukrotnie manny widział mnie pasującą do czegoś, dwukrotnie nie odwrócił się do mnie plecami, słuchał fragmentów mojej potykającej się mowy i błagał mnie, abym powiedziała coś jeszcze, jego chęć słuchania nie robiła różnicy dla mojej mowy, wciąż nie była jaśniejsza, szybsza ani płynniejsza. moje słowa nie brzmiały jak pieśni ptaków albo poezja, ale

manny obserwował mnie i cierpliwie czekał, aż skończę, pytał, kiedy czegoś nie rozumiał, śmiał się razem z nami z moich pomrukiwań i nieporozumień, tego wieczora mieliśmy wszystko, co było nam potrzebne - jedzenie, by zaspokoić nasz głód i rozmowę, by zaspokoić nasze dusze.

kiedy posiłek dobiegł końca i manny'ego połknęła noc, joey pomógł babci wejść na górę do jej sypialni, ja położyłam się na stole dziadka, podtrzymywana lwimi łapami, przyłożyłam policzek do drewna, czując zapach pszczelego wosku, moje łzy stały się strumieniami i rzekami biegnącymi w korytach imion moich bliskich, płakałam, bo manny przybył, dał mi nadzieję, bo dzięki niemu próbowałam wybaczyć tym nieobecny to, że odeszli, a tym, którzy pozostali, że mieli tak mało wiary we mnie.

37. Manny

Wstyd

Louisa James chciała wiedzieć, gdzie byłem. Nie powiedziałem jej, że zauważyłem Alice na kanapie i jak bardzo martwiłem się, co może się stać, gdy inni ją zobaczą. Są pewne słowa, których po prostu nie mówi się przy paniach, takich jak Louisa James. Nie mogłem powtórzyć tego, co ci chłopcy wykrzykiwali o Alice. Ale najbardziej było mi wstyd, że nie próbowałem ich powstrzymać. Nie mogłem jej tego powiedzieć.

- Muszę o czymś pogadać z trenerem - oznajmiłem chłopakom, zanim popędziłem w dół rzeki. Zgadłem, że Alice będzie musiała przejść przez poczekalnię stacji kolejowej i wiedziałem, że jeśli pobiegnę wystarczająco szybko, spotkam ją, zanim dotrze do domu. Chciałem wiedzieć, czy wszystko było z nią w porządku.

Nie mogę zapomnieć, jak Alice wyglądała, gdy ją znalazłem. Jej piękne włosy były splątane, sukienka podarta, a twarz trupio blada. Ale nie powiedziałem o tym Louisie James.

- Jej ręce i nogi drgały i widziałem tylko białka jej oczu. To wyglądało strasznie, Louiso James. W poczekalni było

wielu ludzi. Niektórzy się gapili, ale większość udawała, że nie widzi, co się dzieje. Nikt nie zaoferował pomocy. Tak właśnie było.

- Może się bali, Manny. Niektórzy ludzie po prostu się boją. Mogłeś do mnie zadzwonić. Może teraz nie pracuję, ale przecież wciąż jestem pielęgniarką. Możesz na mnie liczyć, Manny, zawsze.

- Wiem, ale nie było czasu.

- Skąd wiedziałeś, co zrobić?

- Nie jestem pewien, czy wiedziałem. Pamiętałem, co zrobił jej brat i to powtórzyłem. I czekałem z nią, aż to się skończy.

- Więc już to kiedyś widziałeś? Znasz tych ludzi?

- Za pierwszym razem ich nie znałem. To się stało na treningu. Ta dziewczyna chodziła na lekcje baletu. Czekałem, żeby wejść do sali, kiedy ona... Kiedy to się stało.

- No cóż, jestem z ciebie dumna, Manny, że zatrzymałeś się i jej pomogłeś. Jestem dumna. Jej rodzice musieli być bardzo wdzięczni, kiedy odprowadziłeś ją do domu.

- Ja... Nie było ich tam. Tylko jej brat i ta starsza pani.

- Jej babcia?

- Tak, jej babcia.

- Więc oni mieszkają niedaleko stacji?

Louisa James chciała wiedzieć więcej, niż byłem gotów jej powiedzieć.

- Czy to ma znaczenie, gdzie mieszkają? - zapytałem i od razu wiedziałem, że odezwałem się do niej w niegrzeczny sposób.

- Oczywiście, że nie. Myślałam, że znasz mnie o wiele lepiej, Manny.

Załadowałem zmywarke. Potem zacząłem robić zadanie domowe, ale ciężko było mi się skupić. Rozczarowałem sam siebie podwójnie. Obiecałem sobie, że będę chronił Alice, ale nie próbowałem powstrzymać tych chłopaków przed wyzwaniem jej. A teraz niegrzecznie odezwałem się do Louisy James. Dobrej Louisy James, która nikogo by nie skrzywdziła. Tego byłem pewien. Ale chciałem zatrzymać Alice tylko dla siebie jeszcze trochę dłużej.

Kakao rozwiązuje problemy. To jedna z wielu rzeczy, w które wierzy Louisa James. A dzielenie się kakao z drugą osobą rozwiązuje ich jeszcze więcej. W to też wierzy. Kiedy próbowałem zrobić zadanie, Louisa James zrobiła dwa kubki kakao. Potem włączyła telewizor i poklepała miejsce na czerwonej skórzanej kanapie obok siebie. Wielu rzeczy trzeba się nauczyć w nowym kraju. Niektóre z nich w ogóle nie wymagają słów. Nie wydaje mi się, żeby istniało słowo opisujące znaczenie dwóch kubków kakao, telewizji grającej cicho w tle i dłoni Louisy James poklepującej kanapę obok niej. To był nowy język. Nauczyłem się go moimi oczami i sercem. Te wszystkie rzeczy razem oznaczały: *Chodź, usiądź obok mnie, wybaczyłam ci. Teraz ty wybaczone sobie.*

Wybaczenie samemu sobie było zawsze najtrudniejsze. Oglądaliśmy wiadomości. Widziałem obrazki, ale nie słyszałem słów. Myślałem o tej starej kanapie nad Przełęczą Charlotte i żałowałem, że nie siedziałem na niej z Alice i nie mogłem jej obronić. Nie wiedziałem jak. Może gdybyśmy byli niewidzialni dla innych? Kiedy byłem z nią, czułem się, jakbyśmy byli jedynymi ludźmi w Bridgewater. Wtedy naszła mnie pewna myśl. Dlaczego Alice siedziała na tej kanapie? Nie pomyślałem o tym wcześniej. Wiadomości

skończyły się, zanim doszedłem do jakichkolwiek wniosków. Louisa James skierowała pilota w stronę ekranu i wyciszyła telewizję.

- Twoi przyjaciele są tu zawsze mile widziani, Manny - powiedziała.

- Tak, wiem - odpowiedziałem.

- Twoi nowi przyjaciele też, ta dziewczyna... Jak mówiłeś, że ma na imię?

Jeśli Louisa James nie byłaby pielęgniarką, byłby z niej wspaniały detektyw. A to dlatego, że była dobra w zadawaniu pytań. Dobra pamięć również jest ważna dla detektywa. Louisa James pamiętała prawie wszystkie imiona dzieci w Bridgewater, którym pomogła przyjść na ten świat. Ale to było coś, o czym nie wiedziałem, gdy siedzieliśmy na czerwonej kanapie, napawając się gorącym kakao i gdy Louisa James pytała mnie o imiona moich przyjaciół.

- Alice - odpowiedziałem. Tak dobrze było wypowiedzieć jej imię na głos. - Na imię ma Alice, a jej brat to Joey. Ale to nie są moi przyjaciele, dopiero ich poznałem.

- No cóż, jeśli kiedykolwiek...

- Wiem, Louisa James, dziękuję.

Louisa James jest bardzo mądrą osobą. Zamiast ciągle zadawać pytania, czasami sama mi coś mówiła. Opowiadała historie, jak mój ojciec, bym mógł je łatwiej zapamiętać.

- Nie zawsze mieszkaliśmy w tym domu - powiedziała mi, kiedy prawie skończyliśmy nasze kakao. - Rodzice Michaela rozwiedli się, gdy miał zaledwie trzynaście lat. Był najstarszym z siedmiorga rodzeństwa, najmłodsze dziecko było wciąż w pieluchach. Jego matka pracowała na dwa etaty, a Michael zajmował się wszystkim innym. Wydaje mi się,

że stąd wzięło się jego przezwisko „Buli”⁸. Po prostu szarżował na wszystko. Miał tylko osiemnaście lat, kiedy rozkręcił swój biznes w robotach ziemnych. Posiadał tylko łom, kilof, łopatę i wynajętą przyczepę. Jego slogan „Buli James przenosi góry” był jak zapowiedź mężczyzny, którym się stał. Nie ma żadnego wstydu w byciu biednym, Manny. Żadnego - dokończyła Louisa James.

Zawsze zostawiała najważniejsze na koniec opowieści. To była rzecz, którą chciała, żebym zapamiętał. Nieraz zajmowało mi dużo czasu, żeby zrozumieć, o czym naprawdę były jej opowieści. Wiedziałem, że ta historia nie była tylko o Bullu. Louisa James mówiła mi, że nie musiałem się wstydzić tego, że moja rodzina była biedna. Myślałem, że to o to chodziło i zastanawiałem się, czy powinienem jej powiedzieć, że nie wiedziałem, iż moja rodzina była biedna, dopóki nie przybyłem do domu o wielu oknach.

Ale gdybym wtedy wiedział o znakomitej pamięci Louisy James do imion noworodków, pewnie bym zgadł, że mówiła także o Alice i Joey'u.

38. Alice z problemami

- ten chłopiec przyszedł tu z problemami - powiedziała babcia na drugi dzień po wizycie mannyego.

- myślałam, że go polubiłaś.

- to nie ma nic wspólnego z tym, czy go lubię, czy nie. po prostu nie potrzebujemy w tym domu więcej kłopotów.

jej oddech zaświszczał i przysunęła się bliżej pieca, byłam zła, ale ugryzłam się w język, jeśli chciałam, żeby manny jeszcze nas odwiedził, musiałam uważać, żeby nie rozgniewać babci, poza tym, czasami wiedziała rzeczy, których nie wiedział nikt inny.

pamiętałam wyraz twarzy mannyego, kiedy zobaczył mnie po raz pierwszy, tego dnia, gdy leżałam na małym trawiastym wzgórzu obok stojaka na rowery przy sali gimnastycznej, manny dał joey'owi swoją chusteczkę, by ten otarł mi twarz, myślałam, że się bał, że przestraszył się mnie w ten sam sposób, co inni ludzie, kiedy miałam atak. wczorajszy wieczór udowodnił, że manny się nie bał.

miałam nadzieję, że babcia nie miała racji, powinnam była ostrzec mannyego przed wspaniałą glorią nightingale, powiedzieć, by nie pozwolił jej trzymać się za rękę, żeby nie

patrzył na nią zbyt długo, ale nie wróciłam jeszcze całkowicie z miejsca, w którym byłam, gdy miałam atak. moje myśli były zamglone, niemądrze wyszłam z pokoju i zostawiłam manny'ego z ręką w sidłach mojej babci, by zedrzeć z siebie szmaty i wyszorować kolana.

kiedy ja martwiłam się tym, co powiedziała babcia, joey wszedł do kuchni owinięty w ręcznik, posmarował swojego tosta miodem i oblizał nóż.

- pewnie zwyczajnie był zdenerwowany. - i w tym momencie pokochałam go od nowa. nie za to, że odważył się nie zgodzić z babcią, ale dlatego, że bronił mannyego. wyszłam na zewnątrz, ubrałam buty i pobiegłam, pełna jednocześnie radości i gniewu, w dół do składziku drewna, gdzie nie mogłam już usłyszeć, co mówiła babcia.

z problemami, co to znaczy z problemami? - zastanawiałam się, gdy podniosłam siekiere, podniosłam ją nad ramię i opuściłam ostrze w dół, w szarą kostkę, żółtą kostkę i szorstką korę.

problem

- to defektowe działanie mechanizmu mózgu.

zapamiętałam tę definicję ze słownika, aliteracje mogą służyć jak narzędzia do zapamiętywania dla ludzi z uszkodzoną elektryką albo nawet dla takich, których okablowanie działa dobrze w większości przypadków, defektowe działanie, mechanizm mózgu - proste.

moimi własnymi słowami: kiedy sprzęt, który sprawia, że twoje ciało albo umysł nie działają, ludzie często opisują cię jako kogoś z problemami, było jasne, że ciało mannyego

działa w porządku, więc jaki rodzaj „problemów” babcia zobaczyła w jego oczach? jaki był inny rodzaj, oprócz mojego? jeżeli przeczytałabym dalszą część definicji w słowniku, znalazłabym coś takiego: *być zaniepokojonym, zmartwionym, niezrównoważonym*.

może wtedy przeczytałabym stronę 321, gdzie odkryłabym, że „niezrównoważony” oznacza: *emocjonalnie lub umysłowo niestabilny*.

słownik jest jak mapa zrobiona ze słów. kto wie, dokąd te słowa mogły mnie zaprowadzić? może do babci, która nie ufała nikomu i próbowała wynagrodzić sobie życiowe upadki tanim winem.

niektóre mechanizmy mojego ciała działały bez zarzutów, poczułam zapach żywicy i rytm uderzeń w moich ramionach, głowica siekiery zanurzyła się w słodkim, suchym drewnie, uderzenia metalu i trzask rąbanego drzewa płynęły w moich żyłach szybko biegnącą krwią, rozlewając siłę w ramionach, gniew uciekał ze mnie razem z potem, pchnęłam taczki pełne drewna pod górkę i złożyłam je pod domem, następną porcję ułożyłam na werandzie przy drzwiach do przybudówki, gdy wniosłam ostatnie naręczce, czułam się porządnie zmęczona, ale i spokojna.

babcia usnęła przy ogniu, coraz mniej sypiała w swoim łóżku, wolała siedzieć przy piecu i popijać gorącą wodę, którą nalewała do ulubionego kubka z czajnika o łabędziej szyi. przypomniałam sobie, by porozmawiać z joeyem o przeniesieniu jej łóżka do kuchni, zanim skończy się jesień, wepchnęłam drewno głęboko do brzucha pieca, pocałowałam głowę babci i zastanawiałam się, czy miłość i nienawiść to bliźniaczki.

kiedy babcia spała, zabrałam słownik, przewracałam strony, aż znalazłam inne znaczenie „problemu”: *być zakłopotanym, zmartwionym czymś nieprzyjemnym.*

rozmyślałam, czy to normalne, by piętnastoletnia dziewczyna pytała chłopca, czy jakaś nieprzyjemna rzecz go martwiła, kłopotowała lub niepokoiła.

kiedy joey wyszedł do szkoły, poszłam z nim. jego drobny gest, by stanąć po stronie mannyego, wiele zmienił, razem szliśmy przez sad, nasze stopy szurały w bordowych i pomarańczowych liściach, wczesne powietrze mroziło nasze gardła, doszliśmy prawie do płotu, gdy joey zapytał:

- kiedy znowu przyprowadzisz mannyego do domu? serce zatrzepotało mi w klatce z żeber, joey zobaczył moje zaróżowione policzki i zaśmiał się.

- to może ja zapytam tildę, czy też chce przyjść!

jego uśmiech był piękny, szczodry i rzadki, zanim zdążyłam odpowiedzieć, już przeszedł przez dziurę w płocie.

tego majowego poranka chodziłam dumna, dumna z tego, że przyprowadziłam mannyego do domu, może nie zachęciłam go słowami, ale jednak przyszedł, i przyszedł dla mnie. nie pozwoliłam sobie na myśli o tym, że zrobiłby to samo dla kogoś innego w potrzebie, joey, z jego pięknymi słowami, czarem i nauką, nigdy nie przyprowadził nikogo do domu. coraz więcej czasu spędzał z dala od nas. czasami, gdy patrzyłam na napis na moście, który zrobił, czułam się opuszczona, joey był z tildą, byłam tego prawie pewna, ale sposób, w jaki patrzył na mnie tego ranka i rzeczy, które mówił, sprawiły, że naprawdę czułam się, jakbym miała piętnaście lat. jakbym naprawdę była jego starszą siostrą, a nasza odległość i osobność nie były już tak bolesne.

przez całą drogę do domu planowałam, co moglibyśmy robić z mannym. wszystkie rzeczy, które bym mu pokazała, miejsca, do których bym go zabrała, sekrety, którymi byśmy się podzielili, wyobrażałam sobie, że babcia ulegnie jego osobowości tak samo, jak ja. powiedziałaaby, żebym przyprowadziła go znowu, że robi gulasz wołowy z kluseczkami.

nigdy nie spodziewałam się, że babcia odtrąci mannyego, wykluczy go z naszych rozmów, z jej serca, nie spodziewałam się, że będziemy musieli czekać, aż uśnie przy palenisku, by się spotkać, że będziemy się skradać po schodach, by wyjść na dach i patrzeć w gwiazdy, albo leżeć w łodzi pod domem razem z innymi schowanymi rzeczami: strzelbą dziadka i puszką w róże. nigdy nie chciałam się ukrywać, ukrywali się ludzie, którzy się wstydzili albo bali. ja nie czułam ani wstydu, ani strachu.

39. Alice

zapomniana rzecz

powietrze się gwałtownie ochłodziło, liście wyschły i spadały z drzew, ja rąbałam taczkę za taczka drewna, frustracja naoliwiła moje stawy, dzięki niej siekiera chodziła gładko, robiąc odciski na moich dłoniach, nie mogłam się zdecydować, jak ponownie zaprosić manny'ego do domu. obwiniałam o to bombardierów z bridgewater. po tym, co stało się nad przełęczą charlotte, nie chciałam już nigdy się do nich zbliżyć, nie chciałam iść do sali gimnastycznej ani siedzieć na kanapie wśród chwastów, to rozważa, mówiłam sobie, nie byłam tchórzem, pozwolenie manny'emu, by usłyszał mój głos było na to dowodem.

nawet joey mnie złościł, dwa razy w ciągu ostatnich kilku tygodni przyprowadził do domu tildę. siedzieli przy stole dziadka, sprawiali, że puste miejsce manny ego strasznie się wyróżniało, babcia rozmawiała z tildą, gdy była u nas i nie mówiła nic, gdy wracała do domu. nie powiedziała do joey'a ani słowa o tym, że tilda przyniesie kłopoty.

- a co ze sprawami rodziny? - zapytałam joeya po drugiej wizycie tildy. - myślałam, że mieliśmy trzymać buzie na kłódkę, jeśli chodzi o naszą rodzinę.

- ty przyprowadziłaś manny'ego - wytknął.
- nie zapraszałam go. po prostu przyszedł, przyprowadził mnie do domu, bo ciebie tam nie było! - syknęłam w gniewie.
- nie mogę być z tobą cały czas, alice. poza tym wiem, że chciałaś, by tu był.

jego głos był gładki jak karmel.

- zaproś go jeszcze raz - zaczął mnie znów namawiać.
- na tańcach jest za dużo ludzi... - odpowiedziałam, mój głos stracił swoją siłę i wiedziałam, że nie mogę wspomnieć o przełęczu charlotte.

- napisz do niego, cały czas coś piszesz, napisz, a ja mu to przekażę.

- a co ze sprawami rodziny?

- manny jest zainteresowany tylko tobą, a tilda nic nikomu nie powie. - moje policzki się zaróżowiły, a język wydawał się za duży w moich ustach, chciałam, żebyśmy mogli być z mannym jak joey i tilda. wydawało się, że nic ich nie martwi, nie zatrzymuje przed tym, co chcą zrobić.

- skąd wiesz, że nic nie powie? - zapytałam, joey wzruszył ramionami i odwrócił się ode mnie.

- po prostu wiem.

- a co, jeśli jednak powie?

- powie co? i komu?

- może swojemu tacie... powiedziałaś, że jest policjantem, co będzie, jeśli powie mu, że nie chodzę do szkoły? a co z babcią? jest taka stara... i to jej oddychanie.

nie chciałam się zastanawiać, co mogłoby się wydarzyć, ani o tym mówić, ale zima była już blisko, przygotowaliśmy dla babci łóżko przy palenisku, z każdym dniem jej oddech

wydawał się coraz słabszy, a joey i ja nie byliśmy nawet blisko naszych osiemnastych urodzin, twarz mojego brata była szara i twarda jak twarz anioła nad grobem teddyego.

- tilda nic nie powie, ona ukrywa przed swoją rodziną, że jest ze mną. zawsze mówi, że jest u koleżanki.

- dlaczego?

- bo my nie jesteśmy tacy jak jej rodzina i przyjaciele! cholera, alice, nie zauważyłaś tego jeszcze?

słowa joeya wzleciały wysoko, opadły na swoje miejsce i jak kawałki mozaiki ułożyły się w jeden kształt, w mojej głowie zobaczyłam listę:

tato nie żyje mama odeszła siostra jest szalona babcia jest chora dziadek jest w więzieniu.

i co z tego? - chciałam krzyczeć na cały głos. - tacy właśnie jesteśmy, a jeśli inni ludzie są jak bombardierzy, pani cassidy i kantujący jack faulkner, to cieszę się, że nie jesteśmy tacy jak oni!

zamiast tego spojrzałam w twarz joeya, zanim odwrócił się do mnie plecami, i wypełnił mnie smutek na myśl o nas. a szczególnie ze względu na mojego brata, który nie miał wiecznie dwunastu lat, który był starszy, dużo starszy, niż jego czternaście lat. który miał zdobywać wiedzę, a nauczył się, że lepiej i łatwiej być jak wszyscy inni.

o dziewiętnastej trzydzieści tego wieczora joey wciąż nie wrócił do domu. myślałam, że może w ogóle nie wrócić.

mgła osiadła nad zakolem rzeki, oddech babci był urywany, nie chciałam, żeby przyłapała mnie na patrzeniu na zegar, udawałam, że idę po więcej drzewa, gdy tak naprawdę wypatrywałam w ciemności smugi światła zbliżającej się do mnie wzdłuż brzegu rzeki, światła z roweru mojego brata.

- niedługo wróci do domu - powiedziałam, modląc się, żebym miała rację, kiedy babcia zapytała, gdzie jest joey. -a jak przyjdzie, poproszę, żeby pojechał na pocztę i kazał hattie fox zadzwonić po doktora.

- nie, nie poprosisz, zawiozą mnie do szpitala i to będzie mój koniec - odsapnęła babcia.

nasz koniec też? - zastanawiałam się.

- chodź tu i posmaruj mnie tym - nalegała.

podawała mi mały niebieski słoiczek i podniosła swój podkoszulek, gdy zaczęłam wcierać maść eukaliptusową w jej plecy.

podłożyłam do pieca i położyłam się obok niej, przodem do jej pleców, z ręką wokół jej ramion, niedźwiedź leżała u naszych stóp. czasami marzyłam o babci, która wychodziłaby z domu, jak inne kobiety, na spotkania klubu kobiet, do sklepu albo na kawę z przyjaciółmi, czasami ciężko było mi przebywać w tym samym pokoju, co babcia, słuchać, jak próbuje wciągnąć w swoje płuca więcej tlenu, ale nie mogłam sobie wyobrazić domu na palach bez niej.

po jakimś czasie jej oddech uspokoił się i pomyślałam, że usnęła, powoli odsunęłam się od niej, gotowa pójść spać we własnym łóżku, w noc taką jak dziś, łóżko było najcieplejszym miejscem w domu. wtedy babcia się odezwała, jej głos był zaspany, delikatny, głos z przeszłości, jak wtedy, gdy opowiadała mi bajki, kiedy byłam mała.

- są rzeczy, o których nigdy ci nie mówiłam, ptaszyno -powiedziała, użyła przezwiska, które nadał mi joey. nigdy tego nie robiła.

byłam przerażona, może babcia umierała, w tym momencie, gdzie był joey, gdy go tak bardzo potrzebowałam?

- nigdy nie wiedziałam, kiedy byłby właściwy moment ani czyja byłam odpowiednią osobą, by ci to powiedzieć, ale nie zostało mi już dużo czasu.

- nic nie mów, babciu, śpij już - odpowiedziałam.

- to musi zostać powiedziane. - babcia złapała mnie za rękę. - myliłam się w wielu rzeczach, może źle zrobiłam, że nie wysłałam cię do szkoły, nie mówisz za dobrze, ale to nie jest twoja wina. to nie znaczy, że nie jesteś mądra - przyznała, a ja trochę się uspokoiłam, zadowolona z jej pochwały, nie było to wiele, ale lepsze coś, niż nic.

babcia zaczęła wtedy kaszleć, jakby coś utknęło jej w gardle, może przez zimne, rozgwieżdżone powietrze albo przez słowa, które tak długo przede mną ukrywała, nakryłam nasze głowy kocem, przytuliłam się do jej pleców i prosiłam w duchu, żeby jej płuca dalej pracowały, leżałam w ciemności koca, marząc o tym, żeby joey wrócił do domu.

kiedy w końcu oddech babci się uspokoił, wysunęłam się z łóżka, podłożyłam do ognia i opatuliłam babcię kocem, tymczasem ona przekręciła się na plecy i złapała mnie za rękę. nie mogłam odejść, czekałam, głodna pochwał, mając nadzieję, że coś jeszcze mi powie, powie, jak bardzo moja mama mnie kochała, jak trzymała mnie w ramionach, szepcząc słowa miłości i śpiewając piosenki, o spojrzeniach, o darach, jakie tylko matka może dać swojemu dziecku, źle zrobiłam, że zaczęłam.

- ci chłopcy cię skrzywdzili, alicie - powiedziała babcia. -bardzo cię skrzywdzili i zabrali coś, co nie należało do nich. ale nigdy nie zabrali całej ciebie, jest ciebie więcej, niż ludzie widzą, słyszą i czują.

powinnam była odejść, wyrwać dłoń z jej uścisku i zakryć uszy, zanim jej słowa otworzą zatrzaśnięte drzwi zapomnienia.

- jesteś czymś więcej, niż to, co jest między twoimi nogami, dziewczyno, czymś znacznie więcej.

prawda, dusząca jak rzeka smoły, wypłynęła z ust mojej babci, w słowach, wiedziałam, co mi się stało, jednak rzeczywistość była skrzętnie ukryta, kiedy babcia o tym mówiła, ja przeżywałam ten koszmar od nowa.

nogi jak galareta poniosły mnie do zlewu po ścierkę do naczyn, chciałam zetrzeć te okropne słowa z ust mojej babci, odtrącała moje ręce, a kruki tłukły swoimi dziobami o szyby, wlatywały przez komin, stwory w sadzy, niedźwiedź nie mogła się uspokoić, szcękając na ich łopoczące skrzydła, gdy przeganiałam je miotłą, wciąż się obracałam, odganiając te okropne ptaki, chcąc zetrzeć słowa babci ze ścian, ścian, które wydawały się wokół mnie zamykać, kruki dziobały moje łuskowe szwy, dopóki nie otworzyły ran. wpełzłam między lwie łapy i objęłam moją szaloną głowę rękami.

ramiona joeya były wokół mnie, kiedy wróciłam, tartano-wy koc otaczał nas na legowisku przed paleniskiem, babcia kołysała się w swoim krześle, jej oczy były zamknięte, ślepe jak oczy anioła, odwrócone w stronę czerwonej poświaty paleniska, jej twarzy nie zasłaniała ścierka, słychać było tylko jej oddech, gdy świszczła z każdym wdechem i wydechem, joey głąskał moje nieposkromione rude włosy, jego

dotyk był gładki jak masło, a jego policzki mokre, głęboko w jego piersi mruzczała kołysanka, nigdy nieopuszczający. nigdy nieopuszczający swojej siostry z problemami, mój pozwól-mi-odejść brat. mój pozwól-mi-odejść i patrz-jak--upadam brat. tej nocy widział, jak upadam, a potem mnie tulił, złoty chłopiec, brat.

- dlaczego? - zapytałam go. - dlaczego myślała, że chciałam pamiętać?

40. Alice

wciąż alicie, wciąż

jaki chłopiec z francuskimi węzełkami by teraz do mnie przyszedł? usiadłby przy stole mojego dziadka, dotykając mnie ciepłym łokciem? wsparłby się ze mną na wiekuistym ramieniu i splątał swoje nogi z moimi na kanapie wśród chwastów? jaki chłopiec teraz wygładziłby moją spódnicę, odprowadził mnie z miejsca, do którego poszłam, cichymi słowami i spokojnym dotykiem dłoni na ramieniu? jaki chłopiec odprowadziłby mnie do drzwi, gdyby znał powód mojej odmierności? nosiłby moje wiersze blisko swojej skóry jak listy miłosne mojej duszy do jego?

wyszłam, z siebie, przez moje okno, na balkon, w noc. spojrzałam w dół, na miejsce, gdzie żaden chłopiec nie będzie stał i czekał, na mnie. niedźwiedź była tuż obok. wspięłam się tam, gdzie nie mogła pójść za mną. poszłam na dach. po stromości, gdzie jego czubek stał naprzeciwko okrągłego księżycy, joey poszedł za mną, nigdy nie porzucając, siedział obok mnie w ciszy, milczałam pod gwiazdami, nie prosiłam o nic i nic nie otrzymałam, nie przyszły do mnie żadne wiersze, czułam się jak noe dryfujący po morzu w swojej arce. nie było widać lądu na horyzoncie, żadnej wyspy, która da

schronienie, żadnego drzewa, żadnego konara ani nawet gałązki, żadnego miejsca dla chwostek, by przysiadły i śpiewały swoje trele, nie było już czasu, kiedy się obróciłam, joey wydmuchał białą kolumnę pary, a jego dłoń sięgnęła po moją. mróz położył się skrzącym kocem na falowanej blasze, ślizgaliśmy się i zjeżdżaliśmy w dół na brzuchach, dłoniach i udach, ale ja nic nie czułam, joey zaprowadził mnie do pokoju, położyłam się na łóżku, a on obok mnie, i niedźwiedź u naszych stóp. najbliżsi razem, na dole babcia, tak samo rozerwana jak ja tym, co zrobiła i rozwiązała, zostałam zszyta przez miłość, nieporzucona, mimo że wtedy tego nie czułam.

kilka poranków później, gdy cały świat jeszcze smacznie spał, zdjęłam płócienną torbę z kołka za drzwiami przybudówki, sprawdziłam, czy jest w niej puszka po tytoniu pełna haczyków, lśniących, ostrych haczyków, sprawdziłam, czy są w niej nożyczki o małych i dużych ostrzach, których używał mój dziadek, jego cążki i gruba igła do robienia przynęt, ukryte w skórzanej saszetce, przełożyłam pasek torby nad głową, mocując go na sercu, poszłam w stronę oktober bend. w głowie miałam rzeczne pieśni, haczyki w torbie na moim biodrze, ciągły towarzysz pozostawiony za zamkniętymi drzwiami.

niebo było posiniaczone, pełne brudnych żółci i szarości, zatrzymałam się na chwilę przy słoniowych skałach, gdzie z babcią śmiałyśmy się z jej klatki piersiowej, położyłam się, bliźutko starożytnej szarej skały, by poczuć odcisk naszego śmiechu na jej powierzchni, jak poskręcana skamielina dźwięku, zachowana na wieki dla każdego, kto tylko zatrzyma się i posłucha, może byli tu poszukiwacze ulotnej

rzeczy zwanej radością, zapisanej w przeszłości przez skrybów i uczonych, kochankowie i poeci, ale rzeka zatopiła te tajemnice i skała pozostała cicha, ułożyłam głowę na torbie dziadka, przyszły do mnie myśli o książce i dwóch sklejonych stronach, pamiętałam ryby z tęczą na łuskach, krwawe skrzela i otwarte pyszczki, zobaczyłam śnieżnobiały fartuch mężczyzny, który je trzymał i jego twarz, jego oczy - zamknięte, jakby nie mógł znieść tego, co zrobił, zobaczyłam fartuch chirurga, który mnie zszywał igłą z nitką, jego twarz była zakryta, więc nie mogłam czytać z ruchu jego warg, ale groźba dwunastości była w jego oczach, wtedy przypomniałam sobie twarz mojej babci, kiedy wypowiedziała słowa, które przywołały kruki, jej oczy z zaczerwienionymi powiekami, ciasno zatrzaśnięte.

podniosłam głowę z płóciennej poduszki i odkręciłam pokrywkę z puszek po tytoniu, otworzyłam jej paszczę pełną błyszczących ostrych haczyków, moje palce ostrożnie odpięły skórzaną saszetkę i wyjęły nożyczki i igłę. położyłam je jedno obok drugiego, haczyki, nożyczki, igła. w zapomnienie popadły jedwabie, nici, srebrny łańcuch choinkowy, pawie pióra i futra, zapomniane były przynęty w każdej ich formie, przede mną były instrumenty do cięcia i przecinania, jak narzędzia lekarza, zimne i stalowe.

w porannej mgle, pod nowym, chłodnym niebem rozebrałam się. ściągnęłam mój arbuzowy sweter, z jego węzełkami i wzorami zrobionymi na drutach przez stare ręce babci, potem czerwone spodnie, niepasujące-do-tych-włosów spodnie, potem bielizna mająca za zadanie ukrywać prywatne części, zdjęłam je wszystkie, rzeka wabiła mnie jak syreni śpiew i szybko wstąpiłam w jej chłodne objęcia.

chciwie muskała moje ciało, od nóg, przez talię aż po ramiona, trawiaste palce dotykały mojej skóry, uspokajały mnie. oczyszczały, wciągały mnie głębiej, trzymały pod powierzchnią razem z milczącymi kamieniami i przemykającymi rybami, i w tym momencie byłam tam ja, marząca o tym, by się nie urodzić.

mój ostatni oddech był jak sznur pereł, moja twarz jak podwodny księżyc, nie było żadnego anioła tego brudnego poranka, nie widziałam nikogo stojącego nad wodą. żaden brat nie czekał na mnie na brzegu, by mnie wyciągnąć, żaden pies nie przypominał nosem ani ogonem, że kocha mnie, nieważne, czy jestem czysta, czy brudna, cała, czy złamana, żadnych wiekuistych ramion, by zanieść mnie do domu. żadnego *hymnu*, tylko ja. alice.

a we mnie ziarno nadziei, wystarczająco duże, by popchnąć mnie ku powierzchni, ku światłu.

wciągnęłam na siebie ubranie, z torby starego charliego wyciągnęłam pióro i atramenty, rozłożyłam je na słoniowej skale obok srebrzystych haczyków i nożyczek, wtedy wyjęłam moją książkę latania i przerzucałam kartki, aż trafiłam na pustą, i napisałam:

jestem alice wciąż jestem alice

nie mniej nie więcej po prostu inna alice.

zostawiłam książkę otwartą, pod bladym niebem, by mógł to zobaczyć każdy albo nikt. albo tylko ja. alicie z nasionkiem nadziei, zimowe słońce padało na moje arbuzowe ramiona i na słowa w kolorze mchu. kiedy schły, zebrałam małe nożyczki charliego, igłę, motek jedwabiu, pawie pióro i zaczęłam przygotowywać muchę.

41. Manny

Biegnać ku Alice

Obiecałem pomóc Tildzie Cassidy znaleźć Joeya i tego nie zrobiłem. Ale odnaleźli się bez mojej pomocy. Często widywałem ich przy sali gimnastycznej. Martwiłem się na zapas. Było widać, że Joey ufa Tildzie. Ale nieważne, jak mocno wypatrywałem Alice, nie mogłem jej znaleźć. I nie mogłem zapytać o nią Joeya, nie wtedy, gdy była z nim Tilda.

Czy mógłbym pójść do jej domu? Czy to było dozwolone? Byłem nakarmiony i ubrany. Miałem schronienie. Niczego nie potrzebowałem. Jakie były zwyczaje odnośnie potrzeb i pragnień w tym kraju? Czy mógłbym pójść z wizytą, nie-zaproszony? Czy ktoś może zapukać do drzwi i poprosić o to, czego pragnie jego serce? Czy to był wystarczający powód, by zapukać? O tym myślałem, podczas gdy szukałem Alice.

Kiedy biegałem nocą, zatrzymywałem się na moście, by obserwować okna domu, w którym mieszkała. Miałem nadzieję, że otworzy swoje okno i wejdzie na dach tak samo, jak tej pierwszej nocy, gdy ją widziałem. Chciałem ją ponownie zobaczyć, płynącą przez gwiazdy. Tego właśnie pragnąłem. I wczesnymi rankami jej szukałem. Myślałem, że

może zobaczę ją znikającą przez dziurę w płocie za poczekalnią na dworcu razem z jej wielkim psem.

Moje myśli częściej zaprzętała Alice niż miejsca i ludzie z mojego dzieciństwa. Kiedy biegałem, mówiłem sobie, że biegnę ku mojej przyszłości. Ku Alice. To właśnie przy niej chciałem być.

Znalazłem ją o poranku. Wyłoniła się z rzeki, tak blada, że myślałem, że ją wyśniłem. Bałem się odwrócić, bo myślałem, że zniknie. Widziałem, jak zwija swoje włosy w linę i wyciska z nich wodę na gładkie szare kamienie. Wtedy ubrała się w jaskrawe kolory i wiedziałem, że jest prawdziwa, a nie wyśniona. Pomyślałem, że może będę mógł przestać wiecznie biegać.

42. Alice przyzwoita rzecz

słoń jest stworzeniem wystarczająco
dużym, by położyć na nim
otwartą książkę
dziewczyne
chłopca
materiały do robienia przynęt na ryby i ognisko zrobione z
gałązek i ździebeł.

nad rzekę przyszedł manny james. przez bezdroże, gdzie my,
słowiki, chowamy się przed resztą świata, rozpalił dla mnie
ogień, zrobił to w ciszy, bez pytań czy odpowiedzi, bez słowa
zebrał gałązki cienkie jak nóżki chwostek, źdźbła trawy i
resztki liści, jak altannik⁹ zbudował maleńkie tipi ze swoich
znalezisk na skale, na której ja z babcią się śmiałyśmy.

byłam zaskoczona, że manny wiedział, jak rozpalić ognisko,
pewnej nocy joey i ja przeszliśmy obok dużych domów po
drugiej stronie miasta, pokazał mi, gdzie mieszka tilda

9 Australijski ptak budujący skomplikowane altanki, by
zwabić partnerkę.

i gdzie manny, powiedział, że w domach takich jak te nie ma palenisk, wystarczyło, żeby ludzie, którzy w nich mieszkają nacisnęli guzik, a ciepło będzie przenikać przez podłogę, manny wyciągnął zapalniczkę z kieszeni, ciepło rozeszło się po moim ciele nawet zanim ognisko na skale zaczęło się palić, jego obecność była lepsza niż słońce.

podczas gdy ogień płonął, wyruszyliśmy na poszukiwanie większych gałęzi, pod most nieopuszczania. spojrzenie mannyego spoczęło na napisie joeya. zobaczyłam w jego oczach pytania, których jednak nie wypowiedział, przyciągnęliśmy małe kłody do ogniska, moje nogi były szczęśliwe w swoich czerwonych spodniach, nawet w zimie arbuzowy kolor rozgrzewał moje serce.

joey i niedźwiedź czekali na nas, gdy wróciliśmy, niedźwiedź owinęła się wokół moich nóg. wdychała moje szczęście i lizała mnie po rękach, joey ukrył swoje zaskoczenie wewnątrz, nigdy nie widziałam, by ktoś robił to tak dobrze.

- idę sprawdzić sieci na krewetki - powiedział, jakby normalnym było to, że widzi mnie z mannym nad rzeką wczesnym porankiem, wlokących za sobą kłody do ogniska, najpierw ja, a on za mną. mój brat podszedł do brzegu rzeki i zarzucił sieć. było za zimno na dobry połów.

- wystarczy dla dwojga - powiedział. - muszę iść do domu, do babci, zostawiam niedźwiedź z wami. - byłam zbyt zajęta odczuwaniem cudu bliskości mannyego, by przypomnieć joeyowi, że niedźwiedź słucha tylko mnie.

nawlekliśmy krewetki na patyki, piekliśmy je nad żarem, aż ich skorupki zrobiły się pomarańczowe, obraliśmy i wyjedliśmy słodkie mięso ze środka, oblizaliśmy nasze palce i wytarliśmy je w ubrania, wtedy manny spojrzał w stronę

niezamkniętych stron księgi latania, zawiniętych jak papirusy przy ciepłe ogniska, zobaczył moje słowa, zielone jak mech i gdy skinęłam głową na zgodę, przeczytał to, co napisałam, czytał to wielokrotnie, poranek zrobił się cichy, ryby sączyły delikatnie nieruchome powietrze, a woda rozlewała się jak jedwab po pradawnych kamieniach, manny spojrzął na mnie i zapytał:

- co sprawiło, że jesteś inna, alicie?

dźwięk tego pytania spłynął z jego ust jak tęsknota.

na komodzie mojej babci stoi fotografia w małej owalnej ramce, ramka była srebrna jak rybie łuski z obramowaniem pomarańczowym jak twarde cukierki, dwie małe stopki u dołu trzymały ją w pionie, była to taka ramka, jaką człowiek bardzo cenił, z którą nie rozstawałby się nawet w podróży na czterdziesty dziewiąty równoleżnik, by nigdy nie wrócić, w tle fotografii jest zbiornik na wodę przewrócony na bok i wypełniony drewnem na opał. przed nim stoi dziecko ubrane w jeansowe ogrodniczki i koszulkę w paski, ta mała dziewczynka jest bosa. jej prawa ręka spoczywa na uchwycie wózka dla lalek z kółkami nie większymi niż małe bułeczki, dziewczynka patrzy w przeciwną stronę niż wózek i osoba, która robi zdjęcie, może jej wzrok podążał za kimś, kto odchodził, może już wtedy wiedziała, że jej matka z nią nie zostanie.

wiele razy spoglądałam na fotografię w srebrno-cukierkowej ramce na bok odwróconej twarzy na małą prawą dłoń wspartą

na poręczu wiklinowego wózka
na jeansowe ogrodniczki
i koszulkę w paski
i na pobrudzone białe stopy
i próbowałam sobie przypomnieć
jak to było czuć się sobą
zanim
byłam inna.

nie jest łatwo powiedzieć komuś, dlaczego jest się innym, jeśli samemu do końca się tego nie wie. dziewczyna skazana na dwunastość nie może na siebie popatrzeć z boku, bo nie pamięta tego, gdy miała trzy lata. nie wie, co czują inni ludzie, gdy mają dwanaście albo piętnaście lat.

spojrzałam na manny'ego po drugiej stronie ogniska, nie chciałam rozmawiać o tym, co minęło i zostało zrobione, ale miałam inne rzeczy do powiedzenia, mój postrzępiony i popękany głos przyłączył się do dźwięków poranka, do cichych, bliskich głosów żab i dzwonienia ptaków, w tle przewijały się też inne dźwięki, krowy na pastwisku, gwizdy z odlewni, dźwięki nas wszystkich mieszały się razem jak zwyczajna orkiestra życia.

- słowa są we mnie, ale gorzej je wypowiedzieć, niż napisać -
oznajmiłam manny'emu jamesowi.

- jesteś o wiele lepsza w pisaniu niż ja - odpowiedział z uśmiechem.

- jestem powolna... potrzebuję czasu, żeby słowa się wy dostały.

- nie przeszkadza mi czekanie, nauczę się słuchać jak twój brat - odparł, kiwając głową.

jak do tej pory szło dobrze, ale nie byłam pewna, ile jeszcze chciałam mu powiedzieć.

- nie chodzisz do szkoły?
- kiedyś chodziłam, przed urazem głowy, teraz joey przynosi mi książki, uczy mnie nowych, ciekawych rzeczy, opiekuje się mną.

- tak, wiem. widziałem go obok sali gimnastycznej, tam zobaczyłem go po raz pierwszy.

- czasami nie upadam przez długi czas.

- to upadanie dzieje się przez twój wypadek?

- nie wypadek.

- wydawało mi się, że mówiłaś... pokręciłam głową.

- zrobili to specjalnie.

- nie rozumiem, co się stało?

nie mogłam spojrzeć mannyemu w oczy. widział, jak wychodziłam z wody. nie miałam do niego o to pretensji, moje ciało sprawiało, że byłam jak inne dziewczyny, ale miałam do powiedzenia rzeczy, które pozwoliłyby mu zaglądnąć w najbardziej skrywane fragmenty mojej duszy, wpatrywałam się w ognisko, w głowie zrobiłam listę.

czekałam na joey'a i starego charliego każdej nocy szliśmy i ja siedziałam na wzgórzu z lampą i

liczyłam gwiazdy, kiedy oni sprawdzali sieci na krewetki nikt nigdy

wcześnie nie przyszedł tylko ten jeden raz.

niedźwiedź przycisnęła się do mnie, położyła pysk na moich nogach, a ja mówiłam dalej, wypuszczałam słowa jak kruki z klatki, które wpadały w płomień, pomarańczowe, żółte i różowe, każde kolejne słowo wymagało coraz więcej wysiłku:

dwóch z nich podkradło się

jak złodzieje zakryli

mi usta rękami,

by zatrzymać moje krzyki

w środku, kiedy robili to

co robili ze mną

a potem ten wysoki bał się

że coś powiem

podniósł kamień nad głowę

i uderzał nim i uderzał

a ten drugi próbował go powstrzymać

pokłócili się, krzyczeli i szarpali

i podpalili trawę

dla niebezpieczeństwa

dla ostrzeżenia

dla starego charliego i joeya

by przybiegli.

wtedy cisza, wszystkie moje bolesne słowa spalone na popiół i zabrane przez wiatr, ja pusta, obolała, jakbym połknęła noże. ramiona manny'ego przygarnęły mnie i w ich kręgu

pomyślałam niezwykłą rzecz, osobą, która najbardziej potrzebowała dowiedzieć się, że bycie alicie było dobrą i przyzwoitą rzeczą, nie był manny james. to byłam ja.

- jestem alicie - szepnęłam, a moje nowe słowa spłynęły na ramię manny'ego.

wciąż jestem alicie

nie mniej

nie więcej

po prostu inna

alicie

wciąż.

mój głos się nie zmienił, ale moje słowa były pieśnią.

43. Alice

rzeczny sonet

manny został do późnego popołudnia, kiedy powiedział, że musi już iść, poszliśmy z nim. niedźwiedź i ja. wiodliśmy go sekretną trasą do stacji kolejowej, ja prowadziłam, manny szedł za mną, a niedźwiedź szła ostatnia, nasze stopy ciche na ubitej ziemi, tylko świerszcze w swoich jamkach mogły nas usłyszeć, moje ręce otwierały tunele w wysokiej trawie, naszym było ciche królestwo roślin, ziemi i powietrza, zbyt szybko przyszliśmy do miejsca, gdzie płot odgradzał świat od trawy, odsunęłam brzeg siatki, manny wziął mnie za rękę. przeszedł przez dziurę, zabrałby mnie ze sobą, ale potrząsnęłam głową, czułam się winna, że zostawiłam babcię samą tak długo, zdenerwowana, bo joey mógł się złościć.

patrzyłam, jak manny przechodzi przez torowisko, wspina się na peron, znika w drzwiach podpisanych „poczekalnia dla podróżnych”, zobaczyłam go znowu, mniejszego, na ulicy kennedy. podeszło do niego dwóch chłopców, ich twarze były za daleko, nierozpoznane, ale było jasne, że znają mannyego. pobiegli razem z nim w stronę sali gimnastycznej, *bombardierzy* - pomyślałam, tam, w świetle mannyego.

świecie przyjaciół, piłki, szkoły i dużych domów, poprawiłam drucianą siatkę i pobiegłam do domu.

- gdzie byłaś? - zapytała babcia, kwaśna jak zielone jabłko. - mogłabym tu umrzeć i nic by cię to nie obeszło.

- nad rzeką - odpowiedziałam, wpychając kłody do ognia, marząc o ciszy, marząc o kimś, kto dzieliłby moje szczęście, zrobiłam herbatę, nakarmiłam babcię maślanymi kluseczkami z cienkiego rosółu.

- gdzie jest joey? - zapytałam, domyślając się, że poszedł gdzieś z tildą. byłam zła, że nie został z babcią.

babcia wzruszyła ramionami.

- dobrze się czujesz? - spytała, ona sama czuła się lepiej, kiedy coś zjadła.

kiwnęłam głową, czułam się silna.

- wciąż alicie - powiedziałam sama do siebie. - nie mniej, nie więcej, po prostu inna alicie.

inna niż byłam wczoraj, inna, bo manny szukał mnie i znalazł. po tym, jak nakarmiłam babcię, posprzątałam kuchnię, napełniłam miednicę ciepłą wodą z mydlinami, umyłam jej twarz, ręce i nogi, wtarłam masło w jej plecy oraz klatkę piersiową i pomogłam jej przebrać się w czystą koszulę, uczesałam jej srebrzyste włosy i zaplotłam je w warkocze, kiedy ułożyłam ją do snu w jej łóżku przy palenisku, wzięła moją twarz w swoje ręce, a moje serce zadrgało z zaskoczenia.

- dobra z ciebie dziewczyna, alicie - rzekła, i nawet po tym, co zrobiła wcześniej, co powiedziała, jej niespodziewana pochwała sprawiła, że chciałam się do niej przytulić i usnąć razem z nią przy ciepłym palenisku, pod tartanem z bliską

osobą, z rodziną, powiedzieć jej wszystko, co wiedziałam, zapytać o to, czego nie. powiedzieć, że ją Kocham.

ale zamiast tego wyszłam na zewnątrz i stanęłam obok zbiornika na deszczówkę pod drzewem ciężkim od pomarańczy przypominających małe planety między błyszczącymi liśćmi i strumieniami kwiatów, zerwałam jedną, obrałam i podzieliłam na cząstki, dwanaście małych, lepkich uśmiechów, zabrałam je do środka i zjadłam przy stole starego charliego, odwrócona plecami do babci.

później rozłożyłam narzędzia mojego zawodu na stole, atramenty lśniły jak klejnoty w swoich słoiczkach, pusty papier czekał na dotyk stalówki, zamoczyłam pióro i zaznaczyłam stronę, pisałam bordo i wykańczałam złotem, pisałam przepis na muchę*, której jeszcze nie wykonałam.

nazwa: *rzeczny sonet*
typ: *dry streamer*
haczyk: *numer 3*
nić: *cienka jedwabna*
odwłok: *fioletowy jedwab ze srebrną obwódką*
grzbiet: *ibis czczony*
- zafarbowany na zimorodkowy błękit
ogon: *paw*

faulkner nigdy nie zobaczy tej przynęty, ale zapisałam uwagę na dole strony, wyobraziłam sobie, jak by wyglądała jako reklama w gazecie.

* uwaga: *ta piękna przynęta została zaprojektowana przez wytwórcę z bridgewater, alice nightingale. pomimo praktycznego wzoru, rzeczny sonet nie jest przeznaczony do użytku*

jako przynęta wędkarska, ale okaz kolekcjonerski, jest to piękny przykład sztuki wiązania much wędkarskich.

uśmiechnęłam się, kiedy to przeczytałam, usłyszałam ciche uderzenie, buty joeya spadły na podłogę przy drzwiach, jego stłumione kroki rozbrzmiewały w kuchni, odłożyłam pióro i zakręciłam kałamarze atramentów, gdy moja etykieta wysychała, kiedy joey mnie zobaczył, podszedł do stołu i usiadł obok mnie. przeczytał, co napisałam.

- widziałem tę muchę? - zapytał.

- jeszcze jej nie zrobiłam.

- podoba mi się ta metka, to brzmi jak coś, co napisałby faulkner. jest dobra, naprawdę dobra, bardzo profesjonalna.

- dzięki.

- daj znać, kiedy będziesz miała więcej gotowych much, umówię się z faulknerem.

- ta nie jest dla niego - odpowiedziałam.

- nie?

- nie, ta jest dla manny'ego.

babcia zachrapała. przekręciła się na drugi bok. joey na nią spojrzał.

- co do wczoraj - powiedział - babcia pewnie myślała, że robi dobrze, mówiąc ci o tym. no wiesz...

- jest w porządku - odparłam.

słowa babci, zwarcie w mojej elektryce i to, co było potem... nie chciałam do tego wracać.

- jak myślisz, ile jej jeszcze zostało? to dlatego to powiedziała? - zapytałam szeptem.

- nie mam pojęcia, alicie.

- ale ty nie masz jeszcze osiemnastu lat.

- nie przejmuj się tym. chcesz trochę zupy?

napełnił dwie miski z garnka na piecu.

- zanim wyszedłem, byłem jeszcze raz nad rzeką, wyglądało na to, że wszystko było w porządku... między tobą a mannym - oznajmił joey. nie odpowiedziałam, byłam zbyt zajęta rozmyślaniami o mnie i mannym. o tym, jak rozpałił dla mnie ognisko, o tym, jak opierałam się na jego ramieniu, o tym, jak mówiłam mu o rzeczach, o których nikt nie wiedział.

- tilda mówi, że to w porządku chłopak - powiedział joey, a jego słowa zaparły mi dech w piersiach.

- rozmawiasz o mnie i mannym z innymi ludźmi? - zapytałam.

- tylko z tildą i tylko raz. zapytałem, co wie o mannym, tylko tyle. jest w tej samej klasie co jej brat... grają razem w piłkę...

- ale powiedziałaś moje imię i mannyego razem?

- nie wiem, może. jejku, alicie, jesteś moją siostrą, nie mogę o tobie wspomnieć?

jest w porządku, „wspomnieć” jest inne niż „mówić o”, alicie nightingale - upomniałam się. - *to właśnie robią inni ludzie.* joey skończył zupę. wytarł miskę chlebem.

- idę do łóżka - powiedział, ale nie zrobił tego. przyglądał się, jak zaczęłam rysować okładkę dla mojej etykiety, wykalkulowałam „n” jak nightingale. pociągnięcia ołówka po papierze uspokajały mnie.

- po prostu nie chcę, żeby ktoś cię skrzywdził - powiedział joey.

- mam już prawie szesnaście lat, mogę sama o siebie zadbać.

- szesnaście lat! - zmierzwił moje włosy i pozwoliłam mu

na to. tym razem nie usłyszałam dźwięku jego kroków na schodach, ani oddechu babci.

szkicowałam kwiaty i pióra, i
ryby, które wzorowałam na pięknej

księdze z kells

a wśród nich ważki i lilie

w miejscu, gdzie

zawsze była twarz joey a, narysowałam ciemnoskórego chłopca ze zmartwionymi oczami francuskimi węzełkami na głowie i

ogniskiem przed sobą.

było już zimno, kiedy niedźwiedź i ja wspięliśmy się po schodach, przesunęłam moje łóżko pod ścianę, przez którą przechodził komin kuchenny, naciągnęłam na siebie koce. leżałam na boku, plecami do cegieł komina, z niedźwiedź u moich stóp. ciepło wsiąkało w nasze ciała, usnęłam w ciągu kilku minut, ale zdążyłam jeszcze zastanowić się, czy manny james zapytał kogoś, kogo znał. o mnie.

44. Alice wpuścićmanny'ego

manny często przychodził w wakacje, czasami pracowaliśmy razem z joeyem w naszym rajskim ogrodzie, strzygąc drzewa owocowe i winogrono, przycinając wierzby nad rzeką, wiążąc gałązki w snopki, by wyschły pod domem, zachowując je do przesilenia zimowego następnego roku.

zanim tato odszedł, świętowaliśmy nadejście zimy ogniskiem, kiedy moja czaszka została rozbita, nie wszystkie wspomnienia z niej uciekły.

fragmenty
splątały się jak różane kolce kuflika¹⁰ wplecione w lepiankowe ścianki gniazd rzecznych jaskółek
i spływały po lepkich gardełkach correi nawet nasze piaszczyste brzegi rzeki migotały tak bardzo od wspomnień, jak od miki¹¹.

10 Krzew powszechnie rosnący w Australii o czerwonych lub różowych kwiatostanach przypominających szczotki do czyszczenia butelek.

11 Minerał, z którego zbudowane jest wiele rodzajów skał, często połyskuje w świetle słonecznym.

i ja, pomimo moich szwów jak rybie łuski i szalonej elektryki, wciąż pamiętam podniecenie, jakie czuliśmy przed tymi pachnącymi dymem nocami o niebie jak czarny aksamit, na kilka tygodni przed ich nadejściem joey i ja zbieraliśmy wszystko, co mogło się dobrze palić, na nasz mały wózek, nocę spędzaliśmy pod domem, goła żarówka świeciła jak słońce złapane w drucianą klatkę, kiedy składaliśmy ręce i nogi z gałązek, dziadek przywiązywał je do wypchanego słomą worka po ziemniakach, nie pamiętam, żeby babcia kiedykolwiek tam była. to zawsze był dziadek, dziadek bez religii i bez wiary, oprócz tej we mnie i joey a, który próbował nas nauczyć o tradycjach szwecji, miejsca, w którym urodziła się nasza matka, gdzie śnieg padał na Boże Narodzenie jak płatki wiśni.

w krainie przodków naszej matki najdłuższa noc była świętowana w grudniu, ogniskami i świecami, nazywało się to dniem świętej łucji, na cześć dziewczyny, która była dobra i miła.

- co to „święty”, dziadku? czy to coś jak anioł? czy ma skrzydła?

stary charlie nie był przekonany.

- aureolę na pewno, co do skrzydeł, to nie jestem pewien.

dziadek mówił, że najdłuższa noc nad oktober bend wypadła w czerwcu, i wtedy mogliśmy rozpalić ognisko, my, mali, lubiliśmy myśleć o aniołach i świętych, skrzydłach i ogniu, nawet joey się do tego przyznał, tak więc zaczęła się nowa tradycja w najdłuższą noc roku. rajski ogród był przystrojony lampami, joey i ja siedzieliśmy na kamieniach, dziadek wcisnął szmatę nasączoną naftą pod gałęzie i przyłożył do niej zapalnik, patrzyliśmy z podziwem, jak

nasza niezdarna kupka gałęzi staje w płomieniach, pomarańcz, żółć i szkarłat błyskały na skrzydłach anioła, którego stworzyliśmy.

pamiętam pierwszy raz, kiedy zrobiliśmy anioła z gałęzi, jak stary charlie patrzył na dom pogrążony w ciemności, ja też podążyłam za jego wzrokiem, by zobaczyć, co przyciągnęło jego uwagę, w gałęziach jabłoni mrugały lampy, a poza nimi okno naszej kuchni wisiało jak obraz zawieszony na niebie, obraz babci, stojącej przy zlewie, patrzącej na ogień, patrzącej na anioła, dziadek odwrócił się do nas.

- mogłem coś pokręcić, dzieciaki, nie jestem pewien, czy mieliśmy zrobić tego anioła, czy nie - powiedział.

ale my wypełnieni byliśmy szczęściem, życiem, tańczyliśmy na słoniowej skale i malowaliśmy po niej patykami o rozżarzonych końcach.

po tym, jak dziadek odszedł, nie świętowaliśmy już przesilenia, babcia mówiła, że boi się, by iskra z ogniska nie spadła na dom i nie wywołała pożaru, joey i ja jednak znaleźliśmy prawdę, babcia nie widziała już sensu w świętowaniu.

czasami dalej widzę ją patrzącą przez okno w kuchni, myślę wtedy o ognisku i aniele, o oknie wiszącym w ciemności, babci w kuchni i zastanawiam się, co wtedy myślała, co myślała, gdy patrzyła, jak manny pracował ze mną i joeyem, gdy oczyszczaliśmy ogród, mieszaliśmy wapno, malowaliśmy pnie drzew owocowych, by kora nie pękała, czy to zmartwienia w oczach mannyego sprawiły, że go obserwowała? a może dlatego, że go lubiła? a może jedno i drugie? kolejna osoba do kochania, kolejna do stracenia, co myślała? z jakiego powodu nigdy go nie zaprosiła do środka?

ale ja go zaprosiłam wpuściłam go do środka przez szczelinę
w moim sercu pozwoliłam mu wejść tego dnia
gdy znalazł mnie leżącą
na małym wzgórzu zieleni
mój złamany umysł wirował
trzpiotowato
na mojej jawie
i w moim śnie
on przyszedł
i po schodach w górę
pозwoliłam mu wejść.

na podłodze w sypialni rozłożyłam przynęty, manny był na
kolanach przy mnie. chciał wiedzieć, dlaczego je zrobiłam i po
co. chciał wiedzieć o nich wszystko, o mnie wszystko.

- dziadek nauczył mnie, kiedy miałam dziesięć lat. małe palce
wiążą małe węzły, i nie zapomniałam.

- czy on dalej je robi?

- nie zabrał ze sobą narzędzi - odparłam, nie powiedziałam,
dokąd dziadek odszedł, to była jego historia, myślałam, że to
byłaby zdrada, gdybym opowiedziała ją mannyemu.

- możesz mu je wysłać?

- on ich nie potrzebuje, teraz ja robię wszystkie muchy.

pokazałam mannyemu moją kolekcję sierści i skórek
filcu i futra, i piór znalezionych

na płotach w polach i lasach.

przyglądał się z zaciekawieniem moim barwnikom, opowiedziałam mu o składnikach, których użyłam, by je zrobić, kiedy zobaczył moje etykiety, usiadł na podłodze i pokręcił głową.

- tyje zrobiłaś? naprawdę tyje zrobiłaś?

kiwnęłam głową, zastanawiając się, czy manny użyje słów, jak faulkner. zamiast tego powiedział:

- to jest złoto!

- joey kupił złoty atrament za pieniądze z much - odparłam, nie rozumiejąc znaczenia jego słów.

- nie, alice, nie chodzi mi o atrament, w tym kraju na coś wspaniałego mówi się „złoto”, twoje etykiety to złoto!

śmialiśmy się z mojej pomyłki, tak samo, jak babcia i ja pękałyśmy ze śmiechu na słoniowej skale, wtedy zapytałam manny'ego, czy wie, co znaczy „zasłużona kara” i nie wiedział, powiedziałam mu o jacku faulknerze i o tym, jak joey dowiedział się, że płacił mi za mało. wytłumaczyłam, jak wtedy zrobiłam etykiety dla przynęt i sprzedałam je faulknerowi za piętnaście dolarów za sztukę.

- joey powiedział, że to była zasłużona kara dla faulknera za oszukiwanie na przynętach - powiedziałam.

- więc zasłużona kara jest wtedy, gdy człowiek zostaje ukarany za coś złego, co zrobił?

- coś w tym stylu.

- czy uważasz, że faulkner na to zasłużył?

- uważa, że jestem głupia przez sposób, w jaki mówię, bardzo chciałam zobaczyć jego minę, gdy dostał moje etykiety.

to było bezcenne, nie liczyły się pieniądze.

mój głos był zmęczony od tych wszystkich słów, które wypowiedziałam, chciałam wyjść na dach. chciałam pokazać manny'emu moje szczególne miejsce, zabrałam swoją książkę latania, przekręciłam zamek w oknie i otworzyłam je.

- chodź - odezwałam się do manny ego.

- dasz radę? - zapytał.

- jestem tu bezpieczna, nigdy nie spadłam, ani razu - odpowiedziałam, weszliśmy na balkon, pokazałam mannyemu najlepszy sposób na wejście na dach. pokazałam, jak złapać rynnę, gdzie położyć ręce.

- o tak - poleciłam - na czworaka, jeśli się poślizgniesz, to zjedziesz w dół. nie spadniesz, komin cię zatrzyma.

przysiedliśmy jak ptaki

w gnieździe słowików

nasze kolana zdarte

na dachowym mchu

dom wszyty między rzekę

spuchniętą od deszczu i tory

patrzyliśmy na kołysanie

dnia i nocy

nad naszym wąłym

zimowym ogrodem

z gałązek i łodyg

drapiących niskie niebo

zobaczyliśmy odległe

iglice i wieże, i uporządkowane ulice

wielookienne domy

i wszystkie inne cuda

ludzi świecących jak
świetliki w paszczy nieskończoności.

pociąg towarowy zepsuł atmosferę, przetoczył się obok si-
losów, zahuczał przeciągłe ostrzeżenie przy bramach odlewni,
otworzyłam moją książkę, by umieścić w niej słowa, które
opiszą to, co widziałam i czułam, usłyszałam i poczułam,
wypadła luźna strona z ćwiczeń, manny złapał ją. zatrzymał jej
ześlizgiwanie się po dachu w kierunku krawędzi, przekreślił ją.

- czy mogę przeczytać co jest napisane na tej stronie, alice
nightingale? nie będziesz miała nic przeciwko? - zapytał,
wahając się, czy mi ją oddać.

było to opowiadanie, jedna z moich pierwszych prób, kiedy
uczyłam się od nowa pisać, część była prawdziwa, część
wymyślona, bo nikt nie chciał albo nie był w stanie powiedzieć
mi, co się stało, oblało mnie gorąco, wymamrotałam
przeprosiny za pająkowate czerwone litery, które pełzły po
kartce w krzywych zdaniach, ale skinęłam głową w nadziei, że
manny zrozumie.

pomimo wielu wad, nadałam opowiadaniu tytuł, wielkimi
literami napisane było, *gwiazdy nad oktober bend*. trzymałam
latarkę babci, gdy manny czytał:

*kiedyś byli dzidek i babcia którzy zajmowali się chłopcem
o imieniu joey i dziewczyną o imieniu alice bo inny ojciec był
nieżywy a inna matka odleciała daleko, babcia i dzidek i joey
i alice razem mieszkali wysoko w niebie gdzie gwiazdy i inne
świecące rzeczy były bardzo blisko a na ziemi pod niebem był
ogród który zrobiła babcia wkładając magiczne pastylki do
ziemi i dzidek grał muzykę i śpiewał piosenki, gdy alice*

była numer dwanaście siedziała na bardzo małej górze blisko ogrodu i numerkowała gwiazdy nad oktober bend kiedy przyszli rabusie i podpalili świat wtedy joey pokazał a dzidek szybko poszedł do bardzo małej góry i zobaczył co rabusie byli zrobili rabusie uciekli do ichniego samochodu i dzidek biegł do domu bardzo szybko i dostał swoją strzelbę na węże i poszedł pod most babcia u-koły-sała alicie w swoich wiecznych ramionach dopóki nie poszła do szpitala bo jej głowa i inne części krwawiły wtedy policjanci przyszli i powiedzieli że dzidek zrobił bardzo zły grzech i chcieli zabrać jego strzelbę na węże a on powiedział że pływa z rybkami, i powiedzieli że nie będzie mógł już mieszkać blisko błyszczących gwiazd ale nie powiedzieli nic o bardzo złym grzechu który rabusie zrobili dziewczynie o imieniu alicie. dzidek był pozwolony zostać w domu do dnia sądu ale nie był pozwolony uciec, powiedzieli mu że po dniu sądu będzie musiał mieszkać w innym miejscu które nie nazywa się piekło ale nie było w nim okien ani gwiazd, kiedy czekał żeby tam pójść dzidek zrobił dziurę w dachu w pokoju w którym spała alicie kiedy nie była w szpitalu przybijał gwoździe i patyki i zrobił okno i za oknem przybił więcej patyków i gwoździ żeby zrobić wyrandę. i bybcia alicie powiedziała że dziewczyna spadnie z wyrandy i będzie martwa bo nie odlyci jak jej matka daleko, i wtedy dzidek powiedział że przybije więcej patyków żeby nie mogła spaść, i zrobił tak i dziewczyna o imieniu alicie wróciła do domu pokochała okno do gwiazd i nigdy nie bała się spadania.

kiedy manny skończył czytać małą czerwoną historię, powiedział:

- jesteś złota, alicie nightingale. naprawdę jesteś złota.

i ja śmiałam się, bo teraz wiedziałam, że „złoto” oznacza „wspaniałe” i dlatego, że nauczyłam się pisać o wiele lepiej niż wtedy, manny też się śmiał, ciężko jest się z kimś nie śmiać, kiedy ich śmiech jest zrobiony z czystego szczęścia, nasze głosy stały się częścią nucącego wszechświata, kiedy zeszliśmy z dachu, leżeliśmy na moim łóżku i zaplątaliśmy nasze nogi w taki sposób, w jaki kiedyś sobie wyobrażałam, że leżelibyśmy na błękitnej kanapie, wyglądał tak pięknie, że opowiedziałam mu historię o lucyferze i zapytałam, czy manny to jego prawdziwe imię.

- moja matka nazwała mnie emmanuel - powiedział. - to znaczy Bóg jest z nami.

wtedy pochylił się w moją stronę i przycisnął swoje usta do moich, nie byłam pewna, czy mówił prawdę o swoim imieniu i jego znaczeniu, ale na pewno miałam wtedy piętnaście lat.

45. Manny

Dwie głowy jedno serce

Podczas wakacji wiele razy chodziłem do domu Alice. Ale jednej nocy, kiedy wracałem do siebie, zobaczyłem dwóch chłopców opierających się o ścianę w poczekalni na stacji kolejowej. Było bardzo późno i żaden pociąg nie miał już przyjechać, nie było żadnych pasażerów. Byli tam tylko ci dwaj. Przyrodni brat Tildy, Lucas Stewart i Hamish O'Leary. Przestali opierać się o ścianę, kiedy podszedłem bliżej i wiedziałem, że to na mnie czekali. Stanęli bardzo blisko. Tak blisko, że musiałem się zatrzymać.

- Gdzie byłeś? - zapytał Lucas.

Nie myślałem, że dobrym pomysłem było powiedzenie mu, gdzie byłem, więc odparłem, że po prostu biegałem. O'Leary się zaśmiał. Nie był to radosny śmiech.

- Żeby tylko! - powiedział.

- Następnym razem, jak zobaczysz Joeya Nightingalea, powiedz mu, żeby trzymał się z daleka od Tildy - zagroził.

- Ale Tilda lubi Joeya - odparłem.

- Tilda *myśli*, że lubi Joeya - warknął O'Leary. - Jej stary jest gliną i nie chciałby, żeby jego córka zadawała się z takim ścierwem jak Nightingale.

- Dlaczego ty tego nie powiesz Joey'owi, Lucas?

To było proste pytanie. I myślałem, że było uprzejme, ale Hamishowi nie spodobało się, że zapytałem o to jego przyjaciela. Przystąpił do mnie i złapał mnie za koszulkę. Przypomniałem sobie sztylet i krople krwi. Gdyby to był prawdziwy nóż, mógłbym sięgnąć za jego plecy i przerwać jego rdzeń kręgowy w kilka sekund. Widziałem, jak to się robi. Zostałem zmuszony, by patrzeć. Wargę Hamisha odwinęła się jak u warczącego psa.

- Słuchaj, mądralo - powiedział - po prostu mu to przekaż, okej? I przypomnij mu, że jak się nie posłucha, to przyjdzie zemsta.

Wciąż nie przyzwyczałem się do pytania ludzi o radę, ale wiedziałem, że o tym muszę porozmawiać z dobrą Louisą James. Może jeśli powiedziałbym jej więcej o Alice, byłoby mi łatwiej zapytać, czy mam się martwić ostrzeżeniem Hamisha O'Learyego.

- O co chodzi? - Louisa James zapytała mnie, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć. Naprawdę była złota.

- Nie jestem pewien - odrzekłem.

- W takim razie może rozpracujemy to razem. Mam zrobić kakao?

Moje serce zrobiło się lżejsze, jak wtedy, gdy byłem małym chłopcem, a moja mama trzymała mnie za rękę i mówiła: *Dwie głowy jedno serce, Emmanuel*. Więc powiedziałem Louisie James.

- Jest taka dziewczyna, ta, o której opowiadałem ci kilka tygodni temu. Pamiętasz? Ta, którą odprowadziłem do domu.

- Masz na myśli tę dziewczynę, która miała atak padaczki

na stacji kolejowej?

Powinienem był odpowiedzieć: *Tak, ale to coś więcej*. Zamiast tego kiwnąłem głową.

- Ma na imię Alice.

- Tak, pamiętam. I widziałeś się z nią od tego czasu?

- Poszedłem biegać nad rzekę i ona tam była - powiedziałem. - Od tamtej pory widziałem ją wiele razy.

- Więc Alice jest teraz twoją przyjaciółką. To bardzo dobrze.

- Tak, jest moją przyjaciółką - potwierdziłem, a w moim sercu wiedziałem, że dobrze robię, mówiąc o tym Louisie James.

- Ale jest coś więcej?

- Tak. W szkole są chłopcy, którzy mówią o niej bardzo złe rzeczy.

- Jakie rzeczy?

- Użyli słów, których ja nie powtórzę przy damie, Louiso James.

- Wierzysz im, Manny?

- Wiem, że to nieprawda.

- Znasz tych chłopców?

- Tak, znam ich. Gram z nimi w piłkę.

- Czy są twoimi przyjaciółmi?

- Nie chcę się z nimi przyjaźnić.

- Przez to, co mówią o Alice?

- Przez to i przez inne rzeczy.

- Jakie inne rzeczy, Manny?

- Jeden z chłopców ma przyrodnią siostrę. Chcą, żebym przekazał bratu Alice, żeby trzymał się od niej z daleka.

- Wyjaśnili, dlaczego?

Nie mogłem powtórzyć Louisie James tego, co naprawdę powiedział Hamish O'Leary i mimo że widziałem, jak patrzył na Tildę Cassidy i słyszałem to, co do niej mówił, mogłem tylko zgadywać, że był zazdrosny o Joeya.

- Zapytałem ich, dlaczego i stwierdzili, że jej ojcu by się to nie spodobało. - To właśnie powiedziałem Louisie James.

- W takim razie ojciec powinien porozmawiać ze swoją córką. To nie ma nic wspólnego z tobą, ani z tymi chłopcami. Rozumiesz mnie, Manny?

- Tak, rozumiem cię, Louiso James, ale czy powinienem powiedzieć Joey'owi?

- Joey'owi?

- Bratu Alice.

- To nie ma nic wspólnego z tobą. Nie mieszaj się w to. Nie chciałem się w to mieszać, ale nie przestałem się nad

tym zastanawiać. Co planował Hamish O'Leary, jeśli nie zrobiłbym tego, czego chciał? I na kim by się zemścił?

46. Alice
lipiec

krótkie dni wakacje i niebo koloru stali
joey i tańcząca dziewczyna w domu
babcia drzemiąca przy ogniu, sapiąca przez zimę
nieszukająca zmartwień w oczach tildy manny i ja
pod nimi wszystkimi pod stołem starego charliego pod
domem pod deskami
pod zakurzonymi żyrandolami z pajęczego jedwabiu pod
kocem z łąt w niebieskiej łodzi zbawienia w czasach powodzi

dwoje z każdego stworzenia
samica i samiec
jego francuskie węzélki
na mojej poduszce
święte strony w moich rękach
i manny nieświadomy
zabójcy w kącie
koloru lipca.

w lipcu manny i ja wyruszyliśmy w naszą własną podróż, gdy niedźwiedź brała kąpiel, to była kolej joey a, by ją umyć i wyczesać. zabraliśmy odtwarzacz muzyki mannyego do łodzi, jedna słuchawka w moim uchu, druga w jego. pączki, które rozkwitały w piosenki, nie w kwiaty, potężna muzyka, która dudniła w naszych uszach jak fale o falochron, prowadziła nas przez sztorm, dryfowaliśmy tam, gdzie poniosły nas cztery wiatry i silne prądy, światło wydawało się być promieniami słońca sączącymi się przez deski podłogi nad nami. na czterdziestym dziewiątym równoleżniku zarzuciliśmy kotwicę i słuchaliśmy muzyki, którą grała moja matka, niezwykła, melancholijna melodia, zastanawiałam się, czy grała mi ją, kiedy byłam w jej brzuchu, czy już wtedy wiedziała, że będziemy rozdzielone, zastanawiałam się też, czy matka mannyego śpiewała mu piosenki.

powinnam była poczekać, ale zdradziłam mannyemu mój sekret, nasze nogi splątane we wzgórzach mojej pościeli, jego usta na moich już wiele razy. wydawało mi się, że to dawało mi prawo do odpowiedzi na moje pytania, czasami wspominał ludzi, z którymi mieszkał w domu o wielu oknach, dobra louisa james i buli james. mówił o szkole i piłce, ale

ja chciałam wiedzieć więcej, chciałam usłyszeć o rzeczach, które go dotknęły i zostawiły ślad.

- czy twoja matka cię opuściła? - zapytałam, wciąż oczarowana muzyką.

- tak - odpowiedział, patrząc ponad burtą naszej łodzi, jakby szukał oddalonych lądów.

powinnam była wyczuć, jak blisko byliśmy skał. powinnam była widzieć ciemniejące niebo, poczuć fale rozbijające się o liche ściany naszej łodzi, ale nie zauważyłam, byłam jak hattie z poczty, jej zimnymi oczami i ostrymi pytaniami, chciałam wiedzieć, dlaczego matki innych ludzi ich zostawiały.

- czy była młoda i utalentowana? czy powiedzieli ci, żebyś nie stał na jej drodze?

- moja matka nie żyje - wyjaśnił manny.

słowa opuściły mnie. byłam zawstydzona.

powinnam była wiedzieć, że śmierć jest kolejnym powodem opuszczania, wsunęłam moją prawą dłoń pomiędzy wygięte dno łodzi i ramiona manny'ego. złapałam ją lewą ręką, by zrobić nieskończony okrąg ramion wokół niego, chciałam go przytulić, ale zamarł, został tam, gdzie był, nieruchomy jak anioł teddyego.

- nie mogę cię dotknąć, alice. nie w taki sposób, w jaki bym chciał.

- powiedziałaś, że jestem złota.

- i dalej tak myślę.

- to przez tych chłopców, prawda? usłyszałeś, co o mnie mówili, ale ja nie jestem taka, jak oni mówią.

- nie słucham tego, co mówią.

- więc o co chodzi?

deszcz padał strumieniami poza palami domu. rzeka nabierała prędkości, manny nie mówił nic przez bardzo długą chwilę, a ja czekałam, bojąc się, że powie, że się mylił, że wcale nie byłam błyszcząca i cenna, że byłam brudna i bezwartościowa, w końcu odezwał się głosem, którego nie poznałam.

- moja matka została zamordowana, wszyscy zostali zamordowani, cała moja rodzina - powiedział obcym głosem, zarezerwowanym dla słów, których nie można wypowiedzieć.

nie było zapominania w mannym jamesie. żadnych najmniejszych spięć w elektryce, żadnego uczenia się pisania i czytania od nowa. każda okropna sekunda z tego, co się stało była wyryta w jego umyśle.

- w moim kraju żołnierze robili straszne rzeczy kobietom i dziewczynkom, właśnie to zrobili mojej matce i siostrze, byłam tam. kazali mi patrzeć, nie mogę zapomnieć, a teraz, kiedy zamykam oczy, widzę też ciebie, alicie. widzę cię, gdy miałaś dwanaście lat i to, co ci mężczyźni ci zrobili.

łzy mannyego spłynęły po jego policzkach, a ja zawyłam na cały głos:

- mam nadzieję, że zapłacą za to, co zrobili!

kiedy moje gardło było już zdarte, a nasze łzy wyschły zmieniając się w sól, wyszeptalam:

- nie pozwól im skrzywdzić także ciebie, manny, nie patrzmy w przeszłość, patrzmy na to, co jest tu i teraz.

w końcu ramiona mannyego owinęły się wokół mnie. leżeliśmy w łodzi, szukając ucieczki od samych siebie dla samych siebie w każdym z nas. nasze ciała pasowały do siebie, miękkie i twarde, dające i biorące, a ja zrzuciłam dwunastość,

jak zrzuca się skórę.

tej nocy otworzyłam moją książkę latania i zaczęłam pisać opowiadanie: prawdziwą historię chłopca o nazwisku emmanuel james i dziewczyny o nazwisku alice nightingale.

„brzoskwinie były różowe jak anielskie policzki, kiedy manny james pokochał alice” - nagryzmoliłam.

wszystko, co do tej pory napisałam, było pragnieniami, marzeniami, wyobrażeniami i błyszczącymi rzeczami, które trzymały ciemność na dystans, te nowe słowa obudziły we mnie głód rzeczy, o których do tej pory nie śmiałam marzyć, co może się z nami stać? - zastanawiałam się. czy miłość i brzoskwinie wystarczą, by zaspokoić głód i sprawić, że znów będę cała?

47. Alice

mecz

wiosna była czasem obfitych deszczy w bridgewater, ale lipiec okazał się ulewny jedynie przez dwa tygodnie, w ostatnią sobotę wakacji wstał słońca, blade jak stara słoma, nagle przedarły się przez poranne chmury, rozświetliły moje okno i wydawały się zwiastunem lepszych rzeczy, niedźwiedź przysunęła bliżej swój ogon przypominający pierzaste boa. leżała u moich stóp. podciągnęłam koce pod brodę, przycisnęłam plecy do komina, na dole joey hałasował jak zwykle o poranku, napełniał czajnik, dokładał drewna do paleniska, poprawiał piec.

kiedy komin się rozgrzał, poszłam na dół, pocałowałam babcię i usmażyłam górę pysznych naleśników, pochłonęliśmy je posypane cukrem i pokropione sokiem z cytryny jakby to było święto, po śniadaniu przyciągnęliśmy taczki drewna spod domu na werandę, joey zatrzymał się, gdy pojawiła się tilda. kolorowa jak rudzik, w czerwonym płaszczu i czarnych butach.

- idziemy na mecz - poinformował mnie joey.
- piłki? - nie pamiętałam, żeby joey kiedykolwiek był na meczu.

- chodzę tylko po to, żeby tato był zadowolony, może pójdziesz z nami, alicie? powinnaś zobaczyć mannyego w akcji, jest gwiazdą, wyskakuje lepiej niż cała reszta drużyny - zachęcała tilda.

złoty, manny był złoty, oczywiście, że tak! on i ja byliśmy razem tylko w moim świecie, chciałam zobaczyć go w jego świecie, czy miałam na tyle odwagi? bombardierzy byliby na boisku, ja byłabym tylko kolejną osobą w tłumie wielu widzów, nikt by nie wiedział, że tam jestem - przekonywałam sama siebie.

- jak długo trwa mecz? - spytałam.

- nie za długo - odparł joey.

- co z babcią? - zapytałam, ale idealna tilda pomyślała o wszystkim.

- przyniosłam to - powiedziała, otwierając klapki kartonowego pudełka. - to nawilżacz powietrza - pokazała nam, jak napełnić zbiorniczek wodą, gdzie wlać krople olejku eukaliptusowego. - wtedy wystarczy włączyć go do kontaktu i wytwarza parę. może pomóc waszej babci oddychać. - spojrzała na mnie, jakby wiedziała, że czymś się martwię. - nie przejmuj się, nikt nie zauważy, że go nie ma. chorowałam na krup, kiedy byłam mała, ale nie używaliśmy go od lat.

włączyliśmy nawilżacz, dołożyliśmy drewna do pieca, założyłam mój płaszcz przeciwdeszczowy, dwie pary skarpetek i zastanawiałam się, ile jeszcze spraw rodziny znała tilda. pomyślałam o mannym i rzeczach, które mu powiedziałam i przemknęło mi przez myśl, że byłoby prościej, gdybyśmy znowu byli sami z joeyem. kiedy nasza wzajemna miłość wystarczała.

nigdy nie możemy do tego wrócić, alicie nightingale. teraz mamy przed sobą sekrety, nie wiedziałam, jak nazwać to uczucie we mnie. nie wiedziałam, czy był to strach, smutek czy podniecenie, albo mieszanka wszystkich trzech na raz.

kiedy wyszliśmy, słońce zdążyło zejść za chmury, joey jechał na swoim rowerze przez mżawkę z tildą na kierownicy i mną na bagażniku, myśląc o mannym.

tilda miała darmowe bilety dla siebie i joey a. niedźwiedź i ja wpełzaliśmy pod płotem za szatnię gości, szybko podeszłam tam, gdzie stali inni, obok beczki, w której rozpalono ognisko, tuż przy bramce na jednym krańcu boiska, czekaliśmy aż wbiegnie drużyna, gospodarze weszli na boisko najpierw, ubrani w czarno-czerwone paski, jak tilda. kopali do siebie piłkę i podawali ją sobie rękami, wysoko i nisko, szybko i wolno, ćwicząc.

- nie widzę mannyego - powiedział joey.

- może zaczyna na ławce - odparła tilda.

- dlaczego posadziliby swojego najlepszego zawodnika na ławce, jeśli nie ma kontuzji?

jakiś mężczyzna stał obok nas, grzejąc dłonie przy ogniu, usłyszał, o czym rozmawiali joey i tilda.

- manny james jest dziś wypożyczony przeciwnej drużynie, brakuje im trzech zawodników.

- dlaczego bombardierzy pozwolili manny'emu odejść?
-zapytał joey.

mężczyzna wzruszył ramionami.

- to chyba była decyzja kapitana.

- którego kapitana? - zapytała tilda.

- bombardierów, oczywiście, nie musieli tego robić, ale

gepardy sobie nie radzą w tym sezonie, nie mogą zapełnić drużyny prawie co tydzień i nie wygrali ani jednego meczu od drugiej rundy, miły gest ze strony bombardierów, ale nie wiem, czemu młody Stewart oddawałby swojego najlepszego zawodnika.

- on coś kombinuje - powiedziała tilda, gdy mężczyzna odszedł w stronę baru.

- co masz na myśli? - zapytał joey.

- lucas nie zrobiłby nic, by pomóc przeciwnej drużynie, jestem tego pewna, był okrzyknięty najlepszym i najbardziej fair zawodnikiem trzy sezony z rzędu, ale wtedy pojawił się manny i był o wiele lepszy od każdego w drużynie, myślę, że lucas jest o niego zazdrosny.

- nawet jeśli to prawda, to nie wyjaśnia, dlaczego wypożyczył mannyego gepardom.

słyszałam, co mówili, ale nie rozumiałam ani jednego słowa, football był dla mnie zagadką, wtedy tilda powiedziała coś, co przykuło moją uwagę, nie były to słowa, ale sposób, w jaki je wyszeptała.

- chyba że... - potrząsnęła głową i spojrzała na joeya. -o matko, mam nadzieję, że oni nie zrobią nic głupiego.

- oni?

- lucas i hamish.

- to mecz piłki, tildo, są tu sędziowie i zasady, nie mogą robić, co sobie wymyślą.

- o czym wy mówicie? - zapytałam, moje serce się ścisnęło.

- to nic ważnego - odparł joey. - zobacz, rzucają monetą, mecz zaraz się zacznie, teraz pewnie będziesz kibicować czarno-żółtym!

- będę kibicować mannyemu.

nie obchodziło mnie, kto wygra albo przegra, widziałam tylko mannyego. jego ruchy wydawały się płynne jak u kota. poruszał się z gracją, siłą i szybkością, czasami szybował nad innymi, by złapać czerwoną piłkę na tle szarego nieba, mimo że był ubrany na czarno-żółto, nawet kibice bombardierów wzdychali na jego widok.

w połowie meczu zawodnicy zeszli z boiska, tilda, joey i ja poszliśmy do stołówki i kupiliśmy gorące kiełbaski oraz cebule owinięte w chleb, zjedliśmy je, stojąc plecami do paleniska w beczce i zlizaliśmy sos z naszych palców.

gracze znowu wyszli na murawę razem z sędzią w spodenkach i długich skarpetkach, piłkę miał wepchniętą pod ramię, srebrny gwizdek dyndał ze sznurka wokół jego szyi. pamiętałam, co powiedział joey. gracze nie mogą robić tego, co im się żywnie podoba, wmówiłam sobie, że to oznaczało, że mannyemu nie stanie się nic złego.

mecz prawie się skończył, sędzia podrzucał piłkę, patrzyłam, jak wlatuje i opada, widziałam, jak wpada między nogi geparda, ręce sięgnęły, podały piłkę do innych rąk. szybko jak błyskawica, a potem spojrzałam na mannyego, który wyskoczył ponad ich wszystkich, niebo było w jego włosach i na jego ramionach, gdy chwycił lecącą nagrodę, jego ręce zamknęły się wokół niej. ochraniały ją i pociągnęły w dół. w dół, między wiwaty, gdy jego buty dotknęły ziemi, jego ręce uniosły trofeum, by każdy mógł zobaczyć, kątem oka zobaczyłam ruch. ręka uniesiona wysoko i późno, za późno.

ręka o'leary'ego. opuścił ją jak młot na głowę mannyego. nagle zawyła syrena, manny opadł i padł przed siebie na boisko, nie mógł wstać, by kopnąć piłkę, dwóch mężczyzn

w białych fartuchach pobiegło przez całe boisko, popatrzyło mannyemu w oczy, wsunęło pod niego nosze i wyniosło go do szatni, nie widziałam, by sędzia dawał piłkę innemu graczowi gepardów, nie widziałam, jak piłka wylatuje w bok od jego buta, podskakując po mokrej trawie daleko od linii gola. nie widziałam, jak sędzia obraca o'leary'ego, spisuje czarny numer z jego pleców w notesie, który wyciągnął z kieszeni, nie obchodziło mnie to, że bombardierzy wygrali niewielką różnicą punktów.

odwróciłam się do tego wszystkiego plecami, pobiegłam do bramy, by spotkać mężczyzn niosących nosze, joey i tilda byli za mną. zmusiłam się, aby spojrzeć na głowę mannyego, by zobaczyć, czy nie jest rozłupana, nie było na nim krwi, tylko błoto i żółta trawa przyklejone do podeszew, tam, gdzie jego stopy, tak szybkie i zgrabne, dotykały ziemi, manny wyglądał idealnie, ale jego oczy były zamknięte, a ja chciałam, by je otworzył, by spojrzeć na mnie i powiedział, jak to on mówi: *alice nightingale, tak bardzo się cieszę, że tutaj jesteś.* i chciałam mu odpowiedzieć: *byłeś złoty, manny jamesie, złoty.*

ale manny nie otworzył oczu ani się nie odezwał i chciałam krzyczeć: *czy jest tu ktoś, kto zna się na nabytych urazach mózgu?* strach zawiązał mój język i mogliśmy tylko patrzeć, jak mężczyźni biegli razem z nim.

rodzina mogła wejść, powiedzieli, a my nią nie byliśmy, więc czekaliśmy przy drzwiach w błocie i mżawce, gdy ludzie wchodzili i wychodzili, bombardierzy wciąż byli na środku boiska, z ramionami wokół siebie, śpiewając piosenkę o sobie, jakby byli złoci, ale kiedy doszli do bramy w ogrodzeniu, tilda czekała na kapitana.

- zaplanowałaś to lucas! - wysyczała do niego. - wiem, że jesteś zazdrosny o mannyego, ale jesteś zbyt wielkim tchórzem, by coś z tym zrobić, więc nasyłasz na niego swojego głupiego kumpla o'leary'ego.

- nie wiem, o co się stroszysz. to tylko mecz piłki - powiedział jej przyrodni brat.

- masz rację, to tylko mecz piłki i nie ma w nim miejsca dla zbirów.

- uważaj, tildo - powiedział jej ojciec, który czekał na zewnętrznej szatni, by sprawdzić, jak się ma drużyna.

oleary przedefilował blisko nich.

- powinnaś słuchać tatusia, skarbie, a tak w ogóle, to co taka dama jak ty robi z takimi śmieciami? - odwrócił się w stronę joey a i mnie. chrząknął i pluł na ziemię przed nami, a potem się roześmiał.

idealna tilda była nawet bardziej idealna niż myślałam, szybko jak uderzenie serca, wypuściła prawy sierpowy, nos o'leary'ego przesunął się w bok, a krew trysnęła wszędzie, chciałam ją uściskać.

48. Manny

Małe przypomnienie

- Masz wstrząśnienie mózgu, Manny. - To zmartwioną twarz Louisy James zobaczyłem najpierw, kiedy otworzyłem oczy. Buli był obok mnie. Przychodzili na każdy mecz. W ładne dni Buli podjeżdżał blisko do ogrodzenia swoim samochodem dostawczym i siadał na krzesłach ogrodowych na pace, jedząc kanapki i pijąc herbatę w przerwie. Buli zawsze się chwalił, że jego dostawczak ma najwyższe standardy.

- Powinieneś być widzieć, jak Lou wbiegła na boisko, gdy zobaczyła, jak upadasz - powiedział Buli.

Ponownie otworzyłem oczy, by zobaczyć tabliczkę honorującą nad głową Bulla. Było tam jego imię, napisane złotymi literami.

- Biegła tak szybko, że pomyślałem, że Bombardierzy powinni ją zatrudnić.

Uśmiech na twarzy Louisy James nie sięgał jej oczu. Chciałem ją zapytać, co się stało, ale moje usta nie mogły się ruszyć. Złote litery rozmyły się i poczułem, że znów spadam. Unoszenie się i dryfowanie, to czułem, gdy leżałem na noszach i ci wszyscy ludzie na mnie patrzyli.

Kiedy po raz kolejny otworzyłem oczy, byłem w łóżku w domu o wielu oknach i tylko Louisa James na mnie patrzyła. Siedziała na krześle obok. Na zewnątrz było ciemno. Chmury przepływały blisko księżycy, a małe gałązki skrobały o szklane ściany domu.

- Idź spać - wyszeptała Louisa James.

Gdy mój budzik zadzwonił o szóstej trzydzieści, ona wciąż tam była.

- Żadnego biegania i żadnej szkoły. Przynajmniej przez kilka dni - oznajmiła. - Zostań tutaj, a ja zrobię ci coś do picia.

Znowu padało i pomyślałem o łodzi pod domem przy Oktober Bend i o Alice. W każdą inną niedzielę poszedłbym się z nią zobaczyć. Czy będzie się martwić i zastanawiać, dlaczego nie przyszedłem? Miałem nadzieję, że uwierzyła mi, kiedy mówiłem, że to, co opowiadają o niej Lucas Stewart i Hamish O'Leary nie ma dla mnie znaczenia.

Nie powiedziałem jej o tym, jak zatrzymali mnie na stacji kolejowej i kazali ostrzec Joeya przed Tildą. To było coś, o czym nie musiała wiedzieć. Louisa James mówiła, że to nie mój interes i wtedy jej wierzyłem. Ale teraz wszystko się zmieniło. Zdawałem sobie sprawę, że coś jest nie tak, ale nie mogłem sobie przypomnieć, co. Usiadłem na łóżku i postawiłem nogi na ziemi. Wtedy ściany zaczęły się ruszać. Zacząłem się trząść, a pot kapał mi z twarzy. Wiedziałem, że musiałem zostać uderzony w głowę, pamiętam, że spadałem. Wtedy przypomniałem sobie Hamisha i to, co powiedział do mnie, zanim jego pięść dotknęła mojej czaszki. Zwymiotowałem na lśniąca podłogę Louisy James.

Po południu mogłem siedzieć i stać bez zawrotów głowy, więc zszedłem do salonu. Nie chciałem być na górze

sam, próbując zdecydować, co zrobić z Hamishem i Alice. To nie były dobre rzeczy, by rozmyślać o nich samotnie. Usiadłem przy stole, a Louisa James usiadła naprzeciwko mnie. To właśnie tam siadała, gdy chciała mi się dobrze przyjrzeć.

- Jak się czujesz? - zapytała.

- Moja głowa już nie wiruje - odparłem. Louisa James świetnie wiedziała, kiedy kłamię.

- Ten chłopak od O'Learych nie wywinie się od tego, co ci zrobił - powiedziała.

Kilka tygodni bez piłki - pomyślałem - ale co z innymi rzeczami, którymi mi groził?

- Buli jest z ciebie bardzo dumny, Manny, ale to nie złałoby jego serca, gdybyś nie chciał już grać.

Przypomniałem sobie tablicę honorową w salach klubu. Imię Bulla było na niej namalowane pięć razy, za pięć sezonów w których był wybranym „Najlepszym i Najbardziej Fair Zawodnikiem Bombardierów z Bridgewater”. Trzech prawdziwych synów Bulla nie było złotymi chłopcami footballu. Byli najlepsi i najbardziej fair w innych dziedzinach: bankowości, biznesie i medycynie.

Grałem w piłkę, ponieważ to uszczęśliwiało Bulla.

Głos Louisy James był łagodny, ale ja nie chciałem rozmawiać o footballu. Nie chciałem myśleć o Hamishu albo o tym, co mi powiedział. Chciałem porozmawiać o Alice. Dźwięk jej imienia w tym jasnym, ciepłym pokoju mógłby wszystko naprawić. To właśnie myślałem, gdy Louisa James odłożyła groszek, który łuskała. Sięgnęła przez stół i położyła swoją dłoń na mojej i wtedy pomyślałem, że jestem w tarapatach.

- Manny - zaczęła - wczoraj na meczu było kilkoro młodych ludzi czekających przy bramie, kiedy cię wynosili. Wydawali się bardzo zdenerwowani. Myślałam, że może cię znają.

- Czy był tam pies, taki bardzo duży pies?

- Nie jestem pewna - odpowiedziała. - Tak bardzo się o ciebie martwiłam, że niewiele wokół siebie zauważałam. Pamiętam tylko, że była tam dziewczyna z pięknymi włosami. Rudymi i kręconymi. Bardzo długimi.

- Alice. To musiała być ona. Czerwień to kolor jej włosów.

- Zastanawiałam się, czy to mogła być ona. Może powinienes do niej zadzwonić i powiedzieć, że wszystko z tobą w porządku?

- W domu Alice nie ma telefonu - odpowiedziałem ze smutkiem. Chciałem usłyszeć jej głos bardziej niż cokolwiek innego na świecie.

- No cóż, po prostu zobaczysz się z nią w szkole za kilka dni.

- Alice nie jest uczennicą - wyjaśniłem. - Nie w mojej szkole. Pospiesznie dodałem tę część i zacząłem szybko mówić, bo wiedziałem, że zrobiłem błąd.

- Ona jest bardzo mądra, Louiso James. Jest nazywana „Wytwórcą Much z Bridgewater” i robi przynęty na pstrągi, które są tak piękne, że niektórzy ludzie kolekcjonują je jak obrazy albo inne cenne rzeczy.

Przeczytałem to kiedyś w magazynie wędkarskim, który pokazał mi Joey i nauczyłem się tego na pamięć. Gdy zacząłem opowiadać Louisie James o Alice, to nie mogłem przestać.

- Nawet etykiety, które Alice robi do swoich przynęt są piękne. Sama zrobiła papier i rysuje wszystkie obrazki i litery piórem zamoczonym w atramencie. Żałowałem, że nie mogę pokazać Louisie James rzeczy, które robi Alice. Wtedy przypomniałem sobie o wierszach. Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem dwa, które nosiłem ze sobą.

- Oprócz tego pisze poezję - powiedziałem i przesunąłem wiersze po stole. Louisa James przeczytała pierwszy.

- Nie znam się za bardzo na poezji, ale to jest piękne - stwierdziła.

Wtedy wzięła do ręki opakowanie po nasionach, a ja obserwowałem jej twarz, gdy czytała.

- Są naprawdę dobre. Ale ten wydaje się taki... smutny jak na młodą dziewczynę. Ile ona ma lat?

- Prawie szesnaście.

Louisa James przeczytała wiersz ponownie. Jej twarz była poważna.

- Jak mówiłeś, że ona się nazywa?

- Alice.

- Nie, mam na myśli jej nazwisko.

Louisa James знаła wielu ludzi, którzy żyli w Bridgewater. Niektórym pomogła przyjść na ten świat, innych przywróciła do zdrowia, gdy byli chorzy. *Jeśli powiem ci, że Alice ma na nazwisko Nightingale, możesz przypomnieć sobie młodego mężczyznę oraz to, jak trzymałaś go za rękę, gdy umierał i możesz znać nazwisko osoby, która spowodowała jego śmierć.*

O tym właśnie rozmyślałem, kiedy Louisa James przyglądała się wierszom Alice. Powinienem jej zaufać. Dała nowy dom i nowe życie chłopcu, który zrobił wiele złych

rzeczy. Powinienem był wiedzieć, że osoba, która robi coś takiego, nie mogłaby oceniać innych. Ale zanim mogłem się odezwać, zadzwonił mój telefon. Wyciągnąłem go z kieszeni i gapiłem się na ekran, zastanawiając się, kto może do mnie dzwonić. Nie był to trener ani Buli, a Louisa James była ze mną w pokoju.

- Nie odbierzesz?

- Halo? - zapytałem i wydawało mi się, że usłyszałem dźwięk spadających monet.

- Halo? Manny? To ja, Joey. Poczekaj momencik...

- Manny?

- Alice?

- Wszystko w porządku?

Joey zabrał Alice do budki telefonicznej obok poczty. Kiedy skończyły im się monety, wyłączyłem telefon i schowałem go do kieszeni. Moje serce biło bardzo szybko.

- To była Alice. To ją widziałas na meczu - powiedziałem Louisie James.

- Coś nie tak, Manny?

- Dzwoniła, żeby sprawdzić, czy wszystko ze mną w porządku.

- Czego mi nie mówisz?

- Niczego - odparłem, ale Louisa James wiedziała, że to nieprawda.

- Wczoraj na meczu zatrzymali grę, kiedy przynosili nosze i kiedy zbiegłam na boisko. Chłopak od O'Learych coś ci powiedział i jestem pewna, że to nie były przeprosiny. Słyszałeś go? Pamiętasz, co ci powiedział? Czy to to cię martwi?

Potrząsnąłem głową. Wtedy stół zaczął zlewać się z podłogą. Złapałem z całej siły jego krawędź i zamknąłem oczy.

- Nieważne. Może sobie kiedyś przypomnisz - powiedziała Louisa James.

Nie mogłem jej wyjawic, że w ogóle nie zapomniałem. Nie mogłem wyznać, że ledwo byłem w stanie myśleć o słowach, które miałem przez telefon powiedzieć do Alice przez to, co powiedział O'Leary.

- To było przypomnienie - wysyczał mi do ucha. - Powiedz Nightingale'owi, żeby trzymał się z daleka od Tildy, żołnierzyku, albo coś okropnego zdarzy się jego siostrze. -To właśnie powiedział.

49. Alice wspinaczka

wtorkowy poranek, nagie brzozy stukały swoimi kościstymi palcami o mój balkon z patyków i gwoździ, całą noc padało i wciąż padało, nawet gdy miałam okno zamknięte, słyszałam niski pomruk rzeki, która rozrosła się wszcz, przejeżdżała swoim brzuchem po kamieniach, turzycy, szuwarach i wierzbach, połykając gniazda chwostek z tonących krzewów herbacianych, cegły komina straciły swoje ciepło, szyby w oknach były perłowe od oddechu, który uciekł ze mnie we śnie.

narysowałam krzywe serce na zamglonym szkle, przebiłam je strzałą kupidyna. w środku zapisałam imiona moje i manny ego. wyczyściłam drugą szybę rękawem pizamy, spojrzałam w dół na podwórko całe srebrne i śliskie, trzasnęły drzwi, dom się zatrzęsł, kroki joeya pofrunęły szybko w górę chwiejących się schodów i oto nagle był. jego błękitnopalca dłoń na mosiężnej klamce szeroko otwartych drzwi, kapiąca na moją podłogę.

- rzeka sięgnęła powyżej słoniowych skał - powiedział, a jego szybki oddech był gorący w drżącym pokoju. - chodź, musimy wydostać łódź.

niedźwiedź patrzyła przez siatkowe drzwi na joeya, który rozciągał na podwórku kabel od wciągarki najdalej jak tylko się da. wybieraliśmy naszą ścieżkę ostrożnie jak koty, po śliskim podłożu, dopóki nie dosięgliśmy końca domu od strony rzeki, gdzie trzymaliśmy łódź. ja złapałam *księgę z kells* i puszkę po czekoladkach catburys.

joey napełnił plastikowy worek na śmieci wodą
obniżył śmigło z silnika do worka
otworzył zawór, przygotował go
pociągnął za linkę i przeklął
kiedy nie zapalił
znowu tak samo
jak uczył nas stary charlie
łącznie z przeklinaniem.

joey zostawił silnik na luzie, przyniósł strzelbę na wężę. owinął ją w szmaty i plastik, wsunął na dno łodzi, ostrożnie jak z dzieckiem, zgasił silnik, podniósł go i ustawił obok strzelby, naciągnął na wszystko plandekę, związał mocno, zawiązał linę porządnym węzłem, wsunął dwa stalowe pręty pod dno i pchnął łódź do przodu, dopóki pręty nie były pod mostkiem, przesuwał łódź na prętach, aż była na tyle blisko, że można ją było przyczepić do linki, na zmianę kręciliśmy śliskim kołowrotkiem, przeciągnęliśmy łódź po mokrej glinie podwórka, po schodach, na werandę, przypięliśmy ją do słupka łańcuchem.

zdejłam moje ubłocone buty przy drzwiach sieni, powiesiłam mokry płaszcz do wyschnięcia, joey siedział na schodach i wycierał ręce.

- możesz pierwsza iść pod prysznic, ja rozpalę w piecu
-powiedział.

zostałam, usiadłam przy nim.

- co zrobimy z babcią? co jeśli deszcz się utrzyma? ona nawet nie może wejść po schodach, jak ją wydostaniemy? - zapytałam.

joey wpatrywał się w mżawkę, cichy, myślałam, że będzie na mnie zły, że dręcę go o babcię, w końcu otworzył buzię.

- czy czułaś kiedykolwiek, że stoisz u progu czegoś wielkiego, alicie? jakbyś kurczowo trzymała się krawędzi klifu, wykonałaś ogrom ciężkiej pracy, twoje paznokcie są zdarte, brzuch obdarty do czerwoności, kolana krwawią, ale jesteś tak blisko, że jedyne, co musisz zrobić, to przerzucić nogę przez krawędź, wtedy słyszysz głos i widzisz, że ktoś cię ubiegł w drodze na szczyt, patrzysz im w oczy i myślisz, że podadzą ci pomocną dłoń, ale zamiast tego oni depczą ci po palcach i odwracają się do ciebie plecami, kiedy spadasz i wiesz, że nieważne, ile razy się pozbierasz i ile razy będziesz wspinać się na tę skałę, za każdym razem zdarzy się to samo.

nigdy nie słyszałam, żeby joey tak mówił, nigdy nie słyszałam, żeby wypowiedział aż tyle słów na raz. mój młodszy brat zawsze sprawiał, że czułam się lepiej, jakbym mogła zrobić co tylko zechcę, nie wiedziałam, co powiedzieć, pisanie było dla mnie łatwiejsze niż mówienie, dawało mi czas, by znaleźć odpowiednie słowa, przelać na papier rzeczy, które czułam, sprawić, że będę zrozumiana, wtedy znowu czułam się jakbym miała dwanaście lat, kucając przy joey'u, wyciskając mokre brązowe mankiety piżam i próbując znaleźć odpowiednie słowa.

- a co z tildą? tilda jest bardzo dobra.
- nie przyjdzie tu więcej - powiedział joey. wtedy zrozumiałam jego ponury nastrój.

- czemu nie?
- poszedłem się z nią zobaczyć wczoraj po szkole, jej brat i o'leary naskoczyli na mnie, powiedzieli, że jej „stary” kazał jej się trzymać ode mnie z daleka, ona nie wróci, alice. nie może, nawet jeśli by chciała.

czy to było porzucanie? czy inni ludzie też nas porzucają? pomyślałam o tildzie w jej czerwonym płaszczu, jaskrawym jak maki w naszym zimowym ogrodzie, o dobrej tildzie z zaproszeniem dla mnie i nawilżaczem dla babci, o odważnej tildzie z jej słowami i idealnym prawym sierpowym.

- ona przyjdzie, joey - powiedziałam i wierzyłam w to, ale joey potrząsnął głową.

- zawsze jest ktoś, kto myśli, że nie jesteśmy wystarczająco dobrzy.

wzięłam prysznic tak gorący, jak tylko mogłam znieść, błyskawica przedarła niebo, które zadrżało, siedziałam na popękanych pomarańczowych płytkach, objęłam się rękoma i płakałam za joeyem. znalazłam półeczki bezpieczeństwa, małe kieszonki szczęścia rozkwitły na mojej skalnej ścianie, pocałunek, miły gest, rzadko spotykana zasłużona kara. byłam z nich zadowolona, każdy krok był zwycięstwem, nigdy nie wyobrażałam sobie, że dotrę na szczyt, nigdy nie zastanawiałam się, czy ktoś tam czekał, by mi pomóc lub wdeptać moje palce w ziemię, teraz zastanawiałam się, czy bliscy manny'ego tam czekali.

pamiętałam dziwny ton w głosie manny ego w niedzielę, gdyby nie joey, sama pewnie nigdy nie poszłabym do budki

telefonicznej, nienawidziłam telefonów, osoba po drugiej stronie nie mogła mnie widzieć, uszy to jedyne, co miała, a uszy nie mogły usłyszeć ruchu moich warg czy napięcia ścięgien w mojej szyi. uszy nie miały jak wiedzieć o mojej walce, by przełamać ciszę, joey karmił maszynę monetami i wybierał numerki, wtedy manny się odezwał i wszystkie lśniące królowe i skaczące kangury zawaliły się w ciemność, telefon był w mojej dłoni, czekał, pusty, musiałam znaleźć słowa dla mannyego. i on dla mnie. kiedy się odezwał, nie brzmiał jak chłopiec, który słuchał moich sekretów i opowiadał mi swoje.

pod koniec naszej niezręcznej rozmowy wiedziałam trochę więcej i o wiele mniej, a teraz, przez to, zastanawiałam się, czy ktoś widział mnie na meczu.

patrzącą jak manny leci
patrzącą jak upada
i ja biegnąca i biegnąca
do nisko zapiętej bramy
do noszy, na których go położyli
z moimi ramionami nie wokół niego
i jego oczami niepatrzącymi
czy słyszeli mój złamany głos krzyczący
„czy ktoś coś wie...?”
czy słyszeli?

czy powiedzieli manny emu jamesowi, żeby trzymał się ode mnie z daleka? a może był bardziej rozbity niż mi powiedział przez telefon? bo dziś był wtorek, a on dalej nie przyszedł.

joey był w kuchni, kiedy zesłam przebrać się przy ogniu, babcia była tak szara, jak glina na podwórku i taka sama w dotyku - chłodna i wilgotna, znowu byliśmy tylko we trójkę i musieliśmy robić to, co było konieczne.

- musisz się przejść, babciu, inaczej twoje płuca przestaną pracować - powiedział joey

- co, teraz myślisz, że jesteś lekarzem? - wysapała babcia.

- dowiedziałem się tego w szkole, no chodź - odpowiedział.

podnieśliśmy ją z jej kozetki, znowu razem, jak wtedy, kiedy nie pojawili się tilda i manny, ja pod jednym ramieniem, joey pod drugim, to była nasza kamienna twarz, nasza rodzinna sprawa.

- rzeka się podniosła.

- myślisz, że nie słyszę? - odparła babcia, sunąc swoje wełniane kapcie po podłodze jakby szusowała po czterdziestym dziewiątym równoleżniku.

- przygotowaliśmy łódź, babciu - powiedziałam.

- ja i charlie braliśmy tę łódź na ryby.

- może kiedy lepiej się poczujesz pójdziemy razem, ty, ja i joey.

- już wystarczy, brakuje mi tchu - powiedziała i zatrzymała się.

- jeszcze raz - nalegał joey i znowu wolno poprowadziliśmy ją wokół kuchni, tak monotennie, jak miesiąc składający się z samych deszczowych niedziel.

babcia oparła się o zlew, by złapać oddech, powoli uczesałam jej włosy, tak, że były gładkie, gdy patrzyłyśmy przez okno. za sadem, gdzie kiedyś płonęły nasze ogniska, rzeka rozsuwała swoje kremowe halki, zastanawiałam się, czy

babcia przypomina sobie starego charliego ciągnącego mnie i joeya w wózku, byłam ciekawa, czy jej przesądny umysł naprawdę wierzył, że nasze ogniska i kukła anioła sprowadziły na nas nieszczęścia, klify, na które żadne z nas nie mogło się wspiąć.

moje palce przedzieliły jej włosy w dopływy i strumienie, splotły je pod, nad i znowu pod. związały końce skrawkiem wełny i oplotły skończony warkocz wokół jej głowy jak koronę, przypięły go wsuwkami.

- wyglądasz jak królowa, babciu - powiedziałam, była dziesiąta i w powietrzu wisiał zapach smażonych jajek, podniosłam lusterko do jej twarzy, ale odepchnęła je.

- kto idzie przez sad? - zapytała.

joey zostawił jajka, mnie i babcię, i on, nawet nie umyty, boso i wciąż w piżamach przedostał się po błocie bez jednego poślizgnięcia, by otworzyć bramę do ogrodu, w środku ja i babcia śmiałyśmy się, obserwując go, prawie na golasa w ulewnym deszczu, gdy delikatnie otwierał bramkę dla dziewczyny, o której myślał, że już nie przyjdzie.

50. Alice precious

tylko czubki szpiczastych sztachet z ogrodowej bramki były widoczne ponad wodą w środowy poranek, wyglądało to tak, jakby grzbiet dinozaura przepływał przez błotnistą wodę zygziem, pół tuzina rudych kur gnieździło się na parapetach okien w kuchni, mogliśmy prawie zanurkować z werandy do rzeki, już tylko po jednej stronie domu byliśmy w stanie dostać się na suchy ląd.

- wszystko będzie w porządku, odległość między podłogą a wodą to ponad dwa metry, a poza tym przestało padać - powiedział joey.

- a co jak zacznie padać od nowa? - wcale nie czułam się spokojna.

- wrócę do domu, obiecuję, łódź jest gotowa, jedyne, co musimy zrobić, to pomóc babci do niej wejść, nie martw się.

joey poszedł do szkoły, a ja nakarmiłam kury resztkami owsianki, których nie mogłam zjeść, dziś była już środa, a manny dalej nie przyszedł, na dnie łodzi zbudowałam kurze gniazdo z gazet, umyłam naczynia i podłożyłam do pieca, po tym, jak pomogłam się babci wykąpać i ubrać,

poszłam na górę. wszystkie moje papiery, etykiety i książkę latania włożyłam do plastikowych worków.

babcia poszła się zdrzemnąć po lunchu, a ja otworzyłam komodę i szukałam między sznurowadłami i sznurkami zapasu świec na wypadek awarii prądu, talii kart, zapalek, latarki i gumek recepturek. znalazłam dziadkową taśmę mierniczą i cztery nowe baterie, wsadziłam koniec taśmy przez dziurę po sęku w desce podłogowej w kuchni i sprawdziłam poziom wody do podłogi, wciąż było to ponad dwa metry, ale przynajmniej nie padało, może joey miał rację, może będzie dobrze, zabrałam radio z kominka, przeszukałam rękawy płaszcza przeciwdeszczowego, by sprawdzić, czy nie chowają się w środku pająki i wypełniłam kieszenie wszystkim, co było mi potrzebne, wtedy niedźwiedź i ja ruszyliśmy.

szlak rzeczny był zalany, więc poszliśmy naszą sekretną trasą do stacji kolejowej, tą, którą pokazałam mannyemu. kiedy mijałyśmy miejsce, gdzie przytrzymałam ogrodzenie, przypomniałam sobie, jak manny ujął mnie za rękę i mnie poprowadził, ale nie należałam do jego świata, nie wtedy i nie teraz, może nigdy, poszliśmy wzdłuż płotu i drogi, aż doszliśmy do miejsca, w którym kanapa spadła z ciężarówki, spadła do przełęczy Charlotte i zagłębiła się w chwastach.

mętna rzeka buzowała pode mną. połknęła linę nad dziurą i gałąź, na której wisiała, ale cementowy grill, stół piknikowy i grób teddy'ego wciąż były ponad wodą. ześlizgnęłam się zdradliwym szlakiem wydeptanym przez owce. niedźwiedź podążała za mną, zwinna jak górską kozica, wyplewiłam kępki mchu i uschnięte osty spod stóp anioła, skrobałam i sprzątałam gołymi rękami, zagrzebanymi jak królik w norze, w dół, pomiędzy żywymi rzeczami, korzeniami,

robakami i wspomnieniami, zdarłam sobie paznokcie.

moje palce piekły w miejscach, w których ukuł je oset. ale nie było tam nic do znalezienia, nic nie zostało, nie mogło być. wiedziałam o tym.

włączyłam radio, wyjęłam dłuto z kieszeni płaszcza i młotek, którego dziadek używał do przybijania nowych fleków do naszych zużytych butów, zaczęłam ostrożnie odłupywać miękki piaskowiec pod stopami anioła, trzecia nadeszła bardzo szybko, wiadomości w radiu podawały raport pogodowy, nie musieli mi mówić, że idzie deszcz, stalowe chmury wisiały nad wzgórzami, stanęłam, by podziwiać moje skończone dzieło, gdy nagle pojawił się manny, pędząc w dół wzgórza jak wiatr.

- alice! wszędzie cię szukałem, martwiłem się. co ty tu robisz?
- pytał.

patrzyłam na niego, na jego twarz, głowę, chciałam się upewnić, że wszystko z nim w porządku po tym, co zrobił o'leary. chciałam, żeby się do mnie uśmiechnął, nie zrobił tego. manny zobaczył narzędzia w moich rękach, jego oczy powędrowały do liter, które nakreśliłam w kamieniu, uklęknął i prześledził je palcami.

- precious¹ nightingale - powiedział cicho. - miałaś dziecko, alice?

- nie wiem. nikt nie może mi powiedzieć, babcia twierdzi, że małe dziewczynki nie mają dzieci, ale co, jeśli się myli? co, jeśli miałam dziecko? jeśli istniało, przez dzień albo godzinę, nie powinno być zapomniane, prawda?

¹precious (ang.) - ukochany, najdroższy, cenny

51. Alice

dzień, w którym pojawił się manny,
by ostrzec mnie i joey'a

błyskawica przecięła południowe niebo, radio babci trzasnęło i zapiszczało, włożyłam je do kieszeni, manny zebrał moje narzędzia.

- dom, niedźwiedź, dom! - krzyknęłam ponad grzmotem, trzymała się blisko, gdy bieглиśmy, ciągły towarzysz, nieporzucający nawet w burzy.

chmury rozerwały się nad wieżą radiową za strażą pożarną, pierwsze grube krople spadły na nas, gdy dotarliśmy do dziury w ogrodzeniu, biegnęłam szybciej, serce biło jak szalone, czułam się winna, musiałam dotrzeć do domu, by zmierzyć na oko odległość między rzeką a podłogą, zatrzymałam się, gdy zobaczyłam, że dom jest bezpieczny, otaczał go półwysep lądu.

manny chwycił moją rękę, zatrzymując mnie.

- zanim wejdziemy, czy jest jakieś miejsce, w którym możemy spokojnie porozmawiać? tylko we dwoje?

- powinnam sprawdzić, co z babcią...

- joey i tilda są z waszą babcią, przyszedłem najpierw tutaj, kiedy cię szukałem, proszę, alice, muszę ci powiedzieć coś ważnego.

deszcz lał jak z cebra, musieliśmy znaleźć schronienie i to szybko.

- pod domem? - zapytałam, mając nadzieję, że dalej jest tam choć skrawek suchej ziemi, manny skinął głową.

rozłożyłam mój płaszcz na ziemi, oczy mannyego zabłysły na mój widok na moment, jakby chciał sprawdzić, czy udźwignę ciężar tego, co chciał mi powiedzieć, przysunęliśmy się do siebie, drżąc z zimna, nasze głowy prawie dotykały drewnianych belek nad nami. niedźwiedź strząsnęła z siebie wodę, rozpylając ją wszędzie naokoło i zwinęła się w kłębek obok mnie.

usłyszałam stłumione kroki joeya i ciche głosy w kuchni na drugim końcu domu. kiedy manny się odezwał, jego głos był niewiele głośniejszy od szeptu.

- są rzeczy, które powinienem był ci powiedzieć wcześniej. - żołądek skręcił mi się jak sprężyna w zegarku. - w moim kraju patrzyłem, jak żołnierze palili wioski, mordowali i torturowali ludzi, widziałem, jak moja matka i siostra wykrwawiają się na ziemi i nie zrobiłem nic, by im pomóc, kiedy wszystko, co miałem, znikło, żołnierze zatrzymali mnie ze sobą. byłem bezpieczny, gdy robiłem, co mi kazano, dawali mi jedzenie i papierosy, czasami dali mi gumę do żucia, jeśli by kazali mi zabić człowieka, wydaje mi się, że bym to zrobił, miałem dziesięć lat i byłem żołnierzem, takim, jak oni.

wybuchł we mnie gniew, chciałam krzyknąć, nie dlatego, że manny powiedział mi coś, o czym nie chciałam wiedzieć, ale dlatego, że to się stało, czy myślał, że broń w ręku robi z chłopca żołnierza? czy myślał, że bycie zgwałconą czyni z dziewczynki dziwkę?

- myślisz, że to zmieni cokolwiek w tym, co do ciebie czuję? - szepnęłam, *myślisz, że to zatrzyma drżenie mojego serca, gdy cię widzę? wiesz, dlaczego dziadek jest w więzieniu? czy myślisz, że to, co zrobił, sprawiło, że Kocham go mniej?*

- źle zrobiłem, nie mówiąc ci tego. zasługujesz, by usłyszeć to ode mnie, nie od kogoś innego.

ludzie się do mnie nie odzywają, emmanuelu. tylko ty mówisz mi rzeczy, których nie chcesz powiedzieć, tylko ty słuchasz.

- kto jeszcze wie? louisa james? - zapytałam.

- louisa james wie o mnie prawie wszystko, to prawda, ale nie powiedziałaaby o tym nikomu innemu, nie jest taką osobą.

- w takim razie kto? nie joey.

- nie, to nie joey. - manny potrząsnął głową. - ale z nim też muszę o tym porozmawiać.

- powiedziałeś mi, to wystarczy, nie jesteś żołnierzem, a mój brat nie musi wiedzieć wszystkiego o swojej siostrze - powiedziałam nagle, ciesząc się, że manny podzielił się ze mną swoją historią, zanim inni zmienili ją w coś, czym nie jest.

- muszę mu powiedzieć - manny nalegał i zobaczyłam jego zatroskane oczy. to o tym mówiła babcia?

- o co chodzi, manny? - zapytałam.

- osoba, która dowiedziała się o rzeczach, które robiłem, mówi, że to ja muszę powiedzieć joeyowi, że nie może się więcej widywać z tildą, a jeśli tego nie zrobię, to komuś stanie się krzywda.

- masz na myśli pana cassidy? tilda mówiła, że jej tata nie miał nic przeciwko, mówi, że o'leary jest kłamczuchem

przez to, co powiedział joey'owi. - wyraz twarzy mannyego się nie zmienił.

- teraz, kiedy już ci to wyznałem, nie jest ważne, kto wie, co robiłem, zanim przyjechałem do bridgewater. ale to nie trener się dowiedział, a nawet gdyby, to nie o siebie się martwię ani o joeya. i taka jest prawda, alicie.

- nie rozumiem.

położyłam mu rękę na ramieniu i oparłam głowę na jego klatce piersiowej, wełniane ścięgi mokrego swetra wyciskały wzory na moim policzku, pod nimi bił silny rytm jego serca.

- powiedz mi wszystko, manny. - jego ramiona mnie objęły

- alicie, jest ktoś, kto może cię skrzywdzić.

- skrzywdzić? kto może mnie skrzywdzić?

- to hamish o'leary. powiedział, że coś ci się stanie, jeśli joey nie przestanie się widywać z tildą. dlatego muszę porozmawiać z joeyem. muszę mu to powiedzieć, to dlatego hamish uderzył mnie na meczu, żebym wiedział, że mówi poważnie.

widziałam, jak hamish o'leary patrzy na tildę. było jasne, dlaczego chciał, żeby joey przestał się z nią spotykać, ale nie rozumiałam, dlaczego groził mi, a nie joey'owi.

- kiedy ci to powiedział?

- w trakcie meczu.

- kiedy cię uderzył, widziałam, jak coś do ciebie mówił, manny skinął głową.

- więc widzisz, że muszę powiedzieć joey'owi.

- nie możesz, manny.

- ale on cię kocha, alicie, i...

- dlatego nie możesz mu powiedzieć, już wystarczająco dużo dla mnie zrobił, idę do środka, możesz pójść ze mną, ale nie możesz nic wyjawiać joey'owi.

52. Alice

kwestia o'leary'ego

joey nas widział, wyszedł na werandę, wściekły, byłam za długo poza domem, babcia popuściła w łóżku i rozplakała się, że to zrobiła, płakałam, kiedy joey mi to powiedział, płakałam nad babcią, bo była stara i jej zawory były tak samo wadliwe, jak jej płuca, i ponieważ nie było mnie w domu, by pomóc jej wyjść z łóżka i się załatwić, płakałam, bo bez używania taśmy mierniczej dziadka widziałam, że rzeka się podniosła i joey się martwił, i może trochę przez to, co hamish o'leary powiedział manny'emu.

- przepraszam - odezwał się manny - to moja wina. musiałem podzielić się z alicie czymś bardzo ważnym.

- jest całkiem prawdopodobne, że nasz dom spłynie w dół rzeki w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin, co jest ważniejsze od tego?

- przepraszam, joey, naprawdę mi przykro - wybąkał. wytarłam twarz w rękaw, rzuciłam mannyemu niepewne spojrzenie, bojąc się, że powie joey'owi o o'learym. uratowała mnie tilda.

- chodźcie do środka, joey. musi być wam zimno - poleciała, biorąc mnie pod rękę. joey westchnął, uspokoił się.

- co wy tam tak stoicie? do środka! co stara kobieta musi zrobić, żeby dostać kubek herbaty w tym domu? - zawołała babcia.

- powiedziałem jej, że możliwe, że będziemy musieli stąd odejść, nie chce o tym słyszeć, może ty coś zdasz, alicie - szepnął joey.

- zaraz nastawimy czajnik, chodź, manny - rzekła tilda.

- jak bardzo jest źle, joey? - zapytałam.

- służby ratunkowe mówią, że powinniśmy osiągnąć szczyt około północy, przewidują, że tutaj, w bridgewater, będziemy bezpieczni, ale wydaje mi się, że powinniśmy być gotowi do odjazdu, na wszelki wypadek, jest dopiero szósta trzydzieści, więc mamy sporo czasu.

tilda siedziała przy stole i robiła coś ze swoim telefonem, manny nalewał herbatę.

- manny i ja wprosiłiśmy się do was na dziś wieczór, bo mamy telefony i mogą wam się przydać, właśnie dałam tacie znać, że nocuję u przyjaciół - ogłosiła tilda.

joey i ja zrobiliśmy dla każdego jajecznicę na tostach, kiedy babcia skończyła, zaproponowałam, że ubiorę ją w coś cieplejszego, posmarowałam jej plecy maścią, zapięłam na niej polarową bluzę wędkarską starego charliego i ubrałam jej dwie pary skarpet oraz spodnie dresowe.

- wystarczy tego - narzekła pod nosem - będzie mi za gorąco.

- może się zdarzyć, że później będziemy musieli wyjść z domu i poszukać bezpieczniejszego schronienia, babciu, mówią, że idzie duża fala.

- nie wiedzą, o czym gadają, nigdy nie widziałam, żeby rzeka wylała w lipcu.

- lepiej być przygotowanym, na wszelki wypadek - powiedziałam, gdy układałam ją do łóżka.

kiedy babcia drzemała
spakowaliśmy nasze cenne rzeczy
w plastikowe worki
zdjęcia taty i nas
na jego kolanach
i w powietrzu nad
jego silnymi brązowymi
ramionami i
uśmiechniętą twarzą.
słownik pełen
słów i
Biblię babci
przynęty i etykiety
pióra i stalówki, atramenty i kartki
puste i pełne, i nasz bank
w puszcze po herbacie.

poszliśmy na górę. ręce pełne małych skarbów, niedźwiedź i ja zostałyśmy w tyle, chwilę dłużej niż pozostali, otworzyłam moje okno na kapiącą bezksiężycową noc. zobaczyłam, jak rzeka przebiega obok nas, gruba i ciemna jak melasa, mocno zatrasnęłam okno i zbiegłam na dół. biegłam wszędzie, włączając światło, czyniąc nasz mały świat jaśniejszym, bezpieczniejszym, bezpieczny z chrapiącą babcią, strzelającym ogniem, radiem puszczającym raporty pogodowe, wiadomości kryzysowe i serwis informacyjny o ósmej trzydzieści o miejscach bliskich i dalekich.

joey zaświecił latarnię huraganową i wyszedł z mannym na werandę, tilda, niedźwiedź i ja obserwowałyśmy ze środka, światło odbijało się od nieskończonego oceanu, niedźwiedź zaskomlała i położyła łeb na moich kolanach, manny wyciągnął telefon z kieszeni.

- tu manny - usłyszeliśmy. - jest tam buli? - buli james był mężczyzną, który zbudował dom o wielu oknach, buli james prznosił góry. widziałam to wypisane na wszystkich jego wywrotkach i żółtych koparkach, które przepychały kamienie z bridgewater, jakby były ziarnami popcornu, manny rozmawiał chwilę przez telefon, a gdy skończył, chłopcy weszli do domu.

- wszystkie raporty mówią, że nie jesteśmy w bezpośrednim niebezpieczeństwie, ale buli mimo to wolałby nas stąd zabrać tak szybko, jak się da - wyjaśnił joey. - mówi, że użyją worków z piachem, by zbudować zaporę na torowisku, więc prąd rzeki nie będzie taki silny, wtedy ustawią reflektory, kiedy z tym skończą, zadzwoni do manny'ego i łódź służb ratunkowych po nas przybędzie.

- dlaczego nie możemy popłynąć teraz? albo w naszej własnej łódce? - zapytałam.

- buli martwi się, że silnik będzie za słaby na ten poziom wody. a poza tym i tak musielibyśmy zrobić dwie rundy.

zaczęła się długa gra w czekanie, i w prawdę lub wyzwanie, ale nikt nie był zbyt zainteresowany przez otaczającą nas wodę i czekanie, aż telefon manny ego zadzwoni, kiedy przyszła moja kolej na zadanie joey'owi pytania, wybrał prawdę, nie mogłam wymyślić nic interesującego, więc zapytałam:

- jakie były imiona chłopców, którzy zginęli na moście?

joey nie odezwał się od razu. wszyscy ucichli, czekając na jego odpowiedź.

- co to za różnica, kim byli? - zapytał.

- nikt mi nigdy nie powiedział, kto to był. chciałabym wiedzieć.

- to ma być gra, alice, a nie przekłete przesłuchanie! - zaśmiał się niezręcznie, wyglądał na zawstydzonego.

- powiedz mi, joey.

- jejku, alice, to są sprawy rodziny, zapytaj mnie o to później, nie tutaj i nie teraz.

- muszę wiedzieć teraz, to może być ważne.

- co masz na myśli?

- po prostu mi powiedz.

- co z tego, kim byli ci dranie? jaką to teraz robi różnicę?

- mam prawo wiedzieć.

joey gwałtownie wstał z krzesła, które spadło na podłogę z hukiem, niedźwiedź doskoczyła do mnie. joey ją zignorował, przeszedł przez kuchnię i stanął przy zlewie, wyglądając przez okno. ciche sekundy płynęły, zanim mój brat odezwał się do swojego odbicia w szybie.

- to był joel ellis - powiedział.

- a ten drugi?

- liam. miał na imię liam.

- liam kto?

tym razem byłam gotowa, żadnych kruków, żadnych spięć, tylko ja chcąc uporządkować moją przeszłość, moją teraźniejszość i przyszłość, joey odwrócił się do mnie.

- cholera, alice, co chcesz osiągnąć? - niedźwiedź nastawiła uszy.

- nie jestem niczemu winna.

manny mnie obserwował, nie próbował mnie powstrzymać, joey usiadł obok tildy i zakrył twarz dłońmi.

- o'leary. to był liam o'leary. starszy brat hamisha. miał dwadzieścia lat, kiedy on i ten drugi chłopak cię... zaatakowali, stary charlie próbował ich powstrzymać, zanim uciekli, strzelił do samochodu, ten przekoziółkował i spadł z mostu, ellis zmarł na miejscu. o'leary złamał kark i umarł w szpitalu, samochód był skradziony, oni obaj mieli ponad pół promila we krwi i żaden z nich nie miał prawa jazdy, jeśli chcesz znać powód, dla którego hamish o'leary groził, że cię skrzywdzi, to pewnie dlatego, że w jakiś pokręcony sposób obwinia cię o śmierć brata.

- wiedziałeś? wiedziałeś, że hamish mi grozi?

- tak, wiedziałem - joey jęknął zrezygnowany.

- kto ci powiedział?

- on. zapewniał, że jeśli nie przestanę widywać się z tildą, to cię dopadnie.

mój umysł wirował, joey wiedział i nie powiedział mi ani słowa, wiedział, a mimo to dalej spotykał się z tildą. to było dla mnie zbyt wiele, by zrozumieć wszystko naraz.

- słuchaj, alice... może pogadamy o tym później, teraz są ważniejsze rzeczy.

- nie! - wykrzyknęła tilda. - musicie to rozwiązać teraz, nie obwiniaj joey a, alice. musisz usłyszeć moją część historii, po tym, jak manny był kontuzjowany, joey stwierdził, że powinien potraktować groźbę o'learyego poważnie, powiedział mi, że nie może się ze mną więcej zobaczyć, stwierdził, że mój ojciec go odstraszył, nie wierzyłam mu, bo mój tato taki nie był. masz szczęście, joey to najlepszy brat i najlepszy przyjaciel, jakiego ktokolwiek mógłby mieć. to na mnie

powinnaś być zła. nie mogłam być z dala od niego nawet po tym, jak wyznał, że mnie okłamał, i ciebie, rozumiem, dlaczego to zrobił, ale, alicie, chcę, żebyś wiedziała, że joey wyznał mi, co ci się przydarzyło, kiedy miałaś dwanaście lat. ci chłopcy byli tchórzami i jest nim też o'leary. mój tato mówi, że jeśli pozwolimy ludziom, takim jak oni, rządzić naszym życiem, to dajemy im wygrać, ale ty to już chyba wiesz, prawda?

joey zniknął na zewnątrz, a tilda, idealna tilda, poszła za nim. manny i ja patrzyliśmy na siebie, zszokowani, bez słów. brakło mi tchu. gdyby nie miało nas zaraz zalać, to prawdopodobnie weszłabym na stół starego charliego i zaczęła tańczyć, w tej chwili czułam się, jakbym mogła zrobić wszystko.

wtedy zadzwonił telefon mannyego.

53. Alice

ruch na drodze tullamarie

w czwartkową noc buli james był przy telefonie, wysłano łódź ratunkową, ale nie do nas - tak buli powiedział manny'emu. do małego miasta, dziesięć kilometrów w górę rzeki, gdzie samochód z trzema pasażerami został zmyty z mostu, musieliśmy czekać, aż ekipa ratunkowa wróci, nie wiedział, jak długo to zajmie, obudziłam babcię, pomogłam jej usiąść na krześle, zrobiłam kawę.

czterdzieści pięć minut później łódź ratunkowa dalej nie dotarła, joey włożył palec do dziury po sęku i dotknął wody.

- cholera, gdzie oni są? - zapytał.

niedźwiedź oparła się o moją nogę i zaskomlała, pogłaskałam jej uszy, a manny zadzwonił do bulla i powiedział mu o palcu joey'a w sękowej dziurze i o poziomie rzeki.

- nie możemy dłużej czekać, płyniemy w łodzi joey'a - poinformował go manny.

- co się dzieje? - zapytała babcia.

- musimy iść. rzeka już prawie sięga podłogi - powiedziałam.

- nie ma mowy. nigdzie się stąd nie ruszam.

- babciu, przecież nie możesz tutaj zostać, załóż to, szybko!

- próbowałam włożyć jej ręce w ramiona kamizelki ratunkowej, ale opadły bezwładne i ciężkie, ubranie jej było prawie niemożliwe.

- przeżyłam już powódź. Pan Jezus się mną zaopiekuje, zabierz mnie na górę, bliżej mojego Boga.

- nie dasz rady wejść na górę! jeśli tu zostaniesz, to utoniesz. tilda przyszła mi z pomocą, w końcu założyłyśmy jej kamizelkę, babcia położyła się z powrotem na łóżku.

- nocne powietrze nie pomoże moim płucom - powiedziała, świszcząc, uparta, może przestraszona.

poczułam zapach paliwa i usłyszałam, jak silnik odpala, a potem gaśnie, joey klnie i próbuje jeszcze raz. spojrzałam przez okno na chłopców stojących po kolana w wodzie, szkoda, że przyholowanie całego domu nie było możliwe.

wiedzieliśmy, że będziemy musieli zrobić dwie rundy, plan był taki, żeby najpierw zabrać babcię, joey znał rzekę lepiej niż ktokolwiek, więc on miał sterować, potrzebował jednak ekipy, kogoś, kto trzymałby latarnię i wyglądał niebezpieczeństw po drodze, i drugiej osoby, która uspokajałaby babcię, upewniła się, że nie będzie chciała wstać albo wyskoczyć.

- chodź, babciu, ty i dziadek uwielbialiście tę łódź, pamiętasz? nie płyniemy daleko, to nie zajmie dużo czasu - próbowałam ją przekonać.

babcia odmówiła ruszenia się z łóżka, musieli ją wynieść, manny złapał za ramiona, joey za nogi. jej oczy były uparcie zamknięte, łzy toczyły się po wąwozach jej twarzy jak jej własna powódź, trzymałam drzwi uchylone, gdy ją wynosili.

i silnik, i deszcz były teraz stabilne, joey zszedł tak nisko po schodach, jak tylko mógł, zanim plecy babci dotknęłyby wody. tilda i ja trzymałyśmy łódź przy słupku werandy, próbowałyśmy ją unieruchomić, kiedy chłopcy podnosili babcię ponad burtą, leżała tam z zamkniętymi oczami, pupą i plecami na dnie. kolana ugięte nad siedzeniem, zdjęłam moją wiatrówkę, żeby zrobić dla niej poduszkę, próbowałam nie płakać na jej pokrytą deszczem twarz.

- zabierz ze sobą alicę i tildę - powiedział manny.

- dziewczyny nie są na tyle silne, żeby powstrzymać babcię, jeśli zacznie się szarpać... jeśli będzie chciała się wydostać - odparł joey.

- ty płyn pierwsza, tildo - powiedziałam. - nie byłoby miejsca dla niedźwiedź, a ja nie popłynę bez niej.

joey nie dyskutował, podał mi strzelbę.

- miej ją przy sobie - powiedział mój brat. może dlatego, że była to sprawa rodziny, że nie chciał się z niej tłumaczyć komuś po drugiej stronie, może nie. może miała mnie ochronić, nie pytałam.

- idź na górę, kiedy odpłyniemy i zostań tam, dopóki nie wrócimy - polecił joey.

tilda wcisnęła swój telefon w moją dłoń. pokazała mi, gdzie jest numer manny ego i jak go włączyć.

- nie wzięłam ze sobą ładowarki, ale telefon był wyłączony, więc powinien wytrzymać jeszcze chwilę.

przytuliła mnie i zeszła do łodzi, przygarnęła do siebie babcię, delikatnie odgarnęła włosy z jej czoła pokrytego mapami, wrytego w smutku i chorobie, jakaś część mnie chciała, że- bym to ja siedziała w łodzi z joeyem. niedźwiedź u moich stóp, głowa babci na moich kolanach, ale inna część mnie

była szczęśliwa, bo manny i tilda byli prawie jak rodzina.

manny podniósł latarnię i podał ją tildzie. wtedy na oczach wszystkich przygarnął mnie do siebie i pocałował w usta. joey dodał gazu, jakby uprzejmie odchrząkiwał.

manny wyszeptał:

- moja siostra miała na imię precious. - wtedy odwrócił się i wszedł do łodzi.

siadł na środku obok kolan babci, jego ręce miały ją przytrzymać, na wypadek gdyby chciała wysiąść, tilda była światłem pokazującym drogę, a joey sternikiem, który miał ich doprowadzić na drugą stronę, dodał gazu, mały silnik zawył, to wyglądało, jakby trzepaczka do jajek próbowała pokonać wielki ocean, zadrzałam, niedźwiedź zaszczekała w noc. wtedy pobiegłyśmy na górę.

postawiłam strzelbę w kącie mojego pokoju, przyciągnęłam poduszki i koc pod moje pochłapane deszczem okno. zrobiłam gniazdko dla mnie i niedźwiedź, zanurzyłam się w jej miękkość i ciepło, gdy patrzyłyśmy jak światło tildy kołysze się na falach, zastanawiałam się, kiedy je zobaczę, jak powraca.

rozebrałam moment przed ich odpłynięciem na części pierwsze, ich wyrazy twarzy, to, co robili, mówili, pytałam się wciąż, dlaczego manny wybrał ten moment, by zdradzić mi imię swojej siostry? dlaczego nie zaczekał, aż będziemy bezpieczni? czy to było kolejne pożegnanie? czy tak myślał manny? wsunęłam kciuk w satynową obszywkę koca. potarłam nim policzek, jak tego dnia, gdy odszedł nasz tato. i jak robiłam przez wiele następnych nocy. próbowałam nie zamykać oczu. kiedy w końcu się poddałam, wydawało mi się, że nasz dom się rusza.

prezenter w radiu powiedział, że dochodziła piąta czterdzieści pięć nad ranem, a ruch na east link oraz tullmarine był niewielki i wszystkie pasy na moście westgate były wolne, potem słuchałam wiadomości z daleka, prezenter nie wspomniał małego miasteczka o nazwie bridgewater ani powodzi nad oktober bend. pewnie nigdy nie słyszał o takim miejscu, więc wyciągnęłam palec z satynowego koca, wyłączyłam radio i słuchałam deszczu bębniącego o dach. kiedy znowu wyjrzałam na zewnątrz, deszcz przestał padać, niebo nad horyzontem miało kolor siniaka, a nasz dom był wyspą.

- deszcz przed siódmą, słońce w południe - powiedziałam niedźwiedź, by ją rozweselić, uśmiechnęła się i zeszłyśmy na dół, jakbyśmy miały na to cały dzień, i z powrotem na górę, szybkie jak błyskawica, szukałam telefonu tildy i próbowałam sobie przypomnieć, który numer wcisnąć, marzyłam o głosie w moim uchu mówiącym mi: *tak, tu manny*. i o nim, słuchającym, kiedy będę mu opowiadać te wszystkie okropne *rzeczy*, które zobaczyłyśmy z niedźwiedź.

nie mogę włożyć palca do dziury po sęku, ponieważ lwie łapy unoszą się nad podłogę, a stół starego charliego i łóżko babci prawie puk puk pukają do nieba, ruch na east link oraz tullmarine był niewielki i wszystkie pasy na moście westgate były wolne, ale gdzie jest nasza mała łódka, emmanuelu? i kiedy przyplynie do oktober bend po mnie i niedźwiedź?

telefon tildy usnął w nocy. mały ekranik pozostał czarny, nie było numerków do wciskania, żadnego głosu w moim uchu, nikogo do porozmawiania, wzięłam moje tabletki na spokój i usiadłam na łóżku z ramionami wokół niedźwiedź.

54. Manny odpływając

„Precious” to bardzo dobre imię dla dziecka, nawet takiego, którego nie trzymało się nigdy w ramionach. Szczególnie dla takiego dziecka - to powinienem był powiedzieć Alice. To o tym myślałem, kiedy siedziałem w maleńkiej łódce płynącej po bardzo szerokiej rzece.

Moja siostra była odważna i piękna. Nie chciała powiedzieć żołnierzom, gdzie była nasza matka. Zgwałcili ją, a ona wciąż im niczego nie powiedziała. Tak bardzo była dzielna. Wtedy zabrali jej język. Śmiali się i mówili, że nie będzie jej już potrzebny. Zostawiłem Precious leżącą na ziemi. Zostawiłem Alice w tonącym domu. To nie był dobry sposób na pożegnanie. To ja zostawiłem je obie. Taki właśnie byłem.

O tym myślałem, kiedy światło, które obiecał Buli James, nas zawiodło. Tej nocy na niebie było wiele chmur i nie widzieliśmy księżyca. Wszystko, co mieliśmy, to jedna mała latarnia. To było za mało, by oświetlić nam drogę. Nie widzieliśmy nawet, gdzie kończy się rzeka, a zaczyna ląd. Nikt nie widział, co uderzyło w naszą łódź. Nie byliśmy w stanie powiedzieć, co przekreśliło łódź dookoła. Dziób zanurzył się w wodzie. Metalowa skrzynka na narzędzia wysunęła

się spod siedzenia Joey'a. Lampa została wyrwana z rąk Tildy i upadła na siedzenie. Pani Nightingale krzyknęła. Poświeciłem telefonem na babcię Alice, która leżała bez ruchu na dnie łodzi. Na jej czole była ogromna rana.

- Wygląda, jakby uderzyła się głową w skrzynkę z narzędziami - uznała Tilda. - Czy na pokładzie jest apteczka, Joey?

Podniosłem mój telefon wyżej. I wtedy zobaczyłem, że tylko połowa Joeya była na łodzi. Jego głowa i ramiona znajdowały się pod wodą. Wciągnąłem go z powrotem. Wiele razy zakaszał i w końcu wziął głęboki oddech.

- Łapcie wiosła, szybko! Silnik przepadł, nie mogłem go utrzymać. W cokolwiek uderzyliśmy, wydarło go z łodzi. Będziemy musieli wiosłować.

- Joey... - powiedziała Tilda.

- Pomóżcie mi znaleźć wiosła. Tilda była bardzo poważna.

- Cicho bądź i słuchaj, Joey! Twoja babcia się zraniła. Zadzwoiłem do Bulla Jamesa. To było jedyne rozwiązanie. Prąd był zbyt silny, byśmy mogli wiosłować.

Buli poinformował nas, że reflektory wysiadły przez wiatr, który rozbił je o druty przy stacji. *Dajcie nam pięć minut i powinniśmy mieć ustawione następne* - tak powiedział. Zapewniłem go, że nie mamy pięciu minut. Nasz silnik przepadł, wiosła były bezużyteczne, na dnie łodzi leżała ranna pani, a Alice, a Alice, a Alice...

Dryfowaliśmy w ciemności. Nie wiedzieliśmy, jak szybko lub jak wolno się poruszaliśmy. Po raz kolejny wyjąłem telefon. Odkąd rozmawiałem z Bullem, minęło dziesięć minut. Poświeciłem na twarz babci Nightingale. Wysoko na jej czole

była rana. Joey ścisnął ją palcami, żeby nie krwawiła. Klęczał na dnie łodzi i rozmawiał ze swoją babcią. Była bardzo blada i się nie ruszała.

- Wszystko w porządku, babciu. Już niedługo będziesz w domu - Joey szeptał małe kłamstwa, by pocieszyć swoją babcię. Wtedy rozbłysły światła Bulla. Oświetlały ścieżkę przez wodę i dostrzegliśmy, co nas uderzyło. Była to szopa na siano. Duża szopa na siano. Ściany, dach i wszystko, było w środku. Kawałki metalu, drewniane pale i siano. Setki okrągłych bel siana. Nasza łódź była nimi otoczona. Mój telefon zadzwonił. Tym razem była to Louisa James.

- Tu Manny. Muszę cię dać na głośnik, Louiso James.

- Widzimy was. Podaliśmy wasze położenie ekipie ratunkowej i łódź już płynie. Słyszysz mnie, Manny?

- Tak, słyszę. Proszę, powiedz, żeby się pospieszyli.

- Posłuchaj uważnie. Zadryfowaliście poza wał, ale to, co was otacza, naprawdę was spowolniło. Buli mówi, że tak długo, jak będą was otaczać bele siana, nic wam nie grozi. Czeka na moście z uprzężą na żurawiu. Jeśli ekipa ratunkowa nie dotrze do was przed nim, to opuści dwóch ludzi, którzy zahaczą waszą łódź i spróbują podnieść całość. Rozumiesz mnie?

- Tak. Proszę, powiedz im, żeby się pospieszyli. Powiedz im, że pani Nightingale jest ranna i...

- Wiemy, Manny, karetka będzie na was czekać. Muszę kończyć. Buli jest na radiu.

- Louiso, czekaj! Alice nie ma z nami!

- Gdzie jest? Co się stało?

- Nie zmieściliśmy się wszyscy do łodzi. Dlatego Alice została w domu. Musicie kogoś po nią wysłać.

- Nie zatrzymają nas, jeśli miniemy most - powiedział Joey, a ja bardzo żałowałem, że nie zostałem z Alice. Mogliśmy tam być bezpieczni. A nawet jeśli nie, to bylibyśmy razem.

55. Alice

łódzie podwodne i syreny

nasz dom jest jedynym budynkiem w bridgewater zbudowanym na terenie zalewowym, babcia mówiła, że innych nie ma. niektóre zostały zniszczone, inne zmyła powódź, wkrótce nie będzie żadnego, nasz dom się teraz przechylał, pochylał ku zachodowi, czułam się jak nasz dom. rzucona, by dryfować po nieznanym krajobrazie.

niedźwiedź i ja wyszliśmy na zewnątrz, siedziałyśmy na balkonie, który dziadek zbudował z miłości i patyków, nasz zbiornik wody zsunął się ze swojej podstawy i unosił obok dobudówki jak grubiotka łódź podwodna, myślałam o odciskach w cemencie, pod wodą. nasz tato i jego malutka siostrzyczka, to jedyne, co z nich pozostało, poza kilkoma zdjęciami.

kto powie dziadkowi, że to wszystko przepadło? gdzie dziadek się podzieje, kiedy przyjdzie czas wrócić do domu? objęłam szyję niedźwiedź, próbowałam odpędzić smutne myśli, gdy czekałyśmy na nasz ratunek.

gwizdek odlewni dał sygnał, wystraszył nas. przypomniał mi, że życie toczy się dalej dla ludzi, których domy nie stoją na terenie zalewowym.

- och, gdzie, och, gdzie powędrował nasz mały dom, droga niedźwiedź? - śpiewałam do stałej towarzyszki, by ją pocieszyć, by uleczyć jej strach przed nawoływaniem syren i łodzi podwodnych, by czas minął.

przepłynęło obok nas drzewo z krową, kredensem i sznurkiem prania zaplątanymi w gałęziach, zaklinowało się na dachu przybudówki, krowa patrzyła na mnie martwymi ślepiami ponad praniem, odwróciłam wzrok od jej smutnych brązowych oczu. spojrzałam w dół. Zobaczyłam, że rzeka podchodzi do gwoździ, które miały mnie ochraniać.

i ja

ponieważ niedźwiedź nie mogła wspiąć się na dach i

ponieważ nie zostawiłabym jej samej i

ponieważ nie mogłam wymyślić modlitw

ani wierszy

ani papierowych słów

krzyknęłam w wielkie i puste powietrze

przyślij łódź, Boże

proszę, przyślij tę cholerną łódź!

56. Alice rozbitek

dryfowała, mała jak groszek, na mgliście szarym horyzoncie, znikła za ogromnym drzewem z rozłożystymi gałęziami, które powódź zamieniła w małe bukieciki i zastanawiałam się, czy łódź, którą widziałam, była tylko mirażem, okrutną sztuczką, czy wspomnieniem statku widmo...

wypełniona radością i nami babcia, ja i mały joey z wędkami i czerwonymi ważkami wokół naszych wątych ramion i bezpieczna brązowa dłoń taty na sterze

dziadek na dziobie wyglądał ryb pod wodą.

prawie rozplakałam się z radości, gdy znów się pojawiła, a potem z rozczarowania, gdy była blisko, to była zabawka, nadmuchana powietrzem, gumowa łódka używana w długie upalne lato, gdy rzeka była czysta i spokojna, zastanawiałam się, jaki głupiec posłał ją na wodę. nie miała szans

w porównaniu z rzeką, która szarżowała i wirowała, upasiona od krów, kredensów, ubrań i czegokolwiek, cokolwiek jeszcze miała kaprys zabrać.

ale powiedziałam sobie, że jakakolwiek łódka jest lepsza niż żadna, nawet ta, która siedziała nisko na wodzie i płynęła tam, gdzie prowadził ją prąd zamiast obrać kurs na nas. zdjęłam mój żółty płaszcz przeciwdeszczowy, machałam nim jak szalona, kapitan podniósł rękę w odpowiedzi, krzyżował je nad głową, naznaczał szare niebo znakami, dopóki ich nie zrozumiałam, nie miał jak sterować łodzią, nie miał wiosła ani silnika, był tak bezradny jak ja.

lekkomyślna łódka zbliżała się do naszego domu. szybko, za szybko, wciągnięta przez prądy, które tworzyły się wokół ścian, przez rozbite okna i ziejące otworem drzwi, niedźwiedź zaskomlała, złapałam mocno jej obrożę w obawie, że będzie chciała wskoczyć do wody i popłynąć, by wyjść łodzi naprzeciw.

- uważaj! - krzyknęłam, ale żeglarz nie mógł nic zrobić, rzeka rzucała jego stateczkiem na wszystkie strony, wbijając go w drzewo przy przybudówce, gałęzie przekuły gumę, a rogi krowy zrobiły z niej wstążki, młody mężczyzna chwycił się powalonego drzewa, ledwo trzymając się, kiedy woda obmywała jego ciało, zobaczyłam tatuaż w miejscu, gdzie jego szyja wyrastała z ramion, sztylet i krople, czarne krople kap kap kapiące na jego plecy razem z wodą z powodzi, wtedy odwrócił się i spojrzał na mnie.

popatrzyłam w oczy rozbitka, nie był kapitanem, tylko chłopcem, chłopcem, obwiniającym mnie o śmierć swojego brata, młodego mężczyzny, który prawie mnie zabił.

- co tu robisz? - zapytałam, odważna i głupia, jakby miał

wyznać mi prawdę. - wiem, co powiedziałeś mojemu bratu i mannyemu. to dlatego tu jesteś, prawda? żeby odplacić mi pięknym za nadobne.

odwrócił wzrok, nie odpowiedział, dłoń za dłonią po martwym pniu przesuwiał się powoli w stronę domu. w moją stronę.

- gadaj! - krzyknęłam, zła, że przyplął tu teraz, kiedy jestem sama. kiedy nie mam pod stopami gruntu, na którym mogę się oprzeć, gdy nie mam gdzie uciec ani się schować. - czego chcesz? - zapytałam, ale on wciąż milczał, zachował wszystkie swoje siły na to, by zacisnąć swoje zimne palce wokół balustrady i trzymać się, gdy woda kotłowała się wokół niego.

skróciłam smycz niedźwiedź, zabrałam ją ze sobą do pokoju, z dala od wody i o'leary'ego. wycofując się, przewróciłam coś łokciem, obróciłam się i zobaczyłam strzelbę, czy to dlatego joey mi ją zostawił? na wypadek gdyby pojawił się hamish? na pewno mój brat nie zostawiłby mnie samej, gdyby myślał, że coś takiego się zdarzy, na pewno nie chciał, żebym jej użyła, prawda?

odsunęłam się od niej. moje serce biło mocno, moja krew pędziła w żyłach, a w głowie mi szumiało, wtedy dom się poruszył, sufit się przechylił i moje łóżko zaczęło się powoli zsuwać na drugą stronę pokoju, opadłam na podłogę i przytuliłam się do niedźwiedź, bałam się, że nadchodzą ptaki, że miałam spięcie, zaskomlała i przysunęła swój pysk do mojej szyi. otworzyłam oczy i zobaczyłam wodę przeciekającą przez deski podłogi, to działa się naprawdę, dom odłączył się od swoich fundamentów, woda była w środku i unosiła się coraz wyżej.

pobiegłyśmy do okna. wyskoczyłyśmy przez nie i zatrzaśnięłam je za nami szczelnie, każdy maleńki ruch był powielony, modliłam się, żeby dom nie obrócił się znowu, ani nie przekręcił się brzuchem do góry, by zatonać, kiedy odważyłam się otworzyć oczy, moje okno nie było już skierowane na dolinę, w stronę przejścia nad przełęczą Charlotte, wystawało w niebo, jak małe obserwatorium, pode mną, mały balkonik, ściany domu zjeżdżały w wodę. bałam się zajrzeć do środka, bo to mogło być jak patrzenie do akwarium, trzymałam moje oczy skupione na dobudówce, na krowie i na sznurku z ubraniami płynącymi w dół rzeki, czułam, jak boki niedźwiedź się poruszają, jak buzują złością, kiedy spojrzałam w dół, jej uszy były położone po sobie, pysk warczący, czekała na moją komendę, nasze oczy spotkały się na rozbitku, trzymającym się balkonu.

- dlaczego mnie nienawidzisz? - zapytałam, ledwie zdając sobie sprawę, że powiedziałam to na głos. musiałam to od niego usłyszeć, nie, żeby to miało jakieś większe znaczenie, nie, jeśli oboje mieliśmy utonąć.

mogły minąć minuty lub godziny, gdy patrzyliśmy się na siebie, mogły minąć sekundy.

- bo za nim tęsknię - jęknął, jakby te słowa były wyznaniem grzechu, jego twarz była ściągnięta, a skóra szarawa.

żałość była i w nim, i we mnie. to była cena, jaką płaciliśmy za to, co zrobili inni.

lata po tym, jak tato umarł, babcia powiedziała: *śmierć cię uwalnia, zabiera cię do miejsca, gdzie nie ma bólu. ani cierpienia, ani żalości.*

usłyszałam, jak drewniana podstawa pęka. zobaczyłam, jak poddaje się w rękach o'leary'ego.

- pomożesz mi? - zapytał, jakby wiedział, że odpowiedzią, będzie „nie”, byłam zmarznięta, zmęczona i mokra, czułam się porzucona, słowa hamisha mogły wtedy znaczyć cokolwiek, pomóż mi umrzeć, pomóż mi wybaczyć albo zapomnieć, położyć kres żałobie.

mogłam mu pomóc zakończyć jego żałobę, za drzwiami była naładowana strzelba, obok mnie pies, ciągły kompan gotowy na każde zawołanie, mogłam nadepnąć na jego zmęczone ręce i patrzeć, jak spada, nikt by się nie dowiedział, co naprawdę się stało, pochyliłam się w stronę o'learyego, żeby mógł usłyszeć, co ojciec tildy miał do powiedzenia.

- jeśli pozwolimy tchórzom powstrzymać nas przed przeżyciem życia tak, jak chcemy, pozwalamy im wygrać, nie pozwolę ci wygrać, hamish - zapewniłam.

jest odwaga i jest ostrożność - głos babci rozbrzmiał w mojej głowie, zdjęłam smycz niedźwiedź, oparłam się o ścianę, zaparłam stopy o balkon i zrzuciłam koniec z pętlą prosto w ręce hamisha

- teraz ciągnij! - krzyknęłam.

jego zmarznięte palce chwyciły skórzany pasek, który się napiął i o'leary wciągnął się do góry na ścianę domu. opadł na brzuch i leżał tam, drżąc z zimna.

- ty jesteś szalona - powiedział, kiedy już mógł oddychać. - naprawdę szalona, przecież mógłbym cię zepchnąć, nie mogłabyś mnie powstrzymać.

może dlatego, że było mi zimno, byłam zmęczona, mokra i opuszczona, ale to, co powiedział o'leary, brzmiało prawie jak komplement.

skinełam na niedźwiedź, odsłoniła kły i zawarczała.

- nie wydaje mi się. a poza tym nadpływa łódź.

ekipa ratunkowa owinęła nas w błyszczące koce, żebyśmy się rozgrzali, byliśmy jaskrawi jak rozświetlone gwiazdy nad oktober bend, niedźwiedź, ja i hamish.

57. Alice

listy miłosne do babci

pośród małego tłumu dostrzegłam brata joey a i moich najprawdziwszych przyjaciół, emmanuela i idealną tildę. uśmiechali się, by mnie powitać, wyciągali ręce w moją stronę.

karetka już na nas czekała, ratownicy sprawnie wysunęli mnie i hamisha na noszach, głos, którego nie rozpoznałam, oznajmił: *ten pies to asystent medyczny* i niedźwiedź wskoczyła za mną.

- spotkamy się w szpitalu - zawołał joey, zanim drzwi się zamknęły i dopiero wtedy zobaczyłam wolną przestrzeń.

- gdzie jest babcia? - zapytałam - gdzie jest babcia?

- starsza pani na łodzi - odpowiedział im hamish.

- pani nightingale. jest już w szpitalu, standardowa procedura po akcji ratunkowej, kiedy już cię obejrzą, możesz się z nią zobaczyć.

na ostrym dyżurze sprawdzili moje parametry życiowe, krew i oddech, puls i serce, rozmawiali między sobą o szoku i hipotermii. powiedzieli, że powinniśmy zostać na obserwację, hamish na oddziale męskim, ja i niedźwiedź na dziecięcym, byłam zbyt zmęczona, by wytknąć im pomyłkę, żeby powiedzieć im, że nie mam już dwunastu lat.

dwie pielęgniarki zabrały mój żółty płaszcz przeciwdeszczowy, ściągnęły mi przemoczone spodnie i sweter, położyły mnie między szorstkie prześcieradło i błękitny koc. włożyły coś słodkiego na mój język, by pomóc mi spać. wtedy rozsunęły zasłony jakby odsłaniały coś wyjątkowego, lepsze niż dzieło sztuki, mona lisa, marmurowe popiersie, coś uratowanego z powodzi, żywa dziewczyna!

kiedy zapewniły mnie, że babcia jest bezpieczna, zamknęłam oczy. nie jestem w stanie powiedzieć, jak długo spałam i jak długo zostały, ale za każdym razem, gdy się budziłam, widziałam kogoś, kto mnie kocha, manny'ego, joe'ya, tildę, niedźwiedź.

wtedy ktoś inny przyszedł blisko, wkradł się w moje sny. stał obok mnie. głaskał mnie po rękę. nie otwierałam oczu, bo wiedziałam, że to nie może być prawda, wtedy szepnął mi do ucha: *już dobrze ptaszyno, dziadek czuwa.*

usiadłam i rzuciłam mu się w ramiona.

- dziadku! dziadku! och, dziadku! - i całe zimno, jakie się we mnie zebrało, wszystkie moje zamarzniete tamy puściły.

zajęło nam tylko kilka minut, by dotrzeć do pokoju babci, ale ona już była daleko, ambrozja spływała do niej z kroplówki, przez maskę mogła oddychać letnim powietrzem, nie chodziło tylko o jej płuca, skaleczenie, jakie zostało po uderzeniu w skrzynkę z narzędziami, było niewielkie, ale krew rozkwitła jak róża w jej głowie, dziadek delikatnie powiedział mi, że nie ma leku dla babci.

dowiedzieliśmy się, że nie jesteśmy opuszczeni, sprawy nightingaleow nagle stały się sprawami innych, ale to było w porządku, tato tildy wiedział, co zrobić, by wyciągnąć starego mężczyznę z więzienia, przepustka okolicznościowa ze

względu na chorobę, by mógł odwiedzić swoją żonę w szpitalu, przyznali dziadkowi dziesięć dni. dlaczego dziesięć dni? czy to tyle zajmie babci, by przejść na drugą stronę? ani dziadek, ani pielęgniarki nie wiedzieli kiedy to nadejdzie, mieliśmy nadzieję, że podróż będzie krótka.

pan cassidy nie był jedynym, który nam pomógł, wspaniała louisa james i buli zaoferowali nam miejsce, dziadkowi i joey'owi, mnie i niedźwiedź, mieszkanie, które mieli na własność, bardzo niedaleko ich domu. z ogrodem z tyłu i przystankiem autobusowym z przodu, louisa dla nas gotowała, wysyłała mannyego z zupami, deserami i zapiekankami, tak, żebyśmy z dziadkiem i joeyem mogli spędzić jak najwięcej czasu z babcią, czasami szliśmy razem, czasami osobno, próbowałam oddzielić swoje uczucia, radość z przyjazdu dziadka, smutek z nieobecności babci, strach, że kiedy upłynie dziesięć dni, stracę ich oboje.

w szpitalu nie było dla mnie nic do roboty, ktoś inny cesał włosy babci, smarował jej usta balsamem, kiedy patrzyłam, jak śpi i mówiłam do niej. przypominałam jej o małych rzeczach i szczęśliwych dniach, które mogły jej się spodobać, jak wtedy, gdy śmiałyśmy się z jej klatki piersiowej, były też rzeczy, o których nie mogłam z nią porozmawiać, to zapisywałam w listach i zostawiałam je na stoliku obok łóżka, w nadziei, że obudzi się i przeczyta je, kiedy mnie nie będzie.

drugiego dnia zabrałam ze sobą atramenty, pióra i papier, naszkicowałam babcię, gdy spała, wokół niej narysowałam jej świat: dziadka i ogród, śliwy, fasolę i ptaki, motyle i pszczoły, przypięłam to do jej karty, kiedy wychodziłam, obróciłam się w drzwiach i spojrzałam na to, co napisałam pod spodem:

to moja babcia jest wspaniała
proszę, bądźcie dla niej dobrzy, kiedy mnie nie ma.
czwartego dnia znów poszłam sama i napisałam: nie mogę
mówić o pewnych słowach, babciu, próbowałam je napisać raz
czy dwa, ale przekreślałam je. chciałabym móc tak zrobić w
prawdziwym życiu, wykreślić pewne słowa, Kocham cię, Alice.
złożyłam kartę w serce z origami i zostawiłam na jej szafce,
dzień szósty:

martwię się o dziadka, babciu, nie żeby on coś powiedział, ale
chyba obwinia się o to, co się stało, o to, że musiałaś się nami
sama opiekować, o to, że byłaś sama, kiedy się rozchorowałaś i
nie miał się kto tobą zająć, byłoby dobrze, gdybyś mogła mu
powiedzieć, że wszystko jest w porządku, wiem, że pewnie za
bardzo nie mogłabyś mówić, nawet jeśli byłabyś przytomna,
pielęgniarka powiedziała dziadkowi, że w twoich płucach jest
woda. nie powiedzieli, skąd się tam wzięła, może z powodzi
albo z tych wszystkich łez, które chciałaś wypłakać, ale nie
mogłaś, bo musiałaś się nami zajmować, w każdym razie, jeśli
mogłabyś czasami tylko ścisnąć rękę dziadka, nawet raz,
wydaje mi się, że wiedziałby, o co ci chodzi.

Kocham cię, Alice.

siódmego dnia napisałam:

chciałam ci tylko powiedzieć, że przepraszam za to, że

byłam dla ciebie niemiła, Kocham cię babciu, Alice.

dzień ósmy:

świetnie się spisałaś, babciu, poradzę sobie, ale będę za tobą tęsknić, Kocham, Alice.

nie chciałam się budzić dziewiątego dnia. zostałam w łóżku z niedźwiedź, dopóki nie przyszedł joey. zapukał, otworzył drzwi i uśmiechnął się. ręce miał za plecami, chowały coś.

- ta da! - udał gest iluzjonisty prezentującego królika z kapelusza, w jego ręku był bukiet tulipanów, żółtych jak pierz kaczątka.

- dla babci? - zapytałam.

- dla ciebie! - odparł i położył je na moich rękach.

- od ciebie?

- nie!

- manny?

- gdyby były od niego, to sam by je przyniósł - drażnił się joey.

- od kogo w takim razie?

- nigdy nie zgadniesz, od matki hamisha o'leary'ego. przyszła do ciebie, ale nie byłem pewien, czy będziesz chciała się z nią zobaczyć, więc powiedziałem, że śpisz.

joey usiadł na łóżku obok mnie. nagle zrobił się poważny, mówił powoli i spokojnie.

- powiedziała mi, co zdarzyło się w domu, ptaszyno, nie mogę uwierzyć, jaka jesteś odważna, jak odważna zawsze byłaś. - objął mnie ramieniem, ale zdążyłam zauważyć łzy

w jego oczach. - chciałbym, żeby babcia wiedziała, co zrobiłaś, byłaby z ciebie taka dumna.

podniosłam koc i leżeliśmy razem w łóżku, dopóki joey nie chciał kanapek z serem i piklami, a niedźwiedź nie musiała siku.

- gdzie jest dziadek? - zapytałam.

- wyszedł wcześniej, chciał dziś spędzić z babcią jak najwięcej czasu.

kiedy kanapki zostały zjedzone, joey powiedział:

- co ty na to, żebyśmy poszli do szpitala razem? a potem zabiorę cię do manny'ego. tęskni za tobą.

a ja tęskniłam za nim. ale nie wiedziałam, jak być smutną i szczęśliwą jednocześnie, jak być - w ogóle, spojrzałam na szpiczaste żółte pączki i cienką zieloną wstążkę oplecioną wokół łodyżek, nerwowo obracałam bilecik w palcach.

- dziś jest dziewiąty dzień - powiedziałam, na wypadek gdyby nie zauważył.

- wiem - odparł - ale nigdy przedtem nie mieliśmy szansy się pożegnać, nie, kiedy umarł tato, i kiedy matka odeszła, tym razem jest inaczej, ptaszyno, jest ciężko... i boję się, ale jesteś najodważniejszą osobą, jaką znam. proszę, chodź ze mną.

kiedy przyszliśmy do szpitala, babcia trzymała dziadka za rękę.

POSŁOWIE

Podróż babci zakończyła się jedenastego dnia.

Dwa tygodnie później dziadka wypuszczono na zwolnienie warunkowe. Z tego, co wiem, Joey dalej jest marzycielem i rybakiem, ale teraz jest też wędrowcem. On i Tilda mieszkali w Paryżu, Londynie, Jerozolimie i Pradze. Może kiedyś odnajdą się na czterdziestym dziewiątym równoleżniku.

Napisałam do mojej matki. Pomyślałam, że powinna wiedzieć o powodzi, babci i dziadku. Jak do tej pory, nie otrzymałam odpowiedzi.

Dziadek, Niedźwiedź i ja wciąż zajmujemy mieszkanie Bulla i Louisy James. Dziadek spędza większość swojego czasu nad Oktober Bend. W miejscu, gdzie kiedyś stał nasz dom założył ogród. We wtorki i czwartki uczy niepełnosprawnych ludzi, jak hodować rośliny.

Louisa James przez ostatnie trzy lata była moją korepetytorką. Nauczyła mnie, gdzie stawiać duże litery, przecinki, kropki i wiele innych rzeczy.

Wciąż uwielbiam robić przynęty, ale teraz sprzedaję je na swojej stronie internetowej do krajów, o których nigdy nie słyszałam, na kontynentach, po których nigdy nie stapałam.

Bull mówi, że już przeniosłam góry, ale przyszłego lata stanę przed kolejnym wyzwaniem. Zamieszkam w Melbourne z Mannym, który studiuje tam medycynę.

Znalazł już dla nas dom. Dla Niedźwiedź i mnie. Dostałam miejsce w Victorian College of the Arts, gdzie będę robić licencjat ze sztuki. Dziadek, Manny, Louisa i Buli są tak samo podekscytowani jak ja.

Mimo tego, co mi się przydarzyło, a może właśnie przez to, wciąż jestem dziewczyną, która kocha gwiazdy nad Oktober Bend i zawsze nią będę.

jestem alicie wciąż jestem alicie

nie mniej nie więcej po prostu inna alicie.

O AUTORCE

Glenda Miliard to powszechnie znana i szanowana autorka literatury dziecięcej.

Zdobywczyni nagród: w 2009 roku *Queensland Premiers Award* w kategorii literatura młodzieżowa, w 2010 *Honour Book* w konkursie *CBCA* dla starszych czytelników, a także nominowana do nagrody *NSW Premiers Literary Awards*. W 2012 roku znalazła się na liście honorowej *International Board of Books for Young People*.

Dowiedz się więcej na: glendamillard.com